

SARAH DUNN

WIELKA MIŁOŚĆ

Tytuł oryginału THE BIG LOVE

Z angielskiego przełożyła Katarzyna Malita

Dla moich Rodziców, Joego i Carolyn, oraz Pete'a i dla Davida

Jeden

Gdybym chciała oddać Tomowi sprawiedliwość, musiałabym przyznać, że nie zachwyliłby mnie żaden sposób, w jaki zdecydowałby się ze mną rozstać. Nie jestem jednak w nastroju, by komukolwiek oddawać sprawiedliwość, więc jedynie postaram się zrelacjonować wszystko bardzo dokładnie. Był ostatni weekend września i przygotowaliśmy proszoną kolację. Goście mieli się zjawić lada chwila. Właśnie skończyła mi się musztarda dijon, której potrzebowałam do sosu, wysłałam więc mojego chłopaka Toma - mojego „zamieszkującego chłopaka”, jak go nazywa moja mama - do sklepu. „Tylko nie kupuj tej ostrej”, jestem pewna, że te właśnie słowa rzuciłam, gdy stał już w progu. Jedną z osób, które miały do nas wpaść, była moja przyjaciółka Bonnie, wówczas w siódmym miesiącu ciąży. Ostre potrawy sprawiają, że Bonnie poci się bardziej niż zazwyczaj, a kobiety w mocno zaawansowanej ciąży z plamami potu pod pachami wołałam nie oglądać przy swoim stole. Okazało się, niestety, że nie była to ostatnia rzecz, jakiej miałam nie oglądać. Otóż godzinę po wyjściu z domu Tom zadzwonił do mnie z automatu.

Powiedział, że muszę sobie radzić bez niego, nie zamierza wrócić, nie kupił musztardy, a tak przy okazji, kocha inną.

A zaprosiliśmy gości! Zostałam wychowana w tradycji, która absolutnie nie zezwalała na żadne wybryki ani wygłupy w towarzystwie i jedynie to tłumaczy moje dalsze zachowanie. Zupełnie spokojna wsunęłam głowę do saloniku i powiedziałam:

- Bonnie, możesz tu zajrzeć na chwilę? Przyjaciółka wtoczyła się z trudem do kuchni.

- A gdzie jest Tom? - spytała.

- Nie przyjdzie.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Co to znaczy „nie wiem”?

- Powiedział, że nie wróci do domu. Chyba właśnie ze mną zerwał.

- Przez telefon? To niemożliwe - oświadczyła Bonnie. - Co dokładnie powiedział?

Zrelacjonowałam naszą rozmowę.

- O mój Boże, naprawdę? Jesteś pewna? Wybuchnęłam płaczem.

- To nie do przyjęcia - zdecydowała Bonnie. Objęła mnie mocno. - Niewybaczalne.

Miała rację. Dla mnie niewybaczalne nie było jedynie to, że Tom zupełnie bez ostrzeżenia zakończył nasz czteroletni związek ani że zrobił to przez telefon - na dodatek w

trakcie proznej kolacji - lecz również i to, że odłożył słuchawkę, zanim zdążyłam powiedzieć choćby jedno słowo. To już zupełnie nie mieściło mi się w głowie. Bonnie uznała to za niewybaczalne, gdyż, jej zdaniem, wybryk Toma był tylko podstępem, ponieważ chciał uniknąć oświadczeń. Od razu wyłożyła mi swoją teorię, cały czas mocno mnie obejmując, w nadziei, że zdoła choć trochę mnie uspokoić.

- Mężczyźni próbują wykręcić się od małżeństwa - powiedziała. - Dla nich to nie zabawnego. - Poglaskała mnie po głowie. - Ich żonaci przyjaciele wyglądają na bardzo przybitych.

Jakby słysząc jej słowa, do kuchni wkroczył mąż Bonnie, Larry. Za pasek spodni miał wsuniętą ścierkę w paski i niósł dwa talerze z kurczakiem marsala. Larry jest bardzo dumny ze swoich osiągnięć na tym polu. Kiedy Tom nie zjawił się z musztardą, natychmiast zaproponował, że zrobi kurczaka marsala, a potrzebne do tego pieczarki wyjął po prostu z sałatki. Larry zdradzał Bonnie, gdy ze sobą chodzili, zdradzał ją na prawo i lewo, za to teraz jako ojciec dwojga dzieci i specjalista od kurczaka marsala przedstawiał sobą wcielenie domowego spokoju.

Może i był przybity, fakt, ale przybity i wierny.

- Tom nie przyjdzie - powiedziała do niego Bonnie. - Właśnie oznajmił mi, że zakochał się w innej.

- W kim? - spytał Larry.

Wiedziałam oczywiście w kim. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby go spytać. W Kate Pearce. Wiedziałam! Wiedziałam! Bonnie zresztą też - miała to wyraźnie wypisane na twarzy. Od pewnego czasu bowiem rozmawiałyśmy o dawnej dziewczynie Toma, Kate, z którą chodził jeszcze w college'u. Mówiłyśmy o niej od czasu, gdy zaprosiła go na pierwszy z całej serii przyjacielskich lunchów, co zbiegło się z nabyciem przez Bonnie słuchawek z mikrofonem do rozmów telefonicznych. Wspominam o tym tylko dlatego, że kiedy Bonnie już ten zestaw nabyła, chciała wciąż rozmawiać przez telefon.

- Tom zaczął robić brzuszki podczas oglądania programu Nocne pasma - powiedziała Bonnie podczas jednej z takich rozmów. - Myślisz, że to coś oznacza?

- Pewnie nie - odparła.

- A ja nie sądzę, by ktoś zaczął nagle robić brzuszki ot tak sobie, bez wyraźnego powodu.

- Kilka tygodni temu na kanale TNT szedł Rocky, a już następnego dnia Larry ustawił w garażu ławeczkę do wyciskania sztangi, więc to chyba nic takiego.

- Powiedział kto to? - spytał nagle Larry, stawiając talerze z kurczakiem na

kuchennym blacie. - Powiedział ci, w kim jest zakochany?

- W Kate Pearce - odparłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że wymówienie tych słów sprawi mi aż tak wielki ból. Usiadłam przy kuchennym stole i szybko sprostowałam:

- A przynajmniej wydaje mu się, że jest w niej zakochany.

- To na pewno tylko przelotne zauroczenie - oświadczyła Bonnie.

- I jest to w porządku? - spytał Larry.

- Jasne, że nie - odparła szybko Bonnie. - Chciałam jedynie powiedzieć, że może szybko mu minie.

- Nigdy jej nie widziałas - powiedziałam. - Jest piękna.

- Ty jesteś piękna.

Bonnie wyciągnęła rękę nad stołem i poklepała mnie po dłoni, dzięki czemu odniosłam wrażenie, że piękna to na pewno nie jestem. Nikt nigdy nie klepie pięknej osoby po dłoni, mówiąc jej, że jest piękna. To zbyt wiele.

W tej chwili do kuchni weszła moja przyjaciółka Cordelia, żeby sprawdzić, co się dzieje. Spojrzałam na nią i wybuchnęłam płaczem. Widząc to, Cordelia natychmiast zalała się łzami. Podniosłam się z krzesła i stałyśmy razem na szarym linoleum, obejmując się tak, jakby umarł ktoś bliski. Dopiero jakiś czas potem dowiedziałam się, że Cordelia naprawdę pomyślała, że umarł jakiś krewny, bo gdyby wiedziała, o co chodzi w rzeczywistości, wcale by tak straszliwie nie płakała. Do spraw sercowych podchodzi bowiem bardzo filozoficznie, jak przystało na osobę, która była zamężna tylko raz i nie zamierza więcej powtarzać tego błędu. Jej były mąż zwariował półtora roku po ślubie, choć ona do dziś utrzymuje, że powinna była dużo wcześniej się zorientować, że coś z nim jest nie tak, bo strasznie się drapał, płakał bez powodu i nienaturalnie głęboko oddychał. Jak się okazało, początki małżeństwa były prawdziwym rajem w porównaniu z tym, co wydarzyło się później. Nawet teraz, pięć lat po rozwodzie, do Cordelii dzwoni od czasu do czasu jakiś znajomy, który widział w telewizji, jak jej były mąż obnażał się na ulicy lub jeździł na rolniczym w Fairmount Park, ubrany wyłącznie w skarpetki i czapkę Świętego Mikołaja. Teraz Cordelia potrafi się już z tego śmiać. No, może niezupełnie śmiać, ale ma na podorędziu kilka smakowitych anegdot o byłym mężu wariacie, które chętnie opowiada, gdy jest w odpowiednim nastroju. Utrzymuje na przykład, że najgorsze w posiadaniu byłego męża wariata jest to, że kiedy próbujesz mówić, iż twój były to wariat, nikt ci nie wierzy, bo wszystkie kobiety uważają, że ich byli mężowie są stuknięci.

Trzeba wrzucić sporo smakowitych szczegółów, by twój rozmówca spojrzał na ciebie z prawdziwym zrozumieniem i powiedział: „Rzeczywiście, on naprawdę zwariował”.

- Nie mógł przecież zerwać z tobą przez telefon - rzekła Cordelia, gdy Bonnie wyjaśniła jej, co zaszło. - Mieszkacie razem. Macie wspólną kanapę.

- Nigdy ci tego nie mówiłam - wtrąciła Bonnie - ale zawsze uważałam, że ta kanapa jest paskudna.

- Tom ją wybrał - powiedziałam i znów zaczęłam płakać. - Nie chciałam, by pomyślał, że kiedy się do mnie wprowadzi, nie będzie mógł już wybierać mebli.

- Ta kanapa - zwróciła się Bonnie do męża - to najlepszy dowód na to, dlaczego nie pozwalałam ci ich wybierać.

Bonnie poszła do saloniku i wysłała resztę gości do domu. Potem razem z Larrym posprzątała w kuchni, żebym zaraz po przebudzeniu nie musiała oglądać stosu brudnych naczyń. Cordelia położyła mnie do łóżka i wsunęła pod kołdrę butelkę wina. Powiedziałam im, że chcę zostać sama, więc cała trójka szybko się wyniosła.

Powiniście chyba wiedzieć, że kiedy odłożyłam słuchawkę po rozmowie z Tomem, pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, była świadomość, że całe to zamieszanie z pierścionkiem było chyba poważnym błędem z mojej strony. A wyglądało to tak: kilka miesięcy wcześniej w jednym z tygodników zobaczyłam zdjęcie pierścionka zaręczynowego, który bardzo mi się spodobał. Przyznaję z wielkim wstydem, że je wycięłam, i z jeszcze większym, że wsunęłam je do neseseru Toma, kiedy brał prysznic. Nie spodziewałam się bynajmniej, że już następnego dnia popędzi, by go kupić, nie, nic z tych rzeczy. Pomyślałam, że może wykorzysta informację w najbliższej, choć niesprecyzowanej przyszłości.

Kiedy Larry spytał Bonnie, jaki chce dostać pierścioneł, odparła, że marzy się jej coś zupełnie innego, nie pojedynczy brylant.

Larry powiedział na to, że nie ma sprawy, znajdzie dla niej coś innego. Na szczęście Bonnie uświadomiła sobie w porę, czym to się może skończyć - Larry przybił kiedyś gwoździami w oknie sypialni dwa stare brązowe ręczniki i wisiały tam przez cztery lata - narysowała więc na serwetce szeroką obrączkę wysadzaną brylantami, a obok napisała: „platyna”, „rozmiar sześć”, „DUŻE”, „SZYBKO”. Larry zabrał serwetkę do jubilera i teraz Bonnie nosi na palcu coś, co przypomina plaster rzucający iskry.

Możliwe, że traktuję tę sprawę z pierścionkiem zbyt poważnie, ale mam, niestety, tendencję do koncentrowania się na jednym szczególe i pomijania całej reszty.

Zawsze tak było. W college'u chodziłam na zajęcia rysunku i na koniec pierwszej dwugodzinnej sesji w moim bloku widniał jedynie wielki nieobrzezany penis modela.

Wracając jednak do tematu: zgoda, że nie powinnam była wsuwać zdjęcia pierścionka do neseseru Toma. I jasne, że trzeba było od samego początku sprzeciwić się spotkaniom z

Kate. Teraz widzę to bardzo wyraźnie. Jednak nigdy nie przyszło mi do głowy, że Tom ma romans! Nie, to nieprawda. Owszem, myślałam o tym stale, ale gdy tylko o tym wspominałam, Tom zapewniał mnie skwapliwie, że oszalałam.

- Nie mogę tak żyć - mawiał. - Jeśli mi nie ufasz, może powinniśmy zerwać od razu.

Był przy tym tak spokojny i opanowany, a jego tłumaczenia były na tyle logiczne, że natychmiast karciałam się w duchu: Ma rację, to moja wina, wpadam w paranoję, bo mój ojciec odszedł, gdy miałam pięć lat, odzywa się stary kompleks Edypa, stale towarzyszy mi irracjonalny strach przed odrzuceniem i muszę się jakoś z tym uporać. Zaraz potem do głowy przychodziła mi następująca myśl: „Nie próbuj zmiążyć wróbla, trzymaj go delikatnie na otwartej dłoni, jeśli wróci, jest twój, jeśli nie, nigdy nie był”. Od razu czułam się lepiej, jak po medytacji, a potem próbowałam sobie przypomnieć, skąd wziął się ten wróbel. Nie wiem, czemu do głowy przychodził mi wówczas Mały książę Antoine’a Saint - Exupery’ego, choć o wróblach nie ma tam ani słowa. Wymalowany ręcznie Mały Książę widniał za to na ukochanym podkoszulku Toma, który Kate zrobiła mu jeszcze w college’u. Ta sama Kate, z którą stale biegał teraz na lunch. W ten sposób wracałam do punktu wyjścia.

- Posłuchaj - powiedziałam do Toma podczas jednej z naszych dyskusji o Kate - nie podoba mi się, że ostatnio stale jadasz lunch ze swoją byłą dziewczyną.

- Potrafię przyjaźnić się z dziewczyną, z którą kiedyś chodziłem - odparł. - Ty też nadal przyjaźnisz się z Gilem.

- Po pierwsze, wcale nie przyjaźnię się z Gilem - odparowałam. - A po drugie, Gil jest gejem, więc nawet gdybym się z nim przyjaźniła, to się nie liczy, bo on nie ma najmniejszej ochoty na seks ze mną. Zresztą, kiedy uprawiał seks ze mną, też nie był zainteresowany seksem ze mną.

- Kate ma chłopaka - burknął Tom, na co przewróciłam oczami. - Andre z nią mieszka.

Zduśiłam pełne pogardy prychnięcie.

- Nie chcę już więcej o tym rozmawiać - dodał i wyszedł, by pograć w squasha.

Wszystkie te słowne przepychanki nie przyniosły spodziewanego efektu. Tom nadal umawiał się z Kate na lunch. Chciał nawet, żebym i ja się z nią umówiła! Podał jej mój telefon do pracy.

- Kate zadzwoni do ciebie w przyszłym tygodniu. Chce zjeść z tobą lunch - powiedział.

Przez cały weekend opracowywałam swój plan. Postanowiłam, że do niej nie oddzwonię. Nie będę odbierał telefonu, a kiedy zostawi mi wiadomość, po prostu się nie

odezwę. Z pewnością zrozumie, o co chodzi. I wiecie, jak się to skończyło? Nie zadzwoniła! Powinnam była od razu to przewidzieć. Ale i tak nic nie mogłabym poradzić. Kiedy kobieta taka jak Kate Pearce zagnie parol na twojego chłopaka, z pewnością nic i nikt nie zdoła jej powstrzymać.

Nie chcę dać wam przez to do zrozumienia, że Tom był w tym wszystkim zupełnie bez winy. Ostrzegłam go.

- Ona nie chce się z tobą tylko przyjaźnić. To nie w stylu kobiet takich jak ona. Nie spocznie, dopóki się z tobą nie prześpi.

Chciał ją nawet zaprosić na kolację tamtego feralnego wieczoru!

- Kate nie ma zbyt wielu przyjaciół - powiedział.

Jasne, pomyślałam. Najpierw zaproszę ją na kolację, potem wkęczi się do grona moich przyjaciół, a kolejnym posunięciem będzie omotanie mojego chłopaka. Wiem, jak to działa. Niestety, w tym określonym przypadku nic mi z tej wiedzy nie przyszło, bo Kate zrezygnowała ze zbyt licznych wstępów. Przeszła od razu do omotania Toma. Zajęło jej to pięć miesięcy!

- Nie mamy dość krzeseł dla Kate i Andre - odparłam, gdy Tom wspomniał o zaproszeniu na kolację.

- Kate przyjdzie sama - odparł. - A ja mogę usiąść na składanym.

- Co się stało z Andre?

- Zniknął z horyzontu.

- Jak to zniknął?

- Zerwali. Myślałem, że o tym wiesz.

- A niby skąd miałabym o tym wiedzieć?

Teraz zastanawiacie się na pewno, dlaczego Tom nie wyprowadził się wcześniej, skoro romans z Kate ciągnął się już od pięciu miesięcy. Doskonałe pytanie. Nie byliśmy przecież małżeństwem. Nie mieliśmy dzieci. Mógł bez problemu zerwać ze mną, wyprowadzić się, spotykać z Kate, a jego moralny kompas nadal wskazywałby północ. Jak się okazało, Tom nie zdecydował się na logiczną kolejność wydarzeń, bo Kate nie chciała się spieszyć! A on nie chciał jej wystraszyć! Jakby była jelonkiem na zalanej słońcem leśnej polanie! W tym wszystkim najbardziej niepokojący był powód, dla którego Kate nie chciała się spieszyć. Matka Andre była bardzo chora - cierpiała na mocno zaawansowanego raka trzustki - i Kate nie chciała go porzucić w tak trudnych chwilach. Tom czekał więc, by matka Andre umarła i by Kate po stosownym okresie żałoby mogła z czystym sumieniem zostawić Andre. Dopiero wtedy on zerwałby ze mną. Ludzie, mam trzydzieści dwa lata! Nie stać mnie

na takie marnowanie czasu!

Oczywiście, w ten feralny wieczór z musztardą nie miałam o niczym pojęcia.

Wiedziałam tylko, że Tom przez całe lato chadzał na lunch ze swoją byłą dziewczyną i czytał japońskie wiersze o śmierci. Już te wiersze powinny mi dać sporo do myślenia, nawet gdyby nie zaniepokoiło mnie nic innego. Osoba szczęśliwa i zadowolona z życia nie czyta wierszy o śmierci, a już na pewno wierszy napisanych na chwilę przed zgonem poety, a takie właśnie zawierał zbiór Toma. Nosił podtytuł: Napisane przez mnichów zen i poetów haiku stojących na krawędzi śmierci. Tom czytał kilka z nich co wieczór przed zaśnięciem, nic więc dziwnego, że seks nie był mu w głowie. Czasami czytał mi nawet jeden z nich na głos, co wtedy uznałam za bardzo miłe - nigdy nie należeliśmy bowiem do par, które czytają coś sobie na głos - choć teraz zaczynam podejrzewać, że robił to wyłącznie po to, by wybić seks z głowy także i mnie. Te wiersze były niesamowicie przygnębiające. Jak zbutwiałe polano, na wpół przykryte ziemią - moje życie, które nigdy nie rozkwitło, spotyka równie smutny koniec.

Leżałam więc w łóżku, przerzucając wiersze o śmierci i popijając wino. Staralam się nie myśleć ani o Tomie, ani o Tomie i Kate, ani o tym, co razem robili i czy robią to właśnie w tej chwili, czy nie, kiedy zadzwonił telefon.

Serce zabiło mi mocniej.

Poczekalam, aż zgłosi się sekretarka. Dzwoniła z komórki Nina Peeble, która też była u mnie na tej nieszczęsnej kolacji.

- Pamiętaj o jednym, Alison - powiedziała. - Oni zawsze wracają do wydarzeń. W tej nowej Tom na pewno nie zachowałby się aż tak paskudnie.

Napisałabym tak wcale nie dlatego, by chronić jego, lecz samą siebie.

Pozostawało też pytanie, które zawsze pojawia się w tego typu sytuacjach: dlaczego ona (czyli ja) w ogóle się z nim (Tomem) zadawała. Jednym słowem, brakowało zbyt wielu kawałków układanki, a jeśli rozumiałam to ja - osoba, która żyła w samym środku tej niedokończonej układanki - to wyobrażam sobie, jakie wrażenie musiały odnieść osoby z zewnątrz. Miałam więc przed sobą problemy natury ogólnej. A konkretny wyglądał następująco: Tom jest prawnikiem i przyszło mi do głowy, że jeśli wbrew jego życzeniu zdecyduję się opisać wydarzenia tamtego wieczoru, mogę wylądować w sądzie, oskarżona o zniesławienie. Wiem z doświadczenia, że wielu pisarzy traci zbyt wiele energii na rozmyślanie o przykrych konsekwencjach, jakie mogą im przynieść zbyt odważne teksty, które i tak okazują się niewartymi zachodu bzdurami, ale w tym szczególnym przypadku nie miałam niestety pewności, czy to naprawdę bzdura. Podejrzewam, że ja wszystko utrudniam

niejako na własne życzenie, ponieważ wymieniam prawdziwe nazwiska znajomych. Nic nie potrafię na to poradzić. Inaczej wszystko się sypie. Na nic się też nie zda zmienianie szczegółów. W podręcznikach pisania zawsze pojawia się wzmianka o „zmianie zbyt wiele mówiących szczegółów”, aleja sama jakoś nigdy nie potrafiłam się stosować do tej zasady.

Powinłam chyba wspomnieć, że zostałam autorką felietonów, zanim zjawisko to zaczęło się ocierać o banał, zanim całe to zamieszanie związane z „Teraz Susan” opanowało kulturę bezpowrotnie, zanim wszystko stało się nudne, głupie i zbyt oczywiste. Kiedy już do tego doszło, było za późno. Utknęłam w tym na dobre.

Podejrzewam, że gdybym w młodym wieku, podatnym jeszcze na wpływy, zetknęła się z Dorothy Parker, chciałabym pójść w jej ślady. Niestety, w Arizonie, gdzie dorastałam, nikt nie słyszał o Dorothy Parker. My Mie MśiroSiarc Ephron. W efekcie zapragnęłam stać się taka - kilka lat później - kiedy poznałam już Dorothy Parker i zaczęłam się zastanawiać, czy nie warto by spróbować stać się jej nową wersją - dowiedziałam się, że Nora Ephron zawsze chciała być podobna do Dorothy Parker. Sprawilo mi to wielką przyjemność.

Osobie takiej jak ja bardzo trudno stać się jednak kimś takim jak Dorothy Parker czy nawet Nora Ephron, bo nie jestem Żydówką. Nie tylko nie jestem Żydówką, ale na dodatek zupełnym jej przeciwieństwem. Wychowano mnie na odrodzoną w wierze ewangeliczkę, co oznacza przynależność do plemienia, które nie ma za grosz tradycji komicznej, o intelektualnej już nie wspominając. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, nie potrafimy też nienawidzić samych siebie, choć Bóg jeden wie, że wszyscy na świecie marzą, byśmy się tego jak najszybciej nauczyli. Nie muszę wam chyba przypominać, dlaczego tak się dzieje: ludzie na całym świecie nienawidzą ewangelików. Prawdziwie i szczerze. Nienawidzą ich prawości, Moralnej Wyższości, nienawidzą Jerry’ego Falwella, nienawidzą zwolenników zakazu przerywania ciąży, nienawidzą ludzi z małymi srebrnymi rybkami wymalowanymi na zderzakach minivanów i nienawidzą faceta w biurze, który ma bardzo dziwną fryzurę i nie chce obstawiać wyników meczów futbolowych. Jasne, facet w biurze może okazać się mormonem, ale z jakiegoś dziwnego powodu ludzie nie zieją nienawiścią do mormonów. Większość uważa ich za nieszkodliwych superchrześcijan.

Jedynymi ludźmi, którzy nie zaliczają mormonów do chrześcijan, są tak naprawdę mormoni i chrześcijanie. Kilka lat temu zadzwoniła do mnie mama i powiedziała mi, że do domu obok wprowadzili się mormoni.

- Mają batut? - spytałam.

- Skąd wiesz?

- Mormoni uwielbiają batuty - odparłam. - Nie mam pojęcia dlaczego, ale tak jest.

Mama zaprzyjaźniła się z sąsiadką i przez następne trzy lata wymieniały przepisy na pożywne jednodaniowe obiady, próbując przy tym wzajemnie się nawrócić.

Postawiło to nas w obliczu podstawowego problemu związanego z odrodzonymi w wierze chrześcijanami: oni nie chcą się nawracać. Nie chcą nawet przez ułamek sekundy rozważyć możliwości, że może właśnie takiego nawrócenia potrzebują.

Problem polega na tym, że w czasie rozmowy nawracana osoba rzuca uwagę w stylu:

„A co się stanie, jeśli odpuszczę?”. Na twarzy osoby nawracającej natychmiast pojawia się pełen bólu wyraz i padają okrutne słowa: „Będziesz się na wieki smażyć w piekle”. To straszna wizja, nawet jeśli w duchu przyznajesz, że to wierutne bzdury. A cała reszta też nie jest zabawna. Jeszcze będąc dzieckiem, wiedziałam, że z zabawą to na pewno nie ma nic wspólnego. W szkole średniej, bez względu na to, co robiliśmy, ktoś zawsze był gotów się wyrwać i powiedzieć:

„Rozumiecie, my wcale nie musimy pić, żeby się dobrze bawić”. Wtedy tylko podejrzewałam, a teraz nabrałam absolutnej pewności, że o wiele zabawniej jest pić, brać narkotyki i uprawiać seks niż się od tego powstrzymać. Naprawdę o wiele zabawniej.

W tym miejscu zaczynacie się niewątpliwie zastanawiać, jakim cudem w ogóle zamieszkałam z Tomem, skoro byłam taką żarliwą ewangeliczką. No cóż, prawda wygląda tak, że od pewnego czasu już nią nie byłam - właściwie od czasu college'u choć kilka wyjątkowo rzucających się w oczy akcentów - różowe sweterki i okropna fryzura - towarzyszyło mi jeszcze, kiedy skończyłam dwadzieścia lat.

Gdybym się nad tym wszystkim poważniej zastanowiła, dałabym sobie z tym spokój znacznie wcześniej, bo życie ewangeliczki w college'u jest wyjątkowo nudne i bezbarwne. Wszyscy wokół ciągną alkohol jak mleko matki, pałą, próbują halucynogennych grzybków, eksperymentują z miłością lesbijską, a podczas wiosennych ferii wysysają galaretki z pępeków nieznajomych facetów w Cancun, podczas gdy ty za wszelką cenę starasz się być grzeczna i zachowywać jak przyzwoita panienska. Najgorszą jednak rzeczą jest bycie żarliwą ewangeliczką na jednym z najlepszych uniwersytetów - akurat coś o tym wiem - bo wtedy starasz się być nie tylko przyzwoita, ale i mądra. Kończy się na tym, że razem z kolegami odstawiasz w akademiku Scopes Monkey Trial* i zgadnijcie, po czyjej jesteście stronie? Po której musisz być? Na dodatek sporo czasu poświęcasz na spotkania w małych grupkach z innymi ewangelikami, podczas których staracie się znaleźć odpowiedź na przerastające was pytania. Klasyczne już brzmi: Czy Bóg mógłby stworzyć skałę tak wielką, że sam nie mógłby

* Monkey Trial („Małpi proces”) - proces wytoczony latem 1925?., w Dayton w stanie Tennessee, Johnowi Scopesowi, nauczycielowi biologii w szkole średniej, oskarżonemu o bezprawne nauczanie teorii ewolucji Darwina. (Przyp. tłum.).

jej podnieść? Czy potrafiłby stworzyć czarnego kota, który byłby biały? Czy potrafiłby zrobić kwadratowe koło? Po jakimś czasie zaczynacie przechodzić do ważniejszych spraw. Na przykład: jak daleko można się posunąć i nadal pozostać dziewicą. To temat niekończących się debat, ale wiercie mi: wszystko, co mówią o młodych ewangeliczkach i robieniu laski, to prawda (nieprawdą jest za to wszystko, co opowiadają o młodych ewangeliczkach i seksie analnym, z kilkoma chlubnymi wyjątkami, z których tylko jeden miałam okazję poznać).

Wydaje mi się, że w tym miejscu powinnam wyjaśnić pewne sprawy, a mianowicie to, że w wypadku ewangelików nie może być mowy o żadnych półśrodkach. Pomimo robienia laski. Można na przykład zostać wychowanym w wierze katolickiej, a potem dać sobie spokój z zasadami, przestać chodzić do kościoła, nie mieć wokół siebie niczego, co rozsądnie myślącej osobie dałoby do zrozumienia, że jesteś katolikiem, a jednak nadal być przez wszystkich uznawanym za katolika. I przez samego siebie też. W wypadku ewangelików to nie do pomyślenia. Albo jesteś jednym z nich, albo nie. Albo jesteś z nimi, albo przeciwko nim. W tym miejscu chciałabym wyraźnie zaznaczyć, że nie jestem jedną z nich i że jest to jedna z rzeczy, która w całym tym ewangelicznym zapale najbardziej mnie denerwowała.

Nie znoszę się nad tym wszystkim rozwodzić z powodu moich rodziców. Moich biednych rodziców. Moich porządných, dobrych, żarliwie ewangelickich rodziców.

Naprawdę nie zrobili nic takiego, by sobie na to zasłużyć. No nie, przez jedenaście lat chodziłam na terapię, więc prawdopodobnie zrobili coś, żeby sobie na coś zasłużyć, ale nie zrobili nic takiego, żeby zasłużyć sobie akurat na to. Z pewnym wahaniem wspominam o tej terapii, bo z pewnością pomyślicie teraz, że muszę być niezłe rąbnięta. Odpowiedź na pytanie, dlaczego osoba borykająca się z niby normalnymi problemami chodziła przez jedenaście lat na terapię, może znaleźć tylko osoba, która nie mając żadnych problemów, poddawała się terapii przez dłuższy czas, więc naprawdę nie ma sensu, żebym wam to wszystko tłumaczyła.

O wiele bardziej interesujące jest to, jak mogłam sobie na tę terapię pozwolić.

Kiedy skończyłam college, byłam spłukana i wpadłam w depresję, więc zaczęłam chodzić do publicznej poradni, gdzie liczono sobie zaledwie trzynaście dolarów za godzinę, i nagle się zorientowałam, że minęło jedenaście lat. Niewiele mi to pomogło, głównie dlatego, że była to klinika, w której studenci odbywali roczny staż, by otworzyć potem prywatną praktykę. Oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko to, że we wrześniu każdego roku mój terapeuta przekazywał całą dokumentację swojemu następcy i musieliśmy zaczynać wszystko od początku, czyli od mojego dzieciństwa.

Nie widzę doprawdy potrzeby opowiadania wam o wszystkich moich terapeutach. Było ich po prostu zbyt wielu. Ostatni miał na imię William i cierpiał na zawroty głowy.

Zawsze podejrzewałam, że zawroty to taka ścierna, którą uwielbiają zwłaszcza filmowcy, bo dzięki temu mogą wytłumaczyć, dlaczego bohater nie może przejść po zawieszonym wysoko moście, by uratować dziewczynę w tarapatach. Ale William naprawdę miał z tym problemy. Podczas naszych sesji bywało czasem aż tak źle, że zsuwał się z krzesła na podłogę i leżał u moich stóp.

- Mów dalej. To tylko jeden z moich ataków - wyjaśnił.

- Może powinnam wyjść - powiedziałam, gdy wydarzyło się to po raz pierwszy.

- Dlaczego? - odparł William. Patrzył na mnie, leżąc na dywanie. - Czy czujesz się przez to nieswojo?

- Tak - przyznałam.

- Dlaczego?

- Bo mój terapeuta leży na podłodze.

- Fakt, leżę na podłodze, ale to naturalna reakcja na nagłe zawroty głowy - powiedział William. - Dlaczego miałoby ci być z tego powodu nieswojo?

- Nie wiem. Po prostu jest.

- Czy budzi to w tobie jakieś seksualne odczucia?

- Żadnych.

- Trudno mi uwierzyć.

- Niby dlaczego?

- Bo przyciągają cię trudni do zdobycia mężczyźni, tacy jak na przykład Tom, który nawet będąc twoim chłopakiem, jest dla ciebie nieosiągalny emocjonalnie, a ja jako twój terapeuta jestem nieosiągalny z definicji. - Wszystko to dobiegło do mnie z podłogi.

- Nie wydajesz się wcale nieosiągalny, Williamie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że twoim zdaniem pociągasz mnie seksualnie?

- Tego nie powiedziałam.

- Ale ja tak. Chcesz przyrzeć się dokładniej temu zagadnieniu?

Powinnam była oczywiście natychmiast przestać przychodzić do Williama, ale nie zrobiłam tego. Musicie pamiętać, że płaciłam tylko trzynaście dolarów za wizytę, a za tę sumę byłam gotowa przymknąć oko na niekonwencjonalne zachowanie terapeuty. Nie chciałam też robić afery w klinice, bo gdyby ktoś postanowił wczytać się dokładnie w moją kartotekę, szybko podniesiono by mi stawkę za wizytę. Stało się tak niestety jakieś trzy tygodnie przed tą feralną proszoną kolacją. Kiedy zjawiłam się jak zwykle w poniedziałek rano, szefowa kliniki wsunęła głowę do poczekalni i poprosiła mnie do swojego gabinetu. Posadziła mnie na krześle przed biurkiem i spokojnym tonem poinformowała, że William nie pracuje już w

poradni. Musieli go odwieźć do wariatkowa zakutanego w kaftan bezpieczeństwa, ale o tym dowiedziałam się dopiero od recepcjonistki Yolandy.

Nieźle to musiało wyglądać. Okazało się, że byłam jedyną pacjentką Williama, która nie zgłaszała żadnych zastrzeżeń, i dlatego też znalazłam się w gabinecie dyrektorki. Doszła bowiem do wniosku, że muszę mieć naprawdę poważne problemy. Mieli je oczywiście wszyscy pacjenci kliniki, jednak moje uznała za naprawdę POWAŻNE.

Relacjonuję to wszystko dlatego, by przedstawić wam jasny obraz sytuacji. A wyglądała ona tak, że choć uczęszczałam na terapię od jedenastu lat, w czasie wydarzeń stanowiących podstawę mojej opowieści nie miałam terapeuty. Nie byłam też wyleczona. Odczuwałam jednak pewną sympatię w stosunku do mojej psychiki. Co więcej, interesowała mnie. Dlatego właśnie, kiedy teraz się nad tym wszystkim zastanawiam, byłam tak niepomernie zaskoczona tym, co się stało. Pomyślcie tylko: jedenaście lat terapii! Ojciec, który odszedł, gdy miałam pięć lat! Nie trzeba sięgać aż tak głęboko, by dotrzeć do mojej podświadomości - z moim życiem wszystko jest w jak najlepszym porządku, tylko czasem zamiesza w nim przeznaczenie. Potrafię wyrysować stosowne diagramy, które tłumaczą, dlaczego z Tomem wydarzyło się to, co się wydarzyło. Nie potrafię jednak pojąć jednego: czemu zaczynamy unikać pewnych rzeczy dopiero wtedy, gdy zrozumiemy, dlaczego w ogóle nam się przytrafiły? Czy naprawdę tak musi być? Na to pytanie nie byłam w stanie wydobyć odpowiedzi od żadnego z moich terapeutów. Zadałam je otwarcie Janis Finkle - mojej ostatniej prawdziwej terapeutce, która zajmowała się mną przed Williamem - podczas naszej ostatniej sesji.

- Bo wcześniej nie możemy - odparła.

- Nie możemy? - powtórzyłam jak echo.

- Nie.

- Więc po co to wszystko?

- A jak myślisz? - spytała Janis.

Jeszcze do tego nie doszłam. Nie udało mi się również odpowiedzieć na pytanie, czy religia, w jakiej zostałam wychowana, jest źródłem moich problemów, czy też może lekarstwem na nie. Po drodze udało mi się oczywiście ustalić pewne sprawy, ale wszystkie okazały się mało istotne.

Trzy

W niedzielę, późnym wieczorem, rozległ się nagle dzwonek do drzwi. Minione dwadzieścia cztery godziny spędziłam sama w domu, czekając tylko na tę chwilę. I byłam na nią przygotowana. Opracowałam ze szczegółami długą przemowę, która rozpoczynała się ostrym potępieniem paskudnego zachowania Toma. Potem następowało psychologiczne studium wszystkich trzech zainteresowanych stron, a na koniec stwierdzenie, że ja kocham Toma, on kocha mnie, więc razem możemy przez to przejść, pod warunkiem, że on zgodzi się pójść ze mną do poradni dla par borykających się z problemami i obieca, że już nigdy nie zamieni słowa z Kate Pearce. To była bardzo dobra przemowa i aż paliłam się, by ją wygłosić i sprawdzić, jak zadziała. Szybko podeszłam do drzwi i spojrzałam przez wizjer.

- Mam ci do powiedzenia coś strasznego - oznajmił zza drzwi mężczyzna, który z pewnością nie był Tomem. - Twój chłopak ma romans z moją dziewczyną.

Odpiełam łańcuch i otworzyłam drzwi.

- Ty musisz być Andre - powiedziałam.

- Skąd wiesz?

- Wiem wszystko o Tomie i Kate - odparłam - doszłam więc do wniosku, że ty jesteś Andre.

Kilka rzeczy związanych z pojawieniem się Andre na moim progu sprawiło, że poczułam się znacznie lepiej. Bez wątplenia najbardziej rzucało się w oczy to, że znajdował się w znacznie gorszym stanie niż ja. Nie mam tu na myśli jego stroju (zielony dres) ani tego, że nie golił się od paru dni. Fakt, że zadał sobie tyle trudu, by mnie odnaleźć i zapukać do moich drzwi, był aktem tak wyraźnej i totalnej desperacji, że doszłam do wniosku, iż w porównaniu z tym nie jest wcale tak najgorzej z moją psychiką.

Wpuściłam go do środka, usiedliśmy przy stole w kuchni i natychmiast otworzyliśmy butelkę najlepszej whisky Toma.

- Opowiedz mi wszystko, co wiesz - zaczął Andre - a potem ja dodam swoje.

Niewiele wiedziałam. Tak naprawdę jedyną rzeczą, o której wiedziałam na pewno, były wspólne lunche Toma i Kate. Andre skinął tylko obojętnie głową, bo on też o tym wiedział. Jak się okazało, Andre wiedział wszystko. Szpiegował oboje od dawna - dokładnie rzecz ujmując, od pięciu miesięcy, czyli przez cały czas trwania romansu - a to, czego nie udało mu się wyśledzić, Kate powiedziała mu prosto z mostu, kiedy wreszcie zerwała z nim przed czterema dniami. Chciała, żeby się wyprowadził, lecz Andre wcale nie zamierzał

spełnić jej życzenia. Był bowiem przekonany, że jeśli nie podejmą żadnych drastycznych kroków, wszystko da się jeszcze naprawić. Kate opowiedziała mu więc o romansie z Tomem ze wszystkimi upokarzającymi szczegółami w nadziei, że uda się jej odwołać do poczucia dumy Andre. Znałam go zaledwie od piętnastu minut, lecz zdążyłam się już zorientować, że odwoływanie się do jego dumy nie jest najlepszą metodą.

- Kiedy uświadomiła sobie, że ja się nigdzie nie ruszę, odeszła - zakończył swoją opowieść Andre.

- Dokąd? - spytałam.

- Myślałem, że ty będziesz wiedzieć.

- Nie wiem. I szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, po co mielibyśmy to wiedzieć.

Co nam z tego przyjdzie?

Andre spojrział na mnie z politowaniem, jakbym była beznadziejnie głupią gęsią.

Jasne, że musi ustalić miejsce pobytu Kate i Toma, jeśli ma nadal ich śledzić.

- Dlaczego tak bardzo chcesz, żeby wróciła? - spytałam. Odetchnął głęboko.

- Ona jest jak narkotyk.

- Cudownie.

- Nie mogę się nią nasycić.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, Andre z wyrazem bólu i wielkiej miłości na twarzy. Kiedy już miałam zaproponować, że może powinien się zbierać, zapytał nagle, jaki Tom jest w łóżku.

- Nic ci na ten temat nie powiem - odparłam.

- Daj spokój. Muszę wiedzieć, z czym przyszło mi się zmierzyć.

- Nie mam pojęcia, co ma z tym wszystkim wspólnego łóżkowa sprawność bądź jej brak.

Andre spojrział na mnie beznamiętnie.

- A o co, twoim zdaniem, w tym wszystkim chodzi? - spytał.

- Moim zdaniem, Tom przechodzi pewien etap w życiu i musi sobie wszystko poukładać.

- Naprawdę? - dopytywał się Andre.

- Tak. A ja nie zamierzam wpadać w panikę.

- Jesteś bardzo zorganizowaną i rozsądną osobą - powiedział. - A przynajmniej takie sprawiasz wrażenie.

- Dziękuję.

- I jesteś bardzo miła - zauważył, kiwając z powagą głową.

- Dziękuję.

Znów zapadło milczenie.

- Moja matka umiera. Ma raka trzustki - oznajmił Andre obojętnym głosem, po czym sięgnął przez stół i wziął mnie za rękę.

Poczułam się niezręcznie. Nie wiedziałam, czy trzymamy się za ręce dlatego, że matka Andre umiera na raka trzustki, czy dlatego, że opuścili nas nasi partnerzy.

A może dlatego, że oboje byliśmy lekko pijani? Łagodnie oswobodziłam dłoń z jego uścisku.

- Przepraszam - powiedział Andre.

- Nie ma sprawy - odparłam.

Wolną już ręką zakręciłam szklaneczką z whisky.

- Chyba masz rację - przytaknął Andre. - To tylko pewna faza w życiu.

- Moim zdaniem etap, nie faza.

- A jaka to różnica?

- Etap sugeruje rozwój. Przechodzisz przez pewien etap i wychodzisz po drugiej stronie o jeden szczebelek wyżej.

- A faza to co? Bzykanie się z nieznajomym?

- Tak. Jak już wspominałam, nie sądzę, by o to w tym wypadku chodziło.

- Tak naprawdę to nie ma znaczenia. Teraz kiedy oboje o tym wiemy, to raczej nie potrwa długo - powiedział Andre.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ona się nim znudzi. Da mu kopa i wtedy go odzyskasz. Nie tak wyobrażałam sobie powrót Toma - załamane go, z podkulonym ogonem, skopanego przez demoniczną kochankę - ale ostatecznie może być. Będzie musiało wystarczyć. Kocham go, pomyślałam.

- Kocham ją - rzekł Andre. Kiedy wymówił te słowa, zabrzmiały o wiele gorzej, niż kiedy ja je pomyślałam. - Nic na to nie poradzę.

- Dziewięćdziesiąt pięć procent powodzenia - powiedziałam - to wybranie na obiekt uczuć właściwej osoby.

- A pozostałe pięć?

- Tego nie wiem.

Zanim Andre w końcu wyszedł, wręczył mi wizytówkę i zapisał mój numer telefonu.

Kazał mi uroczyście przysiąc, że natychmiast dam mu znać, jeśli dowiem się czegoś nowego. Nie miałam pojęcia, jakim cudem nowe informacje mogły mi w czymkolwiek pomóc, zważywszy, że to, co już wiedziałam, załamało mnie zupełnie.

Wiem, że kobieta, która jest jak narkotyk, musi być lepsza w łóżku ode mnie. Nie mieliśmy z Tomem żadnych problemów w tym względzie, jednak dla mnie wspaniały seks to seks, który nie pozostawia żadnego pola do dyskusji, a seks pozbawiony pola do dyskusji jest dla mnie niemożliwością. Niemożliwością jest dla mnie wszystko, co nie pozostawia pola do dyskusji. Czasami marzę o tym, by stać się podobną do osób, które mijam na ulicy i które wydają się nie mieć żadnego wewnętrznego świata - choć oczywiście możliwe jest, że takowy świat posiadają; moim zdaniem jednak świat wewnętrzny z definicji nie powinien być widoczny dla przechodniów - ale wiecie, jakich ludzi mam na myśli. Ludzi, którzy idą przez życie, nie zastanawiając się nad wszystkim przez cały czas.

Wiem, że kiedy przytrafia ci się coś takiego, kiedy porzuca cię chłopak lub mąż, bo ma romans z inną kobietą, powtarzasz sobie coś w tym stylu: „Nie chodzi mi wcale o seks, lecz o to, że mnie okłamywał?”. Prawda wygląda jednak tak, że w moim wypadku chodziło przede wszystkim o seks. Zawsze stawiałam sprawy bardzo jasno. Całe to zamieszanie związane z okłamywaniem nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Kiedy Andre wyszedł, a ja zaczęłam powoli układać wszystkie informacje, przywołując w pamięci kolejne kłamstwa Toma o długich nasiadówkach w pracy, trwających sześć godzin turniejach squasha w sobotnie popołudnie i wyjazdach służbowych podczas weekendów - wszystko to było dla mnie jedynie intelektualnym ćwiczeniem, podszytym nieco masochizmem, ale mimo wszystko tylko ćwiczeniem. Tak naprawdę bolało mnie tylko jedno. Bolało tak bardzo, że wrywało mnie z najgłębszego snu: Tom i Kate razem; Tom i Kate uprawiający seks. Myślałam o tym bezustannie. Wyobrażałam sobie, jak pewnego dnia wracam wcześniej z pracy, otwieram drzwi wejściowe, wchodzę na schody, otwieram drzwi do naszego mieszkania, kładę torebkę na stoliku w holu, zrzucam buty, wchodzę do sypialni i przyłapuję ich na uprawianiu seksu. W takiej sytuacji na pewno krzyknęłabym zdumiona i wybiegłabym najpierw z mieszkania, a potem z domu. Postąpiłabym tak nie tylko dlatego, że jest to naturalna reakcja na taki widok, lecz także dlatego, by sprawdzić, czy Tom będzie mnie gonił. W mojej fantazji chciałabym się przekonać, czy Tom miałby na tyle zwykłej przyzwoitości, by zerwać się z łóżka, owinać prześcieradłem i pobiec za mną do frontowych drzwi, krzycząc: „Jezu, Alison! To nie jest tak, jak wygląda!”. Odgrywałam ten scenariusz w wyobraźni tyle razy, że w końcu przestałam uciekać. Wchodziłam do sypialni i obrzucałam ich oboje zimnym, pełnym pogardy spojrzeniem, zupełnie jak Gwyneth Paltrow w Przypadkowej dziewczynie. Byłam w tej scenie tak bardzo do niej podobna, że teraz jestem już pewna, iż żywcem wyjęłam tę scenę z filmu.

Jednak nawet wtedy uznałam to za postęp.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że grozi mi niebezpieczeństwo przywiązywania zbyt wielkiej wagi do seksu, jeśli to w ogóle jest możliwe (w głębi serca szczerze w to wątpię - ale może dlatego, że przywiązuję do seksu zbyt wielką wagę). Zawsze sądziłam, że gdybym miała na tym polu więcej doświadczenia, gdybym przespała się z większą liczbą facetów, radziłabym sobie w życiu znacznie lepiej. Miałabym więcej punktów odniesienia. Ale tak się nie stało. Zastanawiam się, czy powinnam wam w ogóle wyznać, z iloma facetami poszłam do łóżka, powiem więc tylko, że było ich mniej niż pięciu. Więcej niż jeden i mniej niż pięciu.

Ale nie czterech i nie trzech.

Problem polegał po części na tym, że późno straciłam dziewictwo, absurdalnie późno - miałam dwadzieścia pięć lat, zgodzicie się więc ze mną, że zakrawa to na fenomen - a pewnie nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie namówiła mnie Celeste, moja ówczesna terapeutka.

- Kiedy podjęłaś taką decyzję? - spytała, kiedy się w końcu załamalam i przyznałam do wszystkiego.

- Kiedy miałam trzynaście lat. Na obozie zorganizowanym przez parafię. Złożyłam wtedy uroczystą przysięgę.

- Komu? - spytała Celeste.

- Jak to komu?

- Komu złożyłaś przysięgę?

- Bogu.

- Bogu - powtórzyła Celeste i zapisała coś w żółtym notesie.

Moja wiara w Boga była jedną z rzeczy, które Celeste próbowała wykorzenić. Nie, to niesprawiedliwe: nie miała żadnych uprzedzeń w stosunku do mojej wiary, nie chciała tylko, by wiara stawała na drodze ważnych rzeczy w moim życiu: wolności, podejmowanych decyzji i seksu. Oczywiście na tym polega cały problem z Bogiem: rezygnujesz z bardziej interesujących aspektów życia, a w zamian tracisz strach przed śmiercią.

- Decyzja, która wydaje się słuszna w wieku trzynastu lat, w wieku dwudziestu pięciu powinna zostać ponownie rozważona - powiedziała Celeste.

Rozważyłyśmy ją więc wspólnie. Ze wszystkich stron. Celeste porównała ją do embarga nałożonego na kubańskie cygara. W latach sześćdziesiątych miało to jakiś sens, ale teraz? Po upadku muru berlińskiego? Otworciu McDonalda na placu Czerwonym? Muszę szczerze wyznać, że nie trzeba było mnie aż tak bardzo przekonywać. Sporo o tym myślałam od chwili, gdy w jedenastej klasie Lance Bateman wsunął mi rękę do majtek, ale udawało mi się skutecznie odsuwać od siebie rozwiązanie tego problemu. Przez długi czas czekałam na

noc poślubną, a kiedy zaczęło się to wydawać głupie i bezsensowne, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nadal czekałam. Przypuszczam, że czekałam na dobry powód, żeby przestać czekać.

Jeszcze tego samego wieczoru poszłam do mojego chłopaka, Gila homoseksualisty, i powiedziałam mu, że jestem już gotowa, by uprawiać z nim seks. Embargo nałożone na penisa zostało cofnięte. Powiedziałam mu, że omówiłam wszystko z moją terapeutką i decyzja, która wydawała mi się jak najbardziej uzasadniona, gdy miałam trzynaście lat, przestaje być takowa, gdy mam lat dwadzieścia pięć. A ponieważ jest moim chłopakiem, pozostaje najbardziej logicznym kandydatem do pozbawienia mnie kwiatu dziewictwa.

Po drodze do Gila kupiłam nawet opakowanie dwunastu prezerwatyw. Doszłam bowiem do wniosku, że gdy z moich ust padnie ta epokowa wieść, Gil natychmiast rzuci mnie na podłogę i spełni swój męski obowiązek, może nie dwanaście razy, ale z pewnością więcej niż trzy. Prezerwatywy sprzedawano tylko w paczkach po trzy i dwanaście sztuk. Przeliczyłam się jednak. Gil siedział dalej spokojnie, polerując buty nową szczotką z włosia, i powiedział, że musi się zastanowić. Nie był do końca pewny, czy jest właściwą osobą.

Chciałabym móc w tym momencie wyznać, że natychmiast z nim zerwałam, że rzuciłam jakąś okrutną uwagę i nie obdarzyłam go już ani jednym spojrzeniem, ale nie byłoby to prawdą. Potrzebowałam mężczyzny do wykonania jasno określonej pracy.

Pod tym względem jestem bardzo praktyczna. Nie należę do osób, które wyrzucają całkiem dobry blender tylko dlatego, że trzeba trochę pokręcić sznurem, by go włączyć. Sama myśl o zaczynaniu wszystkiego od początku, o poznawaniu kogoś nowego, o pierwszej randce, potem drugiej i trzeciej, o opowiadaniu o moim statusie seksualnym i obserwowaniu, jak powoli się wycofuje, tłumacząc, że nie chce się wiązać na poważnie, a nie owijajmy w bawełnę: uprawianie seksu z dwudziestopięcioletnią dziewczyną jest sprawą poważną - tego nie byłabym już w stanie znieść. Tak więc po krótkim kręceniu sznurem przespałam się z Gilem homoseksualistą, a potem nie tylko z nim nie zerwałam, ale zostałam przez całe osiem miesięcy. Na mózg wcale nie rzucił mi się seks, który można określić mianem zdawkowego, lecz myśl, że skoro się z nim przespałam, to teraz muszę za niego wyjść.

Kiedy chodziliśmy ze sobą, nie wiedziałam, że Gil homoseksualista jest gejem.

Miałam pewne podejrzenia - trzeba było widzieć, jak ten facet ścieli łóżko - ale postanowiłam je zignorować, głównie dlatego, że poczułam ogromną ulgę, bo udało mi się znaleźć kogoś, kto chciał być moim chłopakiem i nie uprawiać seksu.

Nawet sobie nie wyobrażacie, co to za cenna zdobycz. Wychodziliśmy gdzieś razem trzy razy w tygodniu, potem zostawałam u niego na noc, przytulaliśmy się mocno do siebie i

natychmiast zapadaliśmy w głęboki sen, a kiedy tylko rano dotknęłam stopą podłogi, Gil natychmiast zabierał się do ścielenia łóżka.

Układał poduszki, jaśki, kołdrę, narzutę z tak wielkim talentem i precyzją, że efekt końcowy przypominał łóżka stojące w sklepach meblowych, na których broń Boże nie wolno siadać. Gil rzeczywiście nie życzył sobie, żebym siadała na łóżku, kiedy już je zaścielił. Nawet jeśli chciałam włożyć buty. Wieczorem kazał mi też pić z papierowych kubków, bo twierdził, że nie zmruży oka, jeśli w zlewie znajdą się jakieś brudne naczynia. Ja sama nie miałam problemów z zasypianiem nawet wtedy, kiedy brudne naczynia znajdowały się w moim łóżku. Powiedzmy więc, że stało się to kwestią sporną w naszym związku.

To jeden z problemów, jakie napotykasz na swojej drodze, gdy zwlekasz zbyt długo z uprawianiem seksu: spotykasz się w końcu z mężczyznami, którzy na seks wcale nie mają ochoty. A przynajmniej z tobą. Jeśli należysz do pewnego gatunku dziewcząt, wychodzisz za jednego z takich osobników, on nadal nie jest zainteresowany seksem, ale ty trwasz przy nim, bo jest przecież twoim mężem.

Robisz wszystko jak należy, zgodnie z prawem, i na koniec okazuje się, że jesteś udupiona do końca życia. To jedna z rzeczy, o jakich się nie dowiesz na organizowanych przez parafie obozach. Nie dowiesz się też o tym, że przysięga prowadząca do rezygnacji z seksu to najprostsza droga do kompleksów i zahamowań.

Wyznam wam otwarcie, jak wielkie są moje zahamowania: nie występuję nawet we własnych fantazjach seksualnych. I nie chcę przez to wcale powiedzieć, że w tego typu fantazjach siedzę na przykład w rogu pokoju w miękkim fotelu i paląc papierosa, obserwuję, co wyprawiają inni. Nie, mnie nawet nie ma w tym pokoju!

Jestem zupełnie gdzie indziej! Całkiem możliwe, że robię zakupy! A prawda, ta niezwykle smutna i żalсна prawda wygląda tak, że mogę mówić o wielkim szczęściu, jeśli w ogóle mam jakieś fantazje seksualne. Wydaje mi się, że u większości ludzi naprawdę pikantne fantazje seksualne mają swoje źródło w obsesjach nastolatków. Gdy ja byłam nastolatką, moją obsesją był Jezus, a nie jestem na tyle walnięta, by fantazjować na temat Jezusa.

Zaczęłam wam opowiadać o tym wszystkim, bo chciałabym, żebyście dobrze zrozumieli, dlaczego nie jestem zbyt pewna siebie w sprawach seksu i dlaczego myśl o Kate, która jest jak narkotyk, budzi we mnie nieposkromioną zazdrość.

Powinniście chyba wiedzieć i o tym, że choć byłam załamana odejściem Toma do Kate, to na moment przyszło mi do głowy, że być może w końcu prześpię się z kimś, kto: a) nie jest Tomem i b) nie jest gejem. Nie muszę chyba dodawać, że ta perspektywa nie była pozbawiona uroku.

Cztery

Kiedy obudziłam się w poniedziałek rano, długo wpatrywałam się w podwieszany sufit nad łóżkiem, zastanawiając się, co się ze mną stanie. I to w sensie, jaki temu pytaniu nadawała w swoich powieściach Jane Austen. Co u licha się ze mną stanie? Kiedy w końcu skończyłam z Gilem homoseksualistą - z powodu śladu, jaki moja puszka z dietetyczną colą pozostawiła na szafce nocnej z drewna czereśniowego - następnego ranka natychmiast kupiłam sobie tani bilet do Pragi.

Wynajęłam maleńkie mieszkanie na Starym Mieście i zostałam tam przez trzy miesiące. W głowie aż mi się kręciło od tej niezależności. Wreszcie byłam wolna.

Piłam kawę po turecku, czytałam opasłe dzieła klasyków i chodziłam na długie spaceru. Teraz znów byłam wolna, ale mogłam myśleć tylko o Tomie. Zaczęłam płakać. A jeśli on się nie opamięta? Jeśli nie wróci? Co wtedy zrobię? Z kim będę chodzić na randki? Co się ze mną stanie?

Byliśmy razem cztery lata. Cztery lata! Myślicie sobie, że to o wiele lepsze niż rozwód. Wszyscy mi to powtarzali. „To przynajmniej nie był rozwód. To o wiele lepsze niż rozwód”. Odpowiadałam wtedy, że wcale nie jestem tego pewna.

Rozwiedziona kobieta przynajmniej coś znaczy. Rozwiedziona kobieta została tylko odrzucona przez drugiego człowieka. Randki z rozwódką to coś na kształt noszenia swetra, który wisiał w czyjejsz szafie; tej osobie się nie podobał, ale może...

Wiem, oczywiście, że to bzdury. Rozwód Cordelii był najbardziej straszliwą rzeczą, jaką dane mi było w życiu oglądać, i kiedy tak leżałam rano w łóżku, kontemplując dla uspokojenia skołatanych nerwów wzorki na suficie, wiedziałam, że ani mi się z tym równać. Mimo to czułam się parszywie, bo to wszystko przydarzyło się mnie. I kiedy się nad tym chwilę zastanowić, właśnie dlatego przeżyłam tak wielki szok. Przez dłuższy czas w moim życiu niewiele się działo.

Kiedy mieszkasz w Filadelfii, rok po roku uczestniczysz w wydarzeniach, które odbywają się regularnie: Parada Mimów, Wystawa Kwiatów, Targi Książki, Festiwal Jazzowy, Bal Sztuk Pięknych. Ich regularność sprawia, że powoli zapadasz w bardzo przyjemną śpiączkę na jawie. Na wszystkich imprezach widzisz te same twarze, ze zdumieniem dostrzegasz pierwszy chłodny jesienny dzień po paru miesiącach dusznego lata, podeszwy butów jak zawsze masz oblepione mazią z miłorzębu, jeśli popełniłaś ten błąd i przeszłaś się Dwudziestą Drugą Ulicą w czasie opadania owoców tych drzew, a po jakimś

czasie przestajesz zauważać, że tak naprawdę nic ci się nie przydarza, bo nic nie przydarza się także innym ludziom. Jeśli w życiu mieszkańca Filadelfii wydarzy się coś naprawdę ważnego, kończy się to przeprowadzką do Nowego Jorku.

Jedna z takich ważnych rzeczy przydarzyła się znanej mi osobie jakieś osiem miesięcy temu. Wydawca naszej gazety, Sid Hirsch, trafił na pierwsze strony gazet, gdyż jego żonę znaleziono martwą na dnie basenu. Zawsze byłam przekonana, że jeśli na dnie basenu znajduje się osobę w wieku powyżej ośmiu lat, to z pewnością została tam wrzucona. A coś takiego przydarzyło się osobie, którą znałam: żona mojego szefa leżała martwa na dnie basenu za domem w Bucks County - naprawdę trudno było mi się z tym pogodzić. Przecież nawet ja pływałam w tym basenie! Wszyscy pływaliliśmy. Co roku, w sierpniu, Sid z żoną organizowali wielkie przyjęcie nad basenem dla wszystkich pracowników gazety. Kiedy dowiedzieliśmy się o tragedii, zaczęliśmy się zastanawiać, czy w tym roku przyjęcie również się odbędzie, a jeśli tak, to czy ktokolwiek odważy się wejść do wody. Sida oczyszczono oficjalnie z wszelkich zarzutów, ale przyjęcia zostały odwołane raz na zawsze. Oba te fakty nie powinny jednak rozwiać otaczającej go lekko makabrycznej aury. Jest mi bardzo przykro z powodu śmierci żony Sida, naprawdę, lecz jakaś częśćka mnie jest równocześnie wdzięczna, bo to załatwia sprawę i nie muszę sama pisać, co naprawdę o nim myślę.

Usiadłam na łóżku. Zauważyłam, że przestałam płakać. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było siedzenie w łóżku i rozmyślanie o Sidzie Hirschu, więc wstałam i poszłam do redakcji.

„The Philadelphia Times” powstał w 1971 roku. Początkowo ukazywał się jako „The People’s Avenger”, potem przez krótki czas jako „The Avenger”. Gdzieś w latach osiemdziesiątych Sid postanowił jednak nadać gazecie bardziej konwencjonalny tytuł, by przyciągnąć tym reklamodawców. W redakcji nadal pracowało kilku dziennikarzy jeszcze z czasów „The Avenger” i od czasu do czasu publikowaliśmy ich wypociny na temat wyzyskiwania siły roboczej w krajach Trzeciego Świata, o dziurze ozonowej i prześladowaniach rasowych, ale przede wszystkim drukowaliśmy recenzje. Recenzowaliśmy książki, filmy i płyty. Recenzowaliśmy sztuki, koncerty i restauracje. Czasami zastanawiam się, czy przypadkiem nie z tego właśnie powodu stale odzywa się we mnie Wewnętrzny Krytyk - zbyt wiele lat poświęciłam na pisanie recenzji - prawda jednak wygląda tak, że mój Wewnętrzny Krytyk przemawia zupełnie jak moja matka, więc obarczanie winą za wszystko mojej pracy nie jest do końca sprawiedliwe. W każdym razie oprócz recenzji drukujemy całą masę felietonów i relacji z lokalnych wydarzeń i zdecydowanie zbyt wiele listów od czytelników. Prawdę mówiąc, publikujemy tak dużo recenzji, felietonów, relacji i listów, że

brakuje już miejsca na wiadomości. Prawdopodobnie w ogóle nie zawracalibyśmy sobie głowy wiadomościami, gdyby nie Warren Plotkin. Na początku swojej kariery Warren dostał nagrodę za ośmioczęściową serię reportaży o nastoletnich matkach, które napisał dla filadelfijskiej gazety „Daily News”. Tydzień później okazało się, że większą część swego dzieła przepisał z pracy dyplomowej, którą znalazł w Internecie. Natychmiast wyleciał z redakcji, po czym Sid Hirsch zaprosił go na kolację do The Palm i zaproponował pracę szefa działu wiadomości za dwie trzecie pensji, którą dostawał w „Daily News”. Mieliśmy szczęście, że zgodził się przyjąć tę propozycję. I że ludzie w ogóle chcieli u nas pracować, co nie znaczy wcale, że pracy tej nie dało się lubić. Prawdę mówiąc, ja lubiałam ją z wielu powodów. I nie chodzi mi tu wcale o pieniądze i prestiż, bo oba te elementy były godne pożałowania. Lubiałam moją redakcję, bo była miejscem, gdzie mogłabym zjawić się z psem. Nie znaczy to wcale, że miałam psa - podobała mi się tylko świadomość, że gdybym go miała, mogłabym go zabrać ze sobą do pracy. Podobało mi się też i to, że mogłam pisać dosłownie o wszystkim, a tydzień później oglądać to w druku, praktycznie bez ani jednej poprawki. To bardzo kusząca możliwość dla pisarza, a fakt, że naszą gazetę rozdawano za darmo w kawiarniach, zakładach fryzjerskich i pijalniach soków, w niczym nie umniejsza jej zalet. W mojej pracy najbardziej jednak lubiałam ludzi, którzy wymykali się konwenansom. Byli wśród nich miłośnicy trawki, plagiatorzy, komuniści, walczący z ostrą depresją, alkoholicy, neurotycy i zwykli dziwacy. Oznaczało to ni mniej, ni więcej to, że w takim towarzystwie cecha, której nigdy nie mogłam się pozbyć, choćbym nie wiem co zrobiła z włosami - moja najbardziej pospolita normalność rodem z przedmieść - sprawiała, że zawsze wyróżniałam się z tłumu współpracowników.

Do pracy poszłam piechotą. Codziennie idę na piechotę, bo wtedy wpadam na najlepsze pomysły. Przed wejściem do budynku zajrzałam na koreański targ po drugiej stronie ulicy.

Kupiłam „Daily News”, „Philadelphia Inquirer” i kubek kawy. Przeszłam przez ulicę i kiedy dotarłam do wejścia, musiałam położyć gazety na chodniku, żeby poszukać w torbie kluczy. Już miałam otworzyć drzwi, kiedy usłyszałam kościelny dzwon. Odruchowo spojrzałam na zegarek, a noszę go na ręce, w której akurat trzymałam kubek z kawą. W rezultacie załamłam kawą gazety, leżące na chodniku.

Szybko odskoczyłam na lewo, unikając w ten sposób jeszcze większej katastrofy, ale mimo to o mało co nie wybuchnęłam płaczem. Wyrzuciłam mokre gazety, weszłam po schodach na drugie piętro i ruszyłam źle oświetlonym korytarzem do łazienki, żeby doprowadzić się do porządku.

Po drodze zauważyłam przystojnego faceta w błękitnej koszuli. Szedł korytarzem w moją stronę, a sposób, w jaki to robił, od razu przyciągnął moją uwagę.

Zastanawiałam się, dlaczego ten przystojny nieznajomy włóczy się po naszym holu.

Może się zgubił, pomyślałam. Uśmiechnął się do mnie. Może jest do wzięcia, pomyślałam i odpowiedziałam mu uśmiechem. Minęliśmy się, a kiedy zrobiłam jeszcze trzy kroki, odwróciłam głowę, by spojrzeć na jego pupę (do dziś nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam. Nie należę do kobiet, które sprawdzają wygląd pośladków faceta. Męskie pupy w ogóle mnie nie interesują; znacznie wyżej od nich stawiam mocne ramiona i szeroką klatkę, a nawet zadbane ręce). W chwili kiedy odwracałam głowę, żeby obejrzeć jego pupę, facet w błękitnej koszuli zrobił dokładnie to samo, żeby obejrzeć moją. Skończyło się na tym, że spojrzeliśmy sobie w oczy, ja roześmiałam się perliście, on się uśmiechnął i skinął głową, po czym ruszyliśmy każde w swoją stronę. Minęłam kuchnię, weszłam do łazienki i zamknęłam drzwi. W miarę skromnych możliwości wyczyściłam plamy z kawy, po czym wspięłam się na deskę i odwróciłam, żeby obejrzeć w lustrze swoją pupę. Uświadomiłam sobie, że dzięki sprytnie skrojonym spodniom wygląda na bardzo zgrabną (hurra!). Zeszłam z toalety, wyszłam z łazienki i popędziłam do swojego pokoju, ciekawa, czy uda mi się dowiedzieć, kim był przystojny nieznajomy.

W redakcji dzieję pokój z Mattem, redaktorem do spraw muzycznych, i Olivią, pisującą felietony o seksie. Kiedy weszłam do środka, Olivia siedziała przy swoim biurku, przerzucając wielki stos korespondencji od swoich czytelników.

Wzięła do ręki list napisany na jasnoblękitnej papeterii, rozerwała kopertę i zaczęła czytać na głos.

„Droga Olivio! Po miesiącach uprawiania jogi mój kręgosłup i szyja stały się tak giętkie, że potrafię zaspokoić sama siebie oralnie. Choć jestem z tego bardzo zadowolona, martwię się jednocześnie o choroby przenoszone drogą płciową i chciałabym wiedzieć, czy można się zarazić AIDS od samej siebie”.

Olivia spojrzała na mnie i czekając na odpowiedź, przechyliła lekko głowę na bok.

- Stan edukacji zdrowotnej naszego społeczeństwa pozostawia wiele do życzenia - powiedziałam.

- Tak sądzisz?

Felietony Olivii działają na mniej więcej takich zasadach. Mieszkańcy Filadelfii hołdujący najróżniejszym perwersjom i posiadający najbardziej niezwykle upodobania seksualne przysyłają Olivii listy, w których opisują z najdrobniejszymi szczegółami rzeczy, które ich podniecają. Na koniec pytają, czy są normalni, czy nie. Ona zapewnia ich, że jak

najbardziej. Ale pewnego razu napisała do niej kobieta, która lubi uprawiać seks ze swoim wilczurem, i koniecznie chciała się dowiedzieć, czy to w porządku. Olivia, która nawiasem mówiąc, jest biseksualistką, stanęła w końcu po stronie przyzwoitości, moralności i opanowania i stwierdziła, że uprawianie seksu z własnym psem na pewno nie jest w porządku, ponieważ - szalony umysł Olivii, która dopuszczała wszystko i gotowa była bzykać się z każdym stworzeniem chodzącym na dwóch nogach, wykonał w tym momencie salto - "ponieważ pies nie może wyrazić na to zgody". Taką właśnie gazetą jest nasz „Times”. Gazetą, która zniechęca ludzi do uprawiania seksu ze zwierzętami, ponieważ nie potrafią powiedzieć „nie”.

(Nawiasem mówiąc, spróbujcie być ewangeliczką, choćby tylko z nazwy, i pracować w alternatywnej gazecie, jeśli chcecie się przekonać, jak musiał czuć się Żyd pracujący dla najwyższego dowództwa nazistów. Chodzi mi o to, że musicie to ukrywać. I to bardzo dobrze. Na szczęście tego typu tematy nie pojawiają się w codziennych rozmowach. Boję się jednak pomyśleć, co by się stało, gdyby Sid Hirsch zapytał, kim jest mój ojciec. No cóż, jeden z nich jest zagorzale prawniczym przedsiębiorcą, który chodzi na połączone z modlitwą śniadania z Johnem Ashcroftem i próbuje sprywatyzować państwowe więzienia w Teksasie. Mój drugi ojciec kieruje biurem słynnej ewangelickiej paralityczki, która maluje ustami, za pomocą patyczka pisze na maszynie podnoszące na duchu książki i śpiewa o Jezusie podczas spotkań prowadzonych przez Billa Grahama. Nie miałabym więc wyjścia i musiałabym powiedzieć: „Jest dentystą”).

Matt otworzył z hukiem drzwi i stanął w progu, uśmiechając się od ucha do ucha.

Pod pachą trzymał zwinięty magazyn.

- Schudłem sześć kilo. Spytajcie, jak tego dokonałem.

- Jezu, Matt. Czy to mój magazyn? - spytała Olivia. Matt spojrzał na wymiętoszony „Entertainment Weekly”, jakby widział go po raz pierwszy.

- Może.

- Zatrzymaj go sobie - odparła Olivia.

- Łazienkowy Psychol utknął w kabinie - powiedział Matt i opadł na kanapę. - Uratowałem go przed kolejną nasiadówką.

Łazienkowy Psychol pracował w dziale reklamy na końcu korytarza. Facet cierpiał na fobię, która nie pozwalała mu dotykać drzwi łazienki. Dopiero po bardzo długim czasie nasza trójka zorientowała się, o co chodzi. Przez wiele miesięcy był dla nas po prostu Facetem Przesiadującym w Łazience.

- Może i mam sporo problemów - oświadczył Matt - ale przynajmniej potrafię się

zdobyć na dotknięcie klamki w drzwiach męskiej toalety.

- Tak - odparła bez entuzjazmu Olivia. - To już coś. Tak trzymaj.

- Zapytaj mnie o randkę - poprosił mnie Matt.

- Jak było?

- Pominę nudne szczegóły - odparł Matt i urwał na chwilę. - Wróciliśmy do jej mieszkania. Ona ma dwa koty. Zabieram się do rzeczy na kanapie, kiedy nagle słyszę wielki huk dobiegający z kuchni. Ona nie chce, żebym zwracał sobie tym głowę, aleja oczywiście nalegam. I wiecie, co tam znajduję?

- Co? - spytałam.

- Jeszcze dwa koty.

- Nie kapuję.

- Ona ma cztery koty. Ale nie chce, by uważano ją za Dziewczynę z Czterema Kotami, więc kiedy przychodzi do niej facet, zamyka dwa w kuchni. Dzięki czemu staje się Dziewczyną z Dwoma Kotami, co jest faktem tak drugorzędym, że nikt nie zwraca na to nawet uwagi.

- Dlaczego nie zamknie w kuchni wszystkich czterech? Mogłaby wtedy być Dziewczyną bez Kotów - dopytywała się Olivia.

- I to jest w tym wszystkim najlepsze - odparł Matt. - Nie może tego zrobić z powodu zapachu.

Olivia skinęła z powagą głową, doceniając przebiegłość dziewczyny.

- Umówisz się z nią jeszcze? - spytałam.

- Jasne. Wykazała się tak wielkim poziomem przebiegłości, że muszę to uszanować.

Poza tym, mogę się czegoś od niej nauczyć.

Kiedy miałam zapytać, czy ktoś wie cokolwiek o facecie w błękitnej koszuli, w progu stanął Sid Hirsch.

- Za pięć minut w sali konferencyjnej - powiedział.

- Co jest? - spytałam.

- Wielka sprawa. - Uderzył zaciśniętą pięścią trzy razy we framugę i powtórzył:

- Wielka sprawa.

Czuję się trochę głupio, wciągając w tę opowieść Jeffreya Greene'a, i gdybym tylko mogła, chętnie pominęłabym to, co mu się przydarzyło. Ale nie mogę. Zawsze kochałam Jeffreya. Wszyscy go kochali. Był redaktorem naczelnym naszej gazety i dumnie piastował to stanowisko przez osiemnaście lat. Był bardzo miłym, inteligentnym, uroczym i zadowolonym z życia gejem. Był też tak porządny, że gdyby ktoś mi powiedział, że musi trzy razy wytrzeć

kontakt, zanim wyłączy światło, uwierzyłabym bez mrugnięcia okiem. To Jeffrey Greene przyjął mnie do pracy w redakcji, nie Sid. Kiedy wróciłam z Pragi, wysłałam Jeffreyowi kilka felietonów, które pisałam do gazety wydawanej w college'u, i zaprosił mnie do swego biura. Kiedy rozmawialiśmy, korytarzem przechodził Sid. Stał w otwartych drzwiach, spojrzał na mnie i powiedział: „No, stara, ty naprawdę potrafisz pisać”, po czym zniknął. Po tym oświadczeniu lubiłam Sida przez długi czas.

Dzięki temu jednemu komplementowi zasłużył sobie na ogromną dawkę sympatii z mojej strony. Choć zachowywał się jak najgorszy bufon, samochwała i idiota, przez całe lata wierzyłam święcie, że jest bardzo zdolny, zabawny i mądry. Potem przestałam wierzyć. A potem zaczęłam go nienawidzić jak cała reszta. Mogąc nienawidzić go całym sercem, poczułam niewypowiedzianą ulgę. Było to piękne uczucie, ostre i jednoznaczne, wyróżniające się w świecie opanowanym przez najróżniejsze odcienie szarości. Wszyscy w redakcji od dawna czekali, żeby Sid zrobił coś naprawdę strasznego, coś gorszego od wypłacania nam marnej pensji, poniżania nas, wyrażania zgody na włączenie klimatyzacji dopiero dwudziestego pierwszego czerwca i zmuszania nas do wrzucania do kartonowego pudełka dwudziestu pięciu centów za każdym razem, kiedy chcieliśmy się napić kupowanej przez niego kawy. No i wreszcie doczekaliśmy się: zwolnił Jeffreya Greene'a.

Dowiedziałam się o wszystkim podczas zebrania redakcji. Wszyscy się dowiedzieliśmy. I był to dla nas wielki szok. Chodzi mi o to, że nikogo nie wyrzucano z „The Philadelphia Times”. Nasza redakcja była miejscem, w którym się łądowało, kiedy wyrzucili cię z innej. Siedzieliśmy wszyscy wokół stołu konferencyjnego, czyli tak naprawdę przy dwóch zwykłych stołach z blatami z paździerzy ustawionych obok siebie, kiedy do sali wszedł Sid i rzucił obojętnym tonem: „Jeffrey Greene nie pracuje już w naszej gazecie”.

Jeśli chodzi o Jeffreya, to powinniście chyba wiedzieć, że zawsze miałam chrapkę na jego stanowisko. Od czterech lat i sześciu miesięcy. Chęć wskoczenia na jego miejsce była moją jedyną ambicją, no, raczej jej namiastką. Nie, to nie do końca jest zgodne z prawdą - miałam sporo bardzo wygórowanych ambicji, ale chęć zajęcia stanowiska Jeffreya była jedyną, którą mogłam zrealizować bez większego wysiłku z mojej strony. Byłam następną w kolejce do objęcia tego stanowiska, a „The Times” jest miejscem, w którym takie sprawy naprawdę się liczą. To jeden z relikwów hipisowskiej przeszłości tego przybytku; ludzie z zewnątrz i osoby wykazujące zbyt wielki pociąg do władzy byli natychmiast uznawani za mocno podejrzanych. Poza tym w redakcji oprócz mnie nie było nikogo, kto miałby choć ciekawych odpowiednich kwalifikacji na to stanowisko. Każdy, kto je miał, odszedł już dawno temu, kiedy stało się jasne, że Jeffrey nie ma najmniejszego zamiaru rozstać się z „The Times”. Ja

zostałam. Przez cztery lata i sześć miesięcy czekałam na tę szansę. I oto nadeszła. A ja byłam gotowa.

- Będzie nam brakować Jeffreya. Wszyscy go kochaliśmy - powiedział Sid. - Chciałbym jednak dodać, że jednym z powodów, dla których tak bardzo go kochaliśmy, jest nasza obawa przed wprowadzaniem jakichkolwiek zmian.

Sid spojrział na mnie, a ja natychmiast zaczęłam się obawiać, że jakimś cudem dowiedział się o odejściu Toma i próbuje przesłać mi telepatycznie wiadomość.

Spróbowałam mu odpowiedzieć w ten sam sposób. Jestem gotowa na wszelkie zmiany, pomyślałam, patrząc mu prosto w oczy. No już. Wał prosto z mostu. Poczułam cień nadziei. Może tak właśnie miało być. Może Tom musiał odejść, żebym ja mogła się skoncentrować na swojej karierze. A pewnie wydarzy się to, co czasem ma miejsce, gdy kobieta całą energię, którą wkładała w związek, poświęca swojej pracy, a mężczyzna (czyli Tom) nagle znów uznaje ją (czyli mnie) za niezwykle interesującą. Tak, to byłoby idealne rozwiązanie.

- Chciałbym, żebyście kogoś poznali - powiedział Sid.

Otworzył drzwi do swojego gabinetu i gestem dał komuś znak, żeby wyszedł.

Okazało się, że ukrywającą się w biurze Sida osobą jest uroczy facet w błękitnej koszuli, którego spotkałam w korytarzu. To on miał zająć miejsce Jeffreya.

Wszystkie te informacje pojawiały się w takim tempie, że w ogóle nie zdążyłam zareagować. I chyba dobrze się stało. W tej właśnie chwili przebiegło mi bowiem przez myśl, że najwyraźniej nie jestem dobrą redaktorką. Natomiast nigdy nie miałam żadnych wątpliwości, że jestem fatalną aktorką.

Pięć

Nazywał się Henry Wiek i pisał dla magazynu „Rolling Stone”. Sid tak właśnie go przedstawił: Henry Wiek Który Pisał Dla „Rolling Stone”. Niedobrze się robiło na widok zadowolenia Sida - był zachwycony, gdy udało mu się zatrudnić notorycznego plagiatora, którego wyrzucono z „Daily News”, więc kiedy wyrwał z „Rolling Stone” prawdziwego dziennikarza, o mało co nie dostał apopleksji ze szczęścia.

Zaraz też wygłosił długą mowę, w której oświadczył, że już najwyższa pora, by nasza redakcja przeniosła się na wyższy poziom, i Henry pomoże nam to osiągnąć.

Czy przypadkiem nie zapomniał wspomnieć, że Henry pisywał dla magazynów „GQ” oraz „Details”, a jego felietony drukowano w „The New York Times Magazine”? W tym miejscu muszę oddać Henry’emu sprawiedliwość i powiedzieć, że był lekko zażenowany całym tym zamieszaniem z powodu jego osoby. A kiedy Sid przedstawiał go po kolei wszystkim członkom redakcji, Henry uścisnął mi dłoń, uśmiechnął się promiennie i powiedział: „Miło mi cię poznać”. Potem na resztę dnia zamknęli się w sali konferencyjnej, gdzie najwyraźniej snuli plany, jak zamienić „The Philadelphia Times” w „Rolling Stone”.

We środę Bonnie zaprosiła mnie na lunch do Opera Cafe, żebym się trochę rozerwała. Bardzo tego potrzebowałam. Tom mnie porzucił. Moja kariera legła w gruzach. Zostałam przyłapana na oglądaniu pupy nowego szefa. Wiem, że są takie kobiety, które lubią dramaty i tworzą własne opery mydlane, żeby mogły stać się w ten sposób gwiazdami własnego życia, ale ja z pewnością do nich nie należę. Przyszło mi nawet do głowy, że po części właśnie dlatego związałam się z Tomem: on nie lubił dramatów. Jeśli kiedykolwiek próbowałam uderzyć w dramatyczny ton, wychodził do drugiego pokoju.

- Znamy z Larrym kogoś, z kim koniecznie chcemy cię umówić - powiedziała Bonnie, gdy już usiadłyśmy przy stoliku.

- Tom odszedł pięć dni temu - odparłam.

- I co z tego?

- Nadal jestem w nim zakochana - wyjaśniłam.

- Dlatego właśnie sytuacja jest wręcz idealna - rzekła Bonnie. - Jeśli jesteś nadal zakochana w Tomie, bez trudu będziesz się normalnie zachowywać. Nic nie ryzykujesz. Po prostu pójdziesz z nim na kolację.

Powinniście chyba wiedzieć, że sześć lat temu Bonnie dała mi numer telefonu swojego kuzyna, Jake’a, który pracował jako konsultant w pewnej firmie i akurat załatwiał

jakieś sprawy w Filadelfii. Jake utrzymywał, że dzwoniłam do niego osiem razy. Ta absolutnie fałszywa informacja dotarła do Bonnie dzięki skomplikowanej sieci komunikacji, którą tworzyły jej ciotka, kuzynki, matka i siostra Lisa. W rezultacie Bonnie i cała jej liczna rodzina są przekonani, że kiedy tylko w grę wchodzi wolny mężczyzna, zachowuję się jak pacjentka szpitala psychiatrycznego.

- Wiesz chyba, że na tego typu spotkaniach powinnaś udawać, że nie jesteś zainteresowana? - powiedziała Bonnie. - W tym wypadku nic nie będziesz musiała udawać, bo wcale nie jesteś zainteresowana.

- Skoro nie, to po co mam w ogóle umawiać się na randkę? - spytałam.

- Potraktuj to szkoleniowo - odparła.

- Poczekaj no. Ten facet to randka prawdziwa czy szkoleniowa?

- Jeśli ci się spodoba, to prawdziwa; jeśli nie, to szkoleniowa.

- Ustaliłyśmy już, że nie może mi się podobać, bo jestem nadal zakochana w Tomie. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że randka będzie czysto szkoleniowa, a jest to ostatnia rzecz, na jaką mam teraz ochotę.

- Już od dość dawna nie byłaś na żadnej randce. A umawianie się na randki w wieku trzydziestu trzech lat to zupełnie inna sprawa, niż gdy się ma dwadzieścia osiem.

- Po pierwsze, mam dopiero trzydzieści dwa lata. Po drugie, wyszłaś za mąż, mając dwanaście lat, skąd więc możesz wiedzieć, jak wyglądają randki, gdy się ma trzydzieści trzy lata? - spytałam. - Interesuje mnie to oczywiście tylko od strony czysto teoretycznej, bo mam przecież trzydzieści dwa lata.

- Obojętne, czy masz trzydzieści dwa, czy trzydzieści trzy lata, w każdym razie kiedy na początku pojawia się liczba trzydzieści, mężczyźni są przekonani, że bardzo chcesz mieć dziecko. Oglądają przecież telewizję. Czytają gazety. Wiedzą doskonale o rosnącym zagrożeniu urodzenia upośledzonego dziecka. Kiedy więc patrzą na ciebie, myślą: Jest fajna, ale jeśli zacznę się z nią umawiać, za sześć miesięcy zacznę mi przykręcać śrubę. Kiedy masz dwadzieścia osiem lat, czują, że mogą jeszcze swobodnie oddychać. Oni są bardziej zrelaksowani, ty też, i związek ma znacznie większe szanse powodzenia.

- Ja nadal oddycham swobodnie - zaprotestowałam.

- Nie.

- Ależ tak.

- Alison, pomyśl, ile powietrza zmarnowałaś na Toma.

Placido Domingo zaczął śpiewać piosenkę z West Side Story. Może Bonnie ma rację, pomyślałam. Może to nie jest jeszcze jeden zawód miłosny. Może to wielka sercowa porażka,

która na dobre zrujnuje mi życie, w której będę się dopatrywać przyczyny wszystkich moich przyszłych niepowodzeń - niezdolności do poczęcia dziecka, zbyt podeszłego wieku moich rodziców, którzy nie zobaczą, jak moja adoptowana córka Ping odbiera dyplom college'u, faktu, że umrę niekochana i samotna. Skubałam kozi ser, którym posypana była moja sałatka. Ciekawe, czy będę musiała lecieć do Chin, żeby odebrać tam Ping, czy też wsadzają do samolotu i spotkamy się dopiero w holu na lotnisku. Tak naprawdę nigdy nie miałam ochoty jechać do Chin.

- Nie mówię wcale, że racja jest po ich stronie - oświadczyła Bonnie. - Masz jeszcze mnóstwo czasu. Wendy Wasserstein urodziła dziecko, mając czterdzieści osiem lat.

- Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłabym w wieku czterdziestu ośmiu lat, jest urodzenie dziecka poczętego za pomocą zamrożonej spermy. Nie mówiąc już o tym, że na sali porodowej za rękę trzymałaby mnie matka - odparłam.

- Twoja matka będzie miała wówczas prawie osiemdziesiąt lat – powiedziała Bonnie. - Może nie będzie już żyła.

- Kobiety w mojej rodzinie żyją wyjątkowo długo.

Kobiety w mojej rodzinie rzeczywiście są długowieczne. Moja ciocia - babcia Ellie kosiła trawnik sąsiada, mając sto siedem lat. A moja rodzona babcia, którą wszyscy nazywają Babcia Teksas, choć mieszka w Idaho, ma dziewięćdziesiąt cztery lata, codziennie jeździ swoim chryslerem le baron rocznik 1984 (jedynym ustępstwem ze względu na wiek jest taki wybór trasy, by pojawiały się na niej tylko zakręty w prawo) i nadal pracuje jako wolontariuszka w szpitalu św.

Łukasza. Mimo że szpital nie podlega już Kościołowi, tylko wielkiej HMO, pozwalają babci w każdy wtorek przez trzy godziny siedzieć w informacji.

Zadzwoiłam do niej kilka dni po odejściu Toma. Opowiedziałam, co się wydarzyło, i w pewnym momencie rzuciłam uwagę, która miała zabrzmieć jak żart. Powiedziałam:

„Jestem teraz starą panną w rodzinie”. „Nie bądź głuptaskiem”, zaprotestowała czule babcia. „Starą panną jest przecież Claire”. W istocie moja kuzynka Claire ma trzydzieści osiem lat i nie jest zamężna. Claire jest jednak lesbijką, a nikt w rodzinie nie miał na tyle odwagi, by powiedzieć o tym Babci Teksas. Babcia jest przekonana, że Claire i jej partnerka Karen to dwie serdeczne przyjaciółki, które poświęciły się karierze zawodowej i nie miały szczęścia na froncie damsko - męskim. Mieszkają razem od jedenastu lat i co roku w grudniu przysyłają członkom rodziny własnoręcznie zrobione kartki ze zdjęciami, na których przytulają jakiegoś psa przybędę znalezionej w okolicy dworca?????.??? świetnie się dobrały, że w rodzinie panuje powszechna opinia, że miały wielkie szczęście, znajdując siebie

nawzajem.

Idąc tym tropem, kiedy skończyłam już rozmawiać z babcią, pomyślałam, że tak naprawdę trudno uznać Claire za starą pannę, gdyż znalazła trwałe szczęście u boku drugiej osoby. W ten sposób stanęłam w obliczu niezaprzecznego faktu: to ja jestem starą panną w rodzinie. Myśl ta była tak przygnębiająca, że nie uświadomiłam sobie nawet, do jakiego stopnia jest idiotyczna. Osobie znajdującej się w takiej sytuacji coś się z reguły przydarza. A przynajmniej przydarzyło się mnie.

- Umówię się z nim - powiedziałam do Bonnie, kiedy kelner przyniósł rachunek.

- Świetnie. Larry da mu twój numer telefonu.

- Jak on ma na imię? - spytałam.

- Bob.

- Bob?

- Tylko nie zaczynaj.

- Wcale nie zaczynam.

- Larry mówi, że to bardzo sympatyczny facet.

- Czy jest coś, co powinnam wiedzieć?

- Na przykład?

- Coś takiego, co każe mi do ciebie zadzwonić i wykrzyczeć: Nie mogę uwierzyć, że mi wcześniej o tym nie powiedziałaś!

- Zaczyna powoliłysieć.

Zamilkłam.

- Żałuję, że Larry niełysieje - dodała szybko Bonnie. - Mogłabym wtedy spać spokojniej.

- Coś jeszcze?

- Nie.

- W porządku.

Wyszliśmy na zewnątrz. Był piękny, ciepły dzień. Bonnie objęła mnie mocno.

- Zrób coś dla siebie, Alison. Nie wspominaj na randce o całym tym zamieszaniu z Tomem.

- Myślałam, że umawiam się przede wszystkim po to, żeby nareszcie być sobą.

- Będziesz miała mnóstwo czasu, żeby być sobą, jeśli wszystko się ułoży i spodobaś się Bobowi - odparła Bonnie. - Na razie powinnaś się zachowywać jak Audrey Hepburn w Śniadaniu u Tiffany'ego. No wiesz, lekko i zalotnie.

Sześć

W piątek zaczęło mi się wydawać trochę dziwne, że Tom do mnie nie dzwoni.

Przygotowywałam się na jego telefon przez cały tydzień. Czekałam na rozmowę, by mu powiedzieć to wszystko, czego nie powiedziałam podczas naszej pierwszej rozmowy, bo tak byłam wstrząśnięta. Zamierzałam mu powiedzieć, że jest dupkiem, palantem, pieprzonym draniem i że właściwie nie wiem, co w nim widziałam. Miałam mu powiedzieć, że zasłużyli na siebie razem z Kate. Chciałam ostrzec, że rzuci go dokładnie tak samo, jak zrobiła to za pierwszym razem, ale żeby nie próbował wracać do mnie na kolanach, bo i tak go nie przyjmę z powrotem. Mowy nie ma.

Nawet za milion dolarów. Za całą herbatę Chin. Nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na ziemi. Siedząc przy biurku późnym piątkowym popołudniem, przepowiadałam to sobie w głowie raz jeszcze, kiedy nagle uderzyła mnie pewna myśl: może Tom już nigdy do mnie nie zadzwoni. Może pomyślał, że stwierdzenie „kocham inną” wszystko załatwia. Może nie zamierza dać mi okazji do powiedzenia mu, że jest dupkiem, idiotą i pieprzonym draniem. To bardzo do niego podobne.

Nagle spłynęło na mnie olśnienie. Wiedziałam już, co mam zrobić. To ja do niego zadzwonię i powiem, że koniecznie musimy porozmawiać, ale nie przez telefon, że należy mi się przynajmniej tyle. Co jak co, ale mieliśmy przecież do omówienia kwestie związane z mieszkaniem. Czy ma zamiar zapłacić swoją połowę czynszu w przyszłym miesiącu? Czy oczekuje, że będę bez końca przechowywać jego osobiste rzeczy? Tom być może ma ochotę pławić się w oparach seksualnej gorączki jeszcze przez jakiś czas i nosić do pracy stare ubrania przyjaciela, by w ten sposób odkładać nieuniknione spotkanie ze mną, ale ja muszę dograć parę szczegółów i opracować dalszy plan działania.

Spojrzałam na zegarek. Szósta piętnaście. Uświadomiłam sobie, że jeśli nie zadzwonię natychmiast, to nie złapię go przed wyjściem z pracy i będę musiała czekać do poniedziałku, bo nie wiem, gdzie sypia. Wiedziałam z kim, ale nie miałam pojęcia gdzie. Chwyciłam torebkę i ruszyłam w stronę schodów, by poszukać automatu. Nie mogłam czekać do poniedziałku. Jeśli poczekam, eksploduję.

- Cześć - powiedział Henry. Szedł w stronę drzwi.
- Witaj, Henry - odparłam.
- Dokąd pędzisz?
- Donikąd.

- Masz ochotę na kolację?

- Z tobą? - spytałam.

- Tak sobie właśnie pomyślałem.

Spojrzałam na zegarek. Tom pewnie i tak już wyszedł z biura. Pewnie pędzi teraz do domu, żeby kochać się z Kate. To właśnie się robi na początku każdego związku: pędzi się do domu. Gnojek.

- Chętnie.

Poszliśmy więc na kolację. Henry i ja. Byłam tak pochłonięta myślami o Tomie, o tym, że nie zadzwonił, że bzyka Kate, że właśnie leży z nią w łóżku, wykończony, i być może myśli o tym, że nie powinien do mnie dzwonić, że dopiero po drugim kieliszku wina spojrzałam na Henry'ego. Spojrzałam na niego tak naprawdę.

Opowiadał mi o swoim pierwszym mieszkaniu w Nowym Jorku. Był rzeczywiście przystojny. Szczerze mówiąc, zbyt przystojny. Zawsze uważałam, że chodzenie z naprawdę przystojnym facetem przypomina kupienie białej kanapy: może i miło jest ją mieć, ale marnujesz mnóstwo czasu, stale się o nią martwiąc (jeśli zastanawiacie się w tym momencie, jak wygląda Tom, to nie jest wcale najgorzej, ale nie rzuca urodą na kolana - jest ekwiwalentem, powiedzmy, beżowej kanapy w delikatny rzucik).

No, ale wracajmy do Henry'ego. W pewnej chwili, nie wiem, kiedy się to dokładnie stało, w naszej rozmowie nastąpił zwrot i nie byliśmy już dwójką kolegów z pracy rozmawiających o karierze i mieszkaniach, lecz mężczyzną i kobietą. Siedzieliśmy lekko wstawieni w chińskiej restauracji ze świeczką stojącą na stole. Właściwie wiem, kiedy to się wydarzyło. W pewnym momencie Henry wstał i poszedł do toalety, a kiedy wrócił, musiał się przecisnąć obok mojego krzesła, żeby usiąść na swoim.

Przechodząc, pochylił się lekko i powiedział: „Ładnie pachniesz”. Tylko tyle, ale nagle zaczęliśmy się śmiać trochę bardziej konspiracyjnie, dotykać leżących na stole rąk, by zaakcentować ważniejsze informacje, wymieniać tytuły filmów, które chcielibyśmy obejrzeć, a potem zgodziliśmy się, że powinniśmy je obejrzeć razem.

- Nie będzie to problem dla tego, jak mu tam, faceta z twoich felietonów? - spytał Henry.

- Rozstaliśmy się - odparłam.

- Ach tak.

- Tak.

- Co się stało?

Opowiedziałam mu, co się wydarzyło, przemilczając oczywiście bardziej

upokarzające szczegóły. Prawda wyglądała jednak tak, że kiedy pominęłam bardziej upokarzające szczegóły, niewiele zostało do opowiedzenia. Powiedziałam, że razem z Tomem pragnęliśmy różnych rzeczy; nie wspomniałam jednak, że ja pragnęłam Toma, a on pragnął Kate Pearce. Na pewno nie kłamałam, ale kiedy skończyłam opowieść, Henry mógł odnieść wrażenie, że pewnego dnia usiedliśmy razem z Tomem i doszliśmy do wniosku, że nasz związek, choć wspinały, w końcu się wypalił; że podjęliśmy decyzję o rozstaniu racjonalnie i bez emocji, bez pomocy seksu z udziałem strony trzeciej, stawiania ultimatum i tym podobnych rzeczy.

Rozeszliśmy się bez urazy, jedynie bogatsi o jeszcze jedno życiowe doświadczenie i z odrobiną żalu. Co gorsza, udało mi się dać mu do zrozumienia, że wydarzyło się to już jakiś czas temu, więc zdążyłam nabrać do wszystkiego dystansu i - wstyd przyznać, ale naprawdę użyłam tego wyrażenia - zamknąć sprawę.

- Zauważyłaś, że Chińczycy nie podają w restauracjach dobrego deseru? – spytał Henry, gdy zjawił się kelner z rachunkiem.

- Co masz na myśli?

- Zastanów się, o ile więcej pieniędzy wydaliby klienci chińskich restauracji, gdyby był w karcie przyzwoity deser. Powinni coś zaadaptować na swoje potrzeby.

Udawać, że to chiński deser, i wprowadzić go do menu.

- Tiramisu - powiedziałam.

- Świetnie. Nawet brzmi z chińska.

- Już niebawem ludzie zaczną mówić: „Mam ochotę na tiramisu, chodźmy do chińskiej knajpy”.

- Wiesz co? - spytał Henry.

- Co?

- Mam ochotę na tiramisu.

Zapłaciliśmy rachunek i poszliśmy do znajdującej się nieopodal włoskiej knajpki.

Usiedliśmy przy barze i zjedliśmy tiramisu na spótkę, popijając je winem sambuca.

Henry opowiedział mi o tym, jak dorastał na Florydzie, ja o tym, jak dorastałam w Arizonie, i okazało się, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Owoce cytrusowe odegrały w naszym dzieciństwie bardzo ważną rolę, podobnie jak brak zmieniających się regularnie pór roku, marzenie o płatkach śniegu, robaczkach świętojańskich i muzeach, w których byłoby coś więcej niż tylko poobijane naczynia rdzennych mieszkańców Ameryki. Pomyślałam, że mogłabym wylądować z Henrym w łóżku. Tak właśnie postępują dorośli ludzie. Wychodzą razem, popijają, rozmawiają, jedno z nich mówi, że drugie ślicznie pachnie, po czym wracają

do domu i lądują w łóżku. Oczywiście w naszym przypadku sprawę dodatkowo komplikował fakt, że Henry był moim szefem, ale historia zna takie przypadki. Może nie przydarzyło się to mnie, ale komuś na pewno. Czy chciałam być dziewczyną, która uprawia przelotny i najprawdopodobniej pozbawiony znaczenia seks ze swoim szefem i rankiem zaczyna tego żałować, lecz jeśli miałyby szansę cofnąć czas, na pewno postąpiłaby tak samo? Musicie zrozumieć, że do tej chwili część mojego mózgu odpowiedzialną za Żale Seksualne zaludniali wyłącznie mężczyźni, z którymi nie poszłam do łóżka. Gdybym złamała przysięgę i na przykład przespała się z Lance'em Batemanem, kiedy miałam siedemnaście lat i bardzo tego pragnęłam, moje życie bez wątplenia ułożyłoby się zupełnie inaczej. Mówię to nie dlatego, że mam jakiegokolwiek złudzenia co do seksualnej sprawności Lance'a, lecz dlatego, że przespanie się z nim pomogłoby mi zrobić ten pierwszy krok i dalej spałabym już z wszystkimi mężczyznami, którzy stanęli na mojej drodze, a już na pewno z większością. Nie zrobiłam tego jednak i teraz żałuję. Byłabym z pewnością trochę twardsza, nieco przechodzona, miałabym w sobie coś z dziwki, ale byłabym też o wiele mądrzejsza. Byłabym mądrzejszą dziwką.

W ten sposób próbuję wam wytłumaczyć, dlaczego Henry wyłudował w moim mieszkaniu.

Myślę, że jednym z powodów, dla których spałam z tak skromną liczbą mężczyzn, jest fakt, że sporo czasu upłynęło, zanim uświadomiłam sobie jedno: mężczyźni proszą tylko raz. Tak naprawdę to nawet nie proszą. Oni próbują. Mężczyźni próbują tylko raz. Dlatego Holly Hunter była tak zmartwiona, kiedy utknęła w domu Alberta Brooksa i nie mogła pójść do łóżka z Williamem Hurtem po tym, jak pieścił jej lewą pierś przed pomnikiem Jeffersona. Wiedziała, że taka okazja może już się nie trafić. I miała rację, nie trafiła się, bo na drodze stanęły zawilości fabuły. Jakaś część mnie wiedziała, że jeśli nie pójdę na całość i nie wrócę do domu razem z Henrym zaraz tego pierwszego wieczoru, nic nigdy się między nami nie wydarzy. Furtka zatrzaśnie się na dobre. Kiedy więc Henry odprowadził mnie do domu i spytał, czy może wejść na górę obejrzeć moje mieszkanie, zgodziłam się od razu.

Kiedy byliśmy już w środku, poszłam do kuchni, żeby przygotować coś do picia.

Słyszałam, jak Henry chodzi po pokoju.

- Może być piwo? - zawołałam.

- Oczywiście.

- Świetnie.

- Grasz w golfa? - spytał.

- Nie. A ty?

- Trochę.

Staął w drzwiach kuchni. Oparł się o framugę, splótł ramiona na piersi i spojrzał na mnie.

- Masz brata, który gra w golfa i trzyma kije u ciebie w holu?

- Nie - odparłam.

- Zaczynam odnosić wrażenie, że nie powinienem był tu przychodzić.

- Dlaczego?

- Kiedy zerwaliście? Jakiś tydzień temu? Czy to aż tak bardzo rzuca się w oczy?

- Wcześniej - odparłam.

- Żaden facet, który gra w golfa na tyle często, żeby trzymać kije w holu, nie zostawi ich na dłużej niż tydzień.

- Wyprowadził się niedawno, ale wszystko skończyło się dużo wcześniej.

- Ach tak.

- Daj spokój z tymi achami.

- Dzięki nim mogę się chwilę zastanowić - wyjaśnił.

- Nad czym?

- Zastanawiałem się właśnie, kiedy to opiszesz.

- Nie wiem, czy w ogóle to zrobię.

- To przecież jedna z rzeczy, o których pisujesz.

- Na pewno napiszę o chińskiej restauracji i tiramisu.

- Myślę, że nie napiszesz o rozstaniu, dopóki nie będziesz przekonana, że to naprawdę koniec.

Nie odpowiedziałam.

- Co oznacza, że nie jesteś pewna - powiedział Henry. - A to z kolei oznacza, że chyba powinienem sobie pójść.

- Nie jestem pewna, czy to naprawdę konieczne - powiedziałam ochryple.

Natychmiast pożałowałam tych słów. Może szukał eleganckiego sposobu, żeby się wyplątać z tej sytuacji, a ja mu to utrudniam? Może zablokowałam mu drogę ucieczki?

- Jeśli chcesz iść, to idź - powiedziałam i natychmiast wpadłam w panikę. Teraz ani chybi pomyśli, że naprawdę tego chcę. - Ale nie rób tego tylko ze względu, no wiesz, na niego - dodałam szybko.

No dobra! O tym właśnie cały czas mówię. Jeśli nie uprawiasz seksu w wieku od, powiedzmy, szesnastu do dwudziestu dwóch lat, omija cię kilka bardzo istotnych rzeczy. Mnie na przykład nigdy nie udało się nauczyć, jak przejść od znaczącego spojrzenia nad

tiramisu do łóżka bez totalnego upokorzenia samej siebie.

Czasami wydaje mi się, że istnieje całe bogactwo znaków i sygnałów, może nawet sekretnych uścisków dłoni, które zupełnie mi umknęły. Reszta ludzkości z zapałem przekazuje sobie w kolejce do kasy w supermarketach informacje, czy ma ochotę na seks, czy nie; daje sobie znak, czy ma ochotę tylko dobrze się zabawić, czy też może zakończy się to czymś poważniejszym. A ja poruszam się wśród informacyjnego szumu niczym dziecko we mgle.

Na szczęście Henry wybawił mnie z tarapatów. Postawił piwo na blacie, ujął moją twarz w dłonie, pocałował, całkiem, całkiem, po czym spytał:

- Co chcesz, żebym zrobił?
- Chyba powinieneś zostać - odparłam.
- Dobrze.
- No tak.
- No tak.

Przeszliśmy na kanapę. Sprawy zaczęły się rozwijać. Kiedy stało się przerażająco jasne, do czego to wszystko zmierza, poczułam, że wpadam w panikę. Zrobiłam więc jedyną rzecz, która przyszła mi do głowy: przeprosiłam go i wyszłam do łazienki.

Zamknęłam drzwi i usiadłam na sedesie. Wstyd mi się przyznać, o czym myślałam.

No dobra, powiem: „A jeśli się potem rozplaczę?”. I dalej myślałam z jeszcze większym przerażeniem: „A jeśli zacznę płakać w trakcie?”. I choć możecie uznać, że mam tendencję do roztrząsania wszystkiego, płacz rzeczywiście mógł wchodzić w grę. Nie tylko zamierzałam iść do łóżka z kimś, w kim nie byłam zakochana, to jeszcze chciałam to zrobić, będąc zakochana w kimś innym. W przeszłości nigdy mi się to nie przytrafiło i wiedziałam, że mój centralny system nerwowy tego nie wytrzyma. Przepała się bezpieczniki. Na dodatek przez ostatni tydzień ciągle płakałam w łóżku, więc było całkiem możliwe, że wyrobiłam w sobie odruch Pawłowa i widok pościeli wywoła natychmiast potoki łez. Może powinniśmy to zrobić na podłodze, pomyślałam. Tak, na podłodze. Przez chwilę poczułam się lepiej, lecz nagle uświadomiłam sobie, że Henry być może leży już w łóżku - jesteśmy przecież dorośli - a jeśli rzeczywiście tak jest, nie uda mi się ściągnąć go na podłogę, nie wychodząc przy tym na totalną wariatkę. Przypomniałam sobie, że wiele miesięcy temu, jeszcze w moim starym mieszkaniu, uprawiałam seks na podłodze, z Tomem oczywiście. Przypomniałam sobie, że gdy otworzyłam nagle oczy, zobaczyłam nad sobą spód kuchennego stołu (tak, uprawialiśmy seks na podłodze w kuchni) i zauważyłam, że ktoś przyczepił do blatu kulkę zielonej gumy do żucia. Kiedy uświadomiłam sobie, że zastanawiam się, kto to mógł zrobić, a nie myślę o tym,

co się właśnie dzieje, wpadłam w głębokie przygnębienie. Następnego dnia opowiedziałam o wszystkim Bonnie, a ona zapewniła mnie, że to nic wielkiego, że czasami kiedy uprawia seks ze swoim mężem, szykuje w myślach śniadanie dla dzieci, co jeszcze bardziej mnie przygnębiło. Teraz, siedząc w łazience wiele miesięcy później, uświadomiłam sobie, że uprawialiśmy z Tomem seks na podłodze w kuchni przede wszystkim dlatego, że on chciał sprawdzić, czy łączy nas jeszcze wielka namiętność. A ja myślałam o gumie do żucia. „Ona jest jak narkotyk”.

Wstałam z sedesu. Spojrzałam na swoją twarz w lustrze nad umywalką. Czułam, że coś się zmieni, ale nie wiedziałam, czy będzie to zmiana na lepsze, czy na gorsze. Tak naprawdę nie wiedziałam nic poza tym, że wyjdę z łazienki i będę uprawiać seks z Henrym, i choć wydarzenie to rzecz jasna nie wymaże Toma z mojej pamięci na dobre, to zapewne trochę go odsunie, przynajmniej na jakiś czas. Nie miałam nic przeciwko temu.

Otworzyłam drzwi. Henry rzeczywiście przeszedł do sypialni i choć nie leżał w łóżku, był tak blisko niego, że podłoga raczej nie wchodziła w grę. Okazało się jednak, że to nie ma najmniejszego znaczenia. Całowaliśmy się przez chwilę, a potem zrobiliśmy to. Kiedy Henry zasnął, ja przez półtorej godziny wpatrywałam się tępo w sufit. Potem poszłam do łazienki, a kiedy wróciłam, Henry obudził się i zrobiliśmy to jeszcze raz, po czym cała szczęśliwa zasnęłam.

(No dobra, wiem, że marzycie o tym, żeby poznać wszystkie szczegóły. Wiem, że chcecie w tym miejscu przeczytać o rozmiarach penisa, orgazmach, pozycjach, grze miłosnej i tak dalej, ale pojawia się pewien problem: moja matka jeszcze żyje. I choć mam wielką ochotę o wszystkim wam powiedzieć, to żeby to zrobić, musiałabym najpierw ją zabić. A moi biedni ojcowie, obaj, też nie potrafiliby tego przełknąć. Ich też musiałabym zabić. I Babcie Teksas. I wszystkie dzieci, które kiedyś może będę miała, też byłabym zmuszona wybawić z niedoli, kiedy nauczą się czytać. Ale skoro dobrnęliście ze mną aż do tego miejsca, to zasługujecie, by co nieco się dowiedzieć. Powiem wam więc, że Henry okazał się facetem, którego określa się powszechnie mianem Dobry w Łóżku. Zasługujecie też na to, bym wam powiedziała, że po raz pierwszy w życiu uświadomiłam sobie, dlaczego kobiety tak wysoce cenią sobie tę właśnie męską cechę, jeśli wiecie, o co mi chodzi. A chyba wiecie...).

Siedem

Być może sądzicie, że wskoczyłam do łóżka z Henrym zbyt szybko jak na osobę, która jest ponoć zakochana w kimś innym. Rzeczywiście, kiedy się nad tym zastanawiam, to zrobiłam to zbyt szybko, więc wyobrażam sobie, co o mnie myślicie. Powinam chyba nadmienić w tym miejscu, że to, co się wydarzyło, było zupełnie nietypowe. Dochodzę do wniosku, że było to tak dalece nietypowe, iż cofnęło się aż do samego początku, w związku z czym znów stało się typowe. Jedną z najtrudniejszych rzeczy wypływających z posiadania religijnego zaplecza takiego jak moje jest ogromna trudność w zdecydowaniu, które części twojej osobowości są naprawdę twoje, a które nie. W tym właśnie miejscu jednaście lat mojej terapii, trzynaście dolarów za godzinę, natrafiło na mur nie do przebiccia.

Kiedy tylko stawałam w obliczu dylematu moralnego, bez względu na to, który z terapeutów prowadził akurat sesję, słyszałam słowa: „Zaufaj sobie samej”. To brzmiało jak mantra. Zaufaj sobie samej. Zaufaj sobie samej. Siedziałam na krześle z pomarańczowego plastiku i próbowałam zastosować się do tego polecenia, naprawdę się starałam, ale zawsze wracałam do tej jednej rzeczy, której nauczyłam się w kościele, a mianowicie, że samej sobie żadną miarą ufać nie wolno.

Nie chciałabym tu wcale obwiniać Kościoła za wszystkie rzeczy, które w moim życiu ułożyły się nie tak jak trzeba.

Zdaję sobie oczywiście sprawę, że robię to bardzo często jak na osobę, która nie chce tego robić wcale. Wiem jednak, że reszta świata z radością obrzuca błotem ewangelików, i nie mam ochoty dodawać do tego swojej cegiełki. Niewielki odpał na punkcie seksu to chyba niezbyt wygórowana cena za podążanie przez życie z niewzruszonym przekonaniem, że po śmierci trafisz do nieba. Jednak kiedy dorastasz z wysoce spolaryzowanym, dualistycznym widzeniem świata, cały problem polega na tym, że jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się odpuścić i robić wszystko po swojemu, zostają ci na pocieszenie tylko te najgorsze strony. Pierwszą rzeczą, która przyszła mi do głowy w wieczór tej feralnej kolacji, wbrew temu, co początkowo mówiłam, wcale nie była myśl, że cała ta heca z pierścieniem była poważnym błędem z mojej strony. To była druga rzecz, która przyszła mi do głowy.

Pierwsza brzmiała: „A więc to w ten sposób Bóg postanowił mnie ukarać”.

Wyglądało to tak, jakby Pan Bóg na chwilę zrezygnował ze swego bardzo napiętego rozkładu zajęć, który obejmował między innymi ratowanie ofiar powodzi z dachów domów i zaklejanie dziur w serduszkach noworodków, i wysmażył dla mnie karę w postaci Toma,

który wyszedł po musztardę i już nie wrócił. Dobrze wiem, że wypowiadam się bardzo rzeczowo i dosłownie w sprawie, która jeśli w ogóle istnieje, to istnieje wyłącznie w sferze metafizycznej, ale to kolejny problem związany z ewangelikami: jesteśmy bardzo dosłowni. Spróbujcie tylko zasugerować jednemu z nas, że czasami symbol jest po prostu symbolem, a przekonacie się, w czym rzecz.

Kiedy poznałam Gila homoseksualistę, był ewangelikiem - teraz kiedy okazało się, że jest gejem, nie jestem pewna, czy pozostał wierny swemu wyznaniu. Wtedy był niezwykle żarliwy w swej wierze. Poznaliśmy się w kościelnej piwnicy, gdzie pracowaliśmy z dziećmi z ubogich i patologicznych rodzin. Nasz kościół prowadził specjalny program, w ramach którego grupę dzieciaków przywożono co wtorek autobusem, a my mieliśmy wywierać na nich dobry wpływ. Śpiewaliśmy im piosenki o Jezusie, podczas gdy one rzucały w siebie czym popadło, a potem pomagaliśmy w lekcjach. Cały pic polegał na tym, żeby przyhołubić sobie jakiegoś słodkiego siedmiolatka, któremu można było robić drobne niespodzianki, obdarowując go na przykład książeczką do kolorowania, zestawem naklejek i kredkami, a nie zostać przypisanym do wojowniczego czternastolatka, który co tydzień wita cię warknięciem: „Co masz dla mnie?”. Nie mam pojęcia, dlaczego to wszystko robiliśmy. Podejrzewam, że dzieci chciały dostawać zestawy naklejek. Ja chciałam zdobyć chłopaka. Chłopaka, który byłby chrześcijaninem, ale wcale nie byłby z tego powodu nadęty, który byłby przystojny, inteligentny, miał interesującą pracę i poczucie humoru, który by mówił „kurwa”, gdy wymaga tego sytuacja, który zaczął, lecz nie skończył czytać O państwie Bożym świętego Augustyna, który potrafiłby toczyć dyskusje o polityce z moją matką i o interesach z moim ojcem, byłby zwolennikiem hinduskiej kuchni, miał sympatycznych przyjaciół, potrafił się ubrać stosownie do okazji, a pewnego dnia chciałby zamieszkać za granicą. Rozejrzałam się więc po kościelnej piwnicy i dostrzegłam Gila.

Uświadomiłam sobie właśnie, że nie powiedziałam wam jeszcze, jakie Gil nosi nazwisko, co oznacza, że nie znacie jego przeszłości. Gil nazywa się bowiem Chang, ale nie jest Azjata. Studiował w niewielkim college'u baptystów w Alabamie, gdzie - obok wielu innych anachronizmów - studentom nie wolno się było całować, jeśli nie byli zaręczeni. Efekt był więc taki, że zaręczeni byli wszyscy. Zaręczali się na potęgę, potem pobierali, a trzy lata po ukończeniu studiów sześćdziesiąt procent par było już po rozwodzie. Gil bardzo pragnął pocałować uroczą koleżankę z zajęć z Nowego Testamentu i ani się obejrzał, jak już był żonaty. Dziewczyna nazywała się Lily Chang, była Chinką, a Gil doszedł do wniosku, że ich dzieciom będzie o wiele łatwiej iść przez życie, jeśli będą nosić nazwisko odpowiednie do wyglądu, więc przyjął nazwisko żony. Musicie przyznać, że to bardzo postępowe z jego

strony. Lily też okazała się na swój sposób postępową, bo osiem miesięcy po ślubie zostawiła go dla nauczyciela tanga. Gil zatrzymał przyjaciół, meble, prezenty ślubne i - nigdy nie potrafił mi wytłumaczyć w zadowalający sposób, dlaczego to zrobił - nazwisko Lily.

Była to jedna z rzeczy, których się kurczowo trzymałam, gdy stawałam w obliczu wyraźnego homoseksualizmu Gila: fakt, że był już raz żonaty. Homoseksualiści się nie żenią, myślałam za każdym razem, gdy odkręcając żarówkę, wyśpiewywał „fiku miku peczko, chodź do mnie, słoneczko”. Kiedy ścierna z małżeństwem zaczynała nieco blednąć, zaczęliśmy uprawiać seks. Homoseksualiści nie uprawiają seksu z kobietami, myślałam za każdym razem, kiedy wstawał z łóżka, żeby pościierać kurze.

Jakimś cudem wbiłam sobie do głowy, że gdyby naprawdę był gejem, od strony czysto fizjologicznej nic nie miałoby prawa z tego wyjść, bo urządzenia nie zadziałałyby jak należy. Fakt, że Gil był kiedyś żonaty, wiele tłumaczył.

Dlatego miał ogromne łoże z drewna czereśniowego, które dostali z Lily w prezencie ślubnym od jej rodziców. Łoże zajmowało połowę mieszkania Gila. Drugą połowę wypełniały srebrne patery, mosiężne świeczniki, kryształowe wazony, porcelanowy serwis na czternaście osób cieszący oko w serwantce w saloniku oraz pasujące do siebie podkładki pod szklanki rozłożone na wszystkich wypolerowanych na błysk meblach.

Powinam się była domyślić prawdziwej natury Gila, to jasne. Powinam była wiedzieć, że jest z nim coś nie tak, jak ze zgniecioną puszką. Jednak prawda jest taka: wszystkich ostrzegają przed zgniecionymi puszkami, ale przecież zawartość każdej z nich nie jest zepsuta, bo inaczej w ogóle nie wolno byłoby ich sprzedawać. Ktoś przecież kupuje te zgniecione puszki. Ktoś znosi je do domu, otwiera i sprawdza zawartość, a potem zastanawia się, czy nadaje się do jedzenia, czy nie. Wiedźcie jedno: kiedy jesteś dwudziestopięcioletnią kobietą, dziewczyną, i chcesz się umawiać na randki tylko z chrześcijaninem - i to nie każdym, ale konkretnego rodzaju chrześcijaninem - to wszystkie twoje opcje przypominają zgniecione puszki. Po ostatecznym rozstaniu z Gilem rozejrzałam się raz jeszcze po kościelnej piwnicy i doświadczyłam czegoś na kształt objawienia. Przedemną siedział Brian Berryman. Wolny. Trzydzieści dwa lata. Prawnik. Książę kościelnych piwnic. Tak dalece moralny, że w ogóle nie chodził na randki. Za to modlił się o dobrą żonę od czasu, gdy skończył szesnaście lat. Spisał całą listę cech, które powinna posiadać; listę, którą stale poprawiał, znów się modlił, potem raz jeszcze poprawiał, znów się modlił, poprawiał, a potem rozprowadzał wśród samotnych kobiet w kościele. Jego wybranka musiała być kobietą czystego serca, łagodną i spokojną. Musiała być uległa i posłuszna. Nagle usłyszałam głos:

„Czy takiego właśnie męża pragniesz?”. No, może nie był to głos, ale dokładnie

wiedziałam, o co chodzi. Uświadomiłam sobie, że jeśli będę szukać męża w kościelnych piwnicach, to na pewno dostanie mi się mocno zgnieciona puszka. A Gil, ze wszystkimi swoimi wadami, przynajmniej uwolnił mnie od dziewictwa, co oznaczało, że teraz mogłam ruszyć w świat i umawiać się z normalnymi mężczyznami, którzy będą chcieli się ze mną przespać. Którzy będą tego oczekiwać.

Spytam was teraz: Co byście zrobili na moim miejscu? No, co byście zrobili?

Trudno jest opisać, w jakim świecie się obracałam. Całymi latami słyszałam przerażające frazesy, które głoszone mi niczym prawdę objawioną. „Nikt nie chce używanych ubrań, które walają się w koszu”. „Nikt nie chce kwiatu, który został zerwany, zanim miał szansę rozkwitnąć”. Przez długi czas byłam przekonana, że to prawda. To jasne, że nikt nie chce nosić używanego ubrania. Jasne, że nikt nie chce kwiatu, który został już zerwany. Aż nagle pewnego dnia oświeciło mnie: przecież nie jestem kwiatem ani ubraniem. Nie jestem przedmiotem. Kiedy to sobie uświadomiłam, poczułam się znacznie lepiej i do dziś dnia uważam ten moment za przebudzenie się we mnie nieco ograniczonego feminizmu. Tom zawsze uważał, że jestem tradycjonalistką, jeśli tylko służy to moim potrzebom, i wyzwoloną kobietą, jeśli jest mi z tym wygodnie, i choć w jego ustach nie brzmiało to jak komplement, ja zawsze jego słowa za takowy uważałam. Mimo to często zastanawiam się, dlaczego nigdy nie udało mi się zostać feministką w pełnym znaczeniu tego słowa. Czasami sądzę, że stało się tak dlatego, iż porzuciwszy jeden gatunek przekonanej o swej nieomyślności ortodoksji, nie miałam ochoty wiązać się z inną, lecz całkiem możliwe jest także i to, że okazałam się po prostu pieprzonym głupkiem. No dobra. Jest we mnie dość z feministki, żeby się wściekać na pewne rzeczy. Chodzi mi o to, że żyć w społeczeństwie, które traktuje kobiety jak przedmioty, to jedna sprawa. Zupełnie inną jest chodzić do kościoła, gdzie od najwcześniejszych lat wbijają ci do głowy, że jesteś przedmiotem. Miałam ochotę dać się zmacać, żeby zrobić im na złość. W końcu to robiłam, było zabawnie i przez pewien czas myślałam, że udało mi się od tego wszystkiego uwolnić. Ale wcale wolna nie byłam, przynajmniej nie w sposób, który się naprawdę liczył. Bo za każdym razem, kiedy zastanawiałam się, co zaszło między Tomem i mną, jakaś cząstka mnie wierzyła, że prawdziwy problem polega na tym, że Tom znudził się gumą, którą już przeżuł. Dostawał mleko za darmo, dlatego nie kupił krowy i teraz był gotów znaleźć sobie następną. Czy miałam prawo być zaskoczona?

Przecież cały czas ostrzegano mnie przed tym. Powiedziano mi wyraźnie, jakie będą owoce seksualnej wolności - że skończę jako osoba samotna i niekochana, bez męża i dzieci, że będę stanowić obiekt pogardy i współczucia, nie znajdując nawet pociechy w wierze. I

kiedy tak leżałam w łóżku po nocy spędzonej z Henrym, sama (bo on już wyszedł), niekochana (bezpieczniej będzie chyba stwierdzić, że czułam się niekochana), musiałam sobie zadać pytanie: który z tych owoców nie okazał się prawdą?

Widzę, że próbując się rozprawić z problemem mojej wiary, skoncentrowałam się niemal wyłącznie na seksie. Myślicie z pewnością, że w duchowej tradycji świętego Pawła, świętego Tomasza z Akwinu i Marcina Lutra chodzi o coś znacznie więcej. To prawda. Ale nie będę was zanudzać. Prawda wygląda bowiem tak, że moje uczucia w stosunku do tego wszystkiego są bardzo skomplikowane. Z pewnością wiele z nich to uczucia negatywne, a te, które takie nie są, trudno ubrać w słowa. Podejrzewam, że gdybym została wychowana w duchu Nauki Chrześcijańskiej, całe to szaleństwo byłoby związane z zupełnie czymś innym, na przykład z chodzeniem do lekarza. A wyglądałoby to następująco: nie chodziłabym do lekarza przez długi czas, a kiedy już wreszcie bym do niego poszła, byłoby to wynikiem wątpliwości, ciekawości i rozpaczliwej potrzeby otrzymania pomocy medycznej. Kiedy z powodu mojej wizyty u lekarza nie nastąpiłby koniec świata, miałabym jeszcze więcej wątpliwości. Już niebawem chodziłabym do lekarza coraz częściej i nie byłabym już wyznawczynią Nauki Chrześcijańskiej. Dostrzegam oczywiście śmieszność tego wszystkiego.

Niestety, nie zawsze udaje mi się dostrzec własną śmieszność.

Osiem

Kiedy obudziłam się w sobotni rano, Henry'ego już nie było. Przez jakiś czas leżałam sama w łóżku, próbując wybadać swoje uczucia. To jedna z rzeczy, nad którymi pracowałam podczas terapii. Jednak ostatnio problem z wybadaniem własnych uczuć polegał nad tym, że zawsze gdy próbowałam to zrobić, miałam ochotę wymiotować. Starałam się przypomnieć sobie słowa Janis Finkle. „Pozwól, by uczucia przepływały przez ciebie jak fala. Oglądaj je tak, jak oglądasz płynące po niebie chmury”.

Usiadłam. Postanowiłam, że nie będę wpadać z tego powodu w panikę. To tylko przelotny seks. Potraktuję go bardzo luźno. Wstałam z łóżka i poszłam do łazienki, gdzie znalazłam liścik. Stał oparty o lustro nad umywalką. Natychmiast chwyciłam za telefon i zadzwoniłam do Cordelii (w takich sytuacjach zawsze radzę się Cordelii, nie Bonnie).

- Co napisał? - spytała, gdy opowiadając jej wszystko po kolei, doszłam do liściku.

- Pamiętaj, że jest moim szefem - powiedziałam. - To miał więc chyba być taki biurowy żart.

- Co napisał? - spytała raz jeszcze Cordelia.

- Niezła robota.

- Niezła „robota”?

- Tak - odparłam. - Napisał: „Alison. Niezła robota. Henry”.

- No dobra, teraz już wiem: chciał, by zabrzmiało to zabawnie – odrzekła Cordelia. - Dowcipnie. Na pewno nieobraźliwie.

- Ja też tak uważam.

- A jednak...

- Wiem.

- Nie powinnaś się martwić. A jednak się martwiłam.

- Wydaje mi się, że jeśli uprawiasz z kimś rewelacyjny seks, i to nie raz, ale dwa razy, to należałoby zostać do rana, prawda?

- Zrobiliście to dwa razy?

- Tak.

- Dwa razy, jeden po drugim, czy ten drugi nastąpił później?

- Później. Między jednym a drugim Henry zasnął. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Raczej nie. Chciałam tylko uzyskać dokładne informacje.

- I co o tym myślisz?

- W porządku - powiedziała Cordelia. - Możliwe, że uprawialiście rewelacyjny seks, a dla niego był to tylko... seks.

Milczałam przez chwilę.

- To się zdarza?

- Przez cały czas, kiedy byłam z Jonathanem, czułam się rewelacyjnie - mruknęła.

- A on sobie leżał, marząc, że jestem modelką reklamującą bieliznę.

- Powiedział ci?

- To był związek oparty na całkowitej szczerości. Pieprzony duppek.

Jonathan naprawdę był dupkiem, wykręcił Cordelii parę paskudnych numerów, a ona do tej pory powtarza, że była z nim tak długo z powodu seksu. Seks jest dla Cordelii bardzo ważny. Uprawia go często i ma na ten temat wiele bardzo interesujących teorii. Jedną z teorii Cordelii przekonała mnie, że seks z Tomem nie był wcale świetny (zanim poznałam rewelacyjny seks z Henrym).

Brzmi ona następująco: Naprawdę świetny seks pojawia się w filmach. Jeśli oglądasz sceny łóżkowe w filmie i mówisz sobie w duchu: „Taki seks występuje tylko w filmach”, to powinnaś wiedzieć, że twoje przeżycia na tym polu pozostawiają wiele do życzenia. Próbowałam porozmawiać na ten temat z Cordelią, kiedy zaczęłam sypiać z Gilem homoseksualistą.

- A co z Fatalnym zauroczeniem! - spytałam. - Z wodą ciekącą z kranu? I naczyniami w zlewie?

Cordelia uniosła tylko brew, a ja wiedziałam, że skoro ona tak na to reaguje, to coś musi w tym być.

- No dobra, było świetnie - powiedziałam. - I to dwa razy. Teraz leżę w łóżku, gapię się w sufit i wiesz, o czym myślę?

- O czym?

- Ile czasu upłynie, zanim nasz związek rozwinie się do tego stopnia, że będę mogła po fakcie pójść do łazienki i nałożyć krem nawilżający.

- Jesteś walnięta - odparła Cordelia. - Wiesz o tym, prawda?

- Wiem.

- To nie jest facet dla ciebie. Zaufaj mi.

- Wiem.

- Trzeba włożyć wiele wysiłku, żeby stał się facetem dla ciebie – powiedziała Cordelia. - Ale może będzie twoim tłustym naleśnikiem, kto wie.

- Czym? - spytałam.

- Kiedy smażyysz naleśniki, pierwszy pochłania cały tłuszcz z patelni, więc musisz go wyrzucić - wyjaśniła Cordelią. - Henry może wchłonąć cały tłuszcz, który został po Tomie. Wtedy twoja patelnia będzie gotowa do dalszych działań.

- To nie najlepsza metafora - odrzekłam - ale podoba mi się.

- Wymyśliła ją moja mama - odparła Cordelią. - Ale ona wyszła za męża za swój tłusty naleśnik. „Nie popełniaj tego samego błędu”, powtarza mi za każdym razem, kiedy się kłócą. „Natychmiast wyrzucaj tłuste naleśniki”.

- A co ja mam zrobić? - spytałam.

- To proste. Tłusty naleśnik nie jest wcale najgorszy. Posmakuj go, a potem wyrzuć.

Jeśli odnieśliście wrażenie, że bardzo zdenerwowałam się tym, co zaszło między mną i Henrym, postaram się wyprowadzić was z błędu. Nie byłam wcale zdenerwowana.

Wiedziałam, co prawda, że traktując wszystko jak najbardziej obiektywnie, powinnam poczuć się urażona - Henry wymknął się z mojego mieszkania w środku nocy, zostawił mi liścik pod tytułem „Dobra robota”, nie zadzwonił do mnie ani w sobotę, ani w niedzielę - ale muszę też przyznać, że odczuwałam pewnie podniecenie. On przecież nie znał nawet mojego drugiego imienia! Nagle poczułam się tak, jakbym żyła życiem, o którym czytałam tylko w książkach, jakbym obudziła się pewnego dnia jako kowboj biorący udział w rodeo, szesnastowieczny portugalski odkrywca albo gejsza. Tak właśnie się czułam. Wiodąc życie ograniczone całą gamą zakazów, oczekiwań i napomnień - z których większość sprowadzała się do tego, że seks służy wyłącznie do przywiązania do siebie mężczyzny na całe życie, a cała reszta uważana jest za poważny błąd taktyczny ze strony kobiety i przyniesie jej bardzo poważne konsekwencje - nareszcie po latach odrzuciłam wszystko, co kiedykolwiek stało na mojej drodze. I możecie sobie mówić, co wam się żywnie podoba, o niebezpieczeństwach płynących ze swobody seksualnej, jednak nikt nigdy nie powiedział mi całej prawdy, a mianowicie, że ta swoboda pachnie autentyczną wolnością.

W niedzielne popołudnie napisałam felieton o chińskich restauracjach i tiramisu.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że nie jest to idealne przejście do dalszego ciągu mojej opowieści, ale na tym właśnie polega problem z opisywaniem tego typu historii: trzeba w nich zamieścić zbyt wiele przejść. Niezłe mi idzie pisanie felietonów, które są przecież bardzo krótkie, i w rezultacie z przejściami radzę sobie nieco gorzej. Dobry felieton koncentruje się na jednym temacie, a czytelnik może się potem pokusić o własne przejście - do innego artykułu, wiązania sznurówek, wysiadania z autobusu i tak dalej. Ja muszę tutaj stale gnać do przodu, a o reszcie mojego weekendu powinniście wiedzieć tylko tyle, że w niedzielne popołudnie jak zawsze napisałam felieton, a w poniedziałek rano jak zawsze poszłam do

redakcji z felietonem o chińskich restauracjach i tiramisu zapisanym na dyskietce. Wyglądałam całkiem nieźle. To znaczy, że wyglądałam lepiej niż zazwyczaj, lecz nie miałam o tym pojęcia, dopóki nie dotarłam do redakcji i Olivia z Mattem nie zaczęli komentować mojego wyglądu.

Podejrzewam, że wyglądałam tak, jak w poniedziałkowy rano może wyglądać dziewczyna, która w piątek wieczór przespała się ze swoim szefem. Nie chciałam jednak, by domyśliła się tego Olivia, dlatego też opowiedziałam obojgu o Tomie.

Olivia potrafi wyczuć te sprawy z odległości kilku kilometrów. W kwestii seksu wierzy głęboko w zasadę „nie ma dymu bez ognia”, czyli jest przekonana, że jeśli dwie osoby mogą spać ze sobą, na pewno to robią (analogicznie, jeśli uważasz, że dana osoba może być gejem, na pewno nim jest).

- Co się tak wystroiłaś? - spytał Matt.

- Wcale się nie wystroiłam.

- Ależ tak. Olivio, nie sądzisz, że Alison wygląda dziś bardzo atrakcyjnie?

Olivia obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem od stóp do głów i skinęła głową.

- Rozstaliśmy się z Tomem - powiedziałam.

- Co takiego? - wykrzyknęła Olivia. - Kiedy?

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Chcieliście wiedzieć, dlaczego ładnie wyglądam, to już wiecie.

- Bo znów wyruszasz na łowy - stwierdził Matt.

- Nie wyruszam na żadne łowy. Czułam się parszywie, więc doszłam do wniosku, że powinnam zadbać o wygląd, żeby każde spojrzenie w lustro jeszcze bardziej mnie nie dołowało.

- Co się stało? - spytała Olivia.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Jasne, że chcesz - nie ustępowała Olivia. - Powiedz nam, co się stało.

Spojrzałam na nich. Wiedziałam, że tak łatwo się nie wywinę.

- Tom uważa, że oddaliliśmy się od siebie.

- Gówna prawda - rzuciła Olivia.

- Dlaczego akurat gówno? - odparł Matt. - Może rzeczywiście się oddalili.

- To tylko taka gówniana wymówka, którą zawsze stosują mężczyźni - wyjaśniła Olivia. - Oznacza ni mniej, ni więcej tylko to, że chcą się bzykać z innymi.

- Prawdę mówiąc, wiem dokładnie, z kim Tom chce się bzykać - powiedziałam.

- Z kim? - spytała Olivia.

- Z Kate Pearce. I on już ją bzyka.

- Skąd wiesz?

- To się ciągnie od maja - wyjaśniłam.

- Powiedział ci?

- Powiedział, że jest zakochany w innej. Reszty sama się domyśliłam.

Olivia przysiadła na moim biurku.

- Kim ona jest?

Opowiedziałam im co nieco o Kate. Powiedziałam, że jest koścista, a włosy przylegają jej do głowy jak hełm. Powiedziałam, że jest delikatna jak mała dziewczynka, co przyprawia mnie o mdłości. Powiedziałam, że zrobiła dla Toma na urodziny lazanie i powinnam była wiedzieć, do czego to wszystko zmierza, ale nie wiedziałam (kusiło mnie, żeby pominąć wzmiankę o lazanie, bo jak to bywa ze szczegółami, wprowadza tylko zbytnie zamieszanie - Kate Pearce nie należy do osób, które przyrządzałyby lazanie - ale rzeczywiście zrobiła ją dla Toma na samym początku, zanim ich związek wkroczył w sferę seksu, i powiem wam jedno: to było bardzo sprytnie posunięcie).

- Co to znaczy „koścista”? - spytał Matt. - Masz na myśli „chuda”?

- Ma na myśli „koścista” - odparła Olivia. - Są takie kobiety.

- Nie - zaprotestowałam. - Matt ma rację. Ona jest chuda. I piękna. Chuda i piękna.

- Jest nowa - odparła Olivia.

- I na tym polega cały problem. Ona wcale nie jest nowa - prostowałam. - Chodzili ze sobą w college'u przez trzy lata, po czym ona go rzuciła.

Opowiedziałam im potem o mojej teorii, nad którą pracowałam przez większą część minionego tygodnia. Kiedy Tom miał dwa lata, jego matka uciekła do Hollywood, żeby zostać gwiazdą filmową, lecz udało się jej tylko zagrać epizodyczną rolę pielęgniarki w serialu Daniel Denby, doktor medycyny. Babka Toma, która go wychowywała, w każdy czwartkowy wieczór wkładała mu piżamę i sadzała przed telewizorem, by mógł obejrzeć mamę. Niestety, często spotykało go rozczarowanie, bo rolka matki była bardzo mała i często wycinano sceny z jej udziałem. Moim zdaniem wszystko to razem tłumaczyło wiele aspektów psychiki Toma. W stosunku do kobiet odczuwał zazwyczaj gniew. Podświadomie stale tęsknił za matką. Moja teoria zakładała, że ponowne pojawienie się Kate w jego życiu po wszystkich tych latach tylko odświeżyło te uczucia i on sam nie był się w stanie im oprzeć.

- Tak - powiedziała przeciągle Olivia. - On odgrywa na nowo dramat ze swego dzieciństwa.

Matt odwrócił się w moją stronę i rzekł:

- Zgadnijcie, komu przypadła rola babci. Walnęłam głową w blat biurka.

Olivia zaczęła chodzić po pokoju.

- Tak, to ma sens. Tom pragnie kobiety, która go porzuciła. Nic nie może na to poradzić. Ma to wpisane w podświadomość. Nie może się związać z babcią...

- Proszę cię - jęknęłam.

- Tym razem jednak mamusia też go pragnie. Zaczynają uprawiać niesamowicie ognisty seks, który jest możliwy tylko wtedy, gdy tak naprawdę chodzi o coś innego, coś pierwotnego. Ale Tom nic z tego nie pojmuje. Jest przekonany, że znalazł bratnią duszę. Myśli, że odnalazł brakujący kawałek swojej osobowości.

- Niedobrze mi - powiedziałam. Olivia spojrzała na mnie uważnie.

- Ale mogę się mylić - pocieszyła mnie.

- Chyba się zabiję.

- Bóg mi świadkiem, że myliłam się w tych sprawach wiele razy.

- Faceci chcą się bzykać ze swoimi dawnymi dziewczynami. Koniec historii - oświadczył Matt i odwrócił się do Olivii. - Nie mogę uwierzyć, że płacą ci za prowadzenie rubryki z poradami dla czytelników.

Olivia wyszła po kawę, a Matt przysiadł na krawędzi mojego biurka.

- Zdajesz sobie sprawę, że tak jest o wiele lepiej - powiedział.

- Co masz na myśli?

- Kiedy ktoś cię porzuca, to zawsze lepiej, jeśli robi to, żeby związać się z kimś innym.

- Dlaczego?

- Bo inaczej oznacza, że nie mógł cię już dłużej znieść. Spojrzałam na niego.

- Dzięki temu nie jest to tak bardzo osobiste.

- Dla mnie to bardzo osobiste - odparłam.

- Zaufaj mi.

- Spróbuję.

Dziewięć

Na randkę w ciemno z Bobem umówiłam się we włoskiej restauracji we wtorek wieczorem po pracy. Weszłam do środka i natychmiast go rozpoznałam. Był łysym facetem, który siedział przy barze. Zapłacił za drinka i zajęliśmy stolik.

- Ile masz lat? - rzucił na początek. - Nie masz nic przeciwko temu, że pytam?

- Trzydzieści dwa. I nie mam nic przeciwko temu. A ty ile masz?

- Czterdzieści sześć.

- Czterdzieści sześć?

- Tak.

- Och.

- Co takiego?

- Nic - odparłam. - Jestem tylko zaskoczona, że Bonnie nie wspomniała o takiej różnicy wieku.

- Nie uważam tego za różnicę - oświadczył Bob.

- Czternaście lat to dla ciebie żadna różnica?

- Żadna.

- Kiedy ostatni raz umówiłeś się na randkę z sześćdziesięciolatką?

Bob oparł się wygodnie o krzesło i spojrzał na mnie spod wpolprzymkniętych powiek w sposób, który na pewno uważał za niezwykle uwodzicielski.

- Larry powiedział mi, że mogę mieć z tobą problemy.

- Co mówił?

- Dokładnie nie pamiętam. Odniosłem tylko wrażenie, że nie pójdzie mi łatwo - wyznał. - Czy mój wiek jest dla ciebie problemem?

- W pewnym sensie tak.

- Dlaczego?

- Bo pewnego dnia, kiedy będę miała czterdzieści lat, być może będę chciała się umówić z czterdziestosześcioletnim facetem, na przykład lekarzem, i nie będę tego mogła zrobić, bo wszyscy będą się umawiać z trzydziestodwulatkami, które mają świeże jajeczka.

- Od strony czysto fizjologicznej jajeczka trzydziestodwulatki wcale nie są takie świeże - powiedział Bob. Rozpracowywał wszystko od strony medycznej, jak robią to czasami lekarze. - Przekonanie, że trzydziestopięciolatka nie jest już w stanie począć dziecka, to mit. Płodność spada dramatycznie po ukończeniu trzydziestu pięciu lat, ale nieregularności

w układzie chromosomów statystycznie zaczynają się pojawiać znacznie wcześniej.

- Kiedy? - spytałam.

- W wieku dwudziestu ośmiu, dwudziestu dziewięciu lat. Gdybym był kobietą, urodziłbym dzieci przed trzydziestką. W dzisiejszych czasach nie jest to zbyt popularne, ale sprawdza się od strony czysto naukowej.

Zapadła długa chwila milczenia.

- Nie możesz prowadzić takiej rozmowy na randce z kobietą - powiedziałam w końcu.

- Niby dlaczego?

- Bo ci zabraniam. Wybuchnął śmiechem.

- Ty mi zabraniasz.

- Tak - oświadczyłam stanowczo. - Jako człowiek, zmuszony dzielić z tobą tę planetę, zabraniam ci prowadzić taką rozmowę z jakąkolwiek kobietą, z którą umówisz się na randkę.

- Nie prowadziłbym jej z tobą, gdybyś była starsza. Uwierz mi. Umawiam się z wieloma trzydziestopięciolatkami i nigdy o tym nawet nie wspominam - powiedział. - Samotna trzydziestopięcioletnia kobieta patrzy na mnie i myśli: Oto moja szansa na urodzenie dziecka i zmniejszenie ryzyka zachorowania na raka piersi.

Może powinnam czymś w niego rzucić, pomyślałam. Może jedną z tych chrapiących bułeczek? Po prostu w niego cisnąć.

- Czytałem bardzo interesujący artykuł - ciągnął Bob. - Napisano w nim, że kobiety po czterdziestce, które mają problemy z zajściem w ciążę, nie powinny się martwić, bo technika rozwija się tak szybko, że mogą poczekać jeszcze dwadzieścia lat i zajść w ciążę po ukończeniu sześćdziesięciu lat.

Teraz, pomyślałam. Wzięłam do ręki bułkę i cisnęłam nią w Boba. Odbiła się od jego prawej skroni, upadła na podłogę i potoczyła po podłodze, by spocząć pod sąsiednim stolikiem. Bob zamilkł na chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

Potraktował to lepiej, niż podejrzewałam. Śmiał się i śmiał, jakby cios wymierzony mu bułką był najzabawniejszą rzeczą, jaka mu się przytrafiła.

- Rewelacja - powiedział w końcu. - Absolutna rewelacja. Większość dziewcząt nie byłaby do tego zdolna. Nie rzucałyby jedzeniem na randce w ciemno.

- Zrobiłam to po raz pierwszy.

- Wracając do tematu, nie musisz się tym martwić. Kiedy skończysz czterdzieści lat, na pewno nie będziesz już chodzić na randki.

- Skąd wiesz? - spytałam.

- Bo wiem. Wiem, jakie tam krązą.

Przez cały czas nie dawało mi spokoju kilka spraw związanych z tą randką i kiedy słuchałam, jak Bob opowiada, co dokładnie jest nie tak z kobietami, które nadal „tam krążą”, próbowałam dotrzeć do samego sedna tych spraw. I w końcu mi się udało. Bob uważał, że jest nagrodą. Najmniejszego znaczenia nie miał przy tym fakt, że był ode mnie o czternaście lat starszy. Nie miało znaczenia, że jest nudny, że prawie nie ma włosów i że koniuszek jego nosa porusza się delikatnie, kiedy jego górna warga dotyka dolnej. Mimo to Bob nadal był nagrodą. I nie wyobrażajcie sobie, że ja nie miałam z tym jego myśleniem nic wspólnego - ja też uważałam go za nagrodę. A jeśli pomyślicie, że stało się tak dlatego, że był lekarzem, pozwólcie sobie wyjaśnić, że dla mnie pragnienie poślubienia lekarza stanowi część typowo burżuazyjnego podejścia do życia, z którym na szczęście nie mam nic wspólnego. Nie chodziło więc o to. Było jeszcze gorzej. Chodziło o to, że on był krzesłem. Życie to gra w komórki do wynajęcia i w jakiś sposób oboje z Bobem odnieśliśmy wrażenie, że kiedy umilknie muzyka, ktoś go zaraz zajmie, a dla mnie może zabraknąć miejsca.

Zastanawiałam się nad tym przez resztę wieczoru, obracając tę myśl jak piłkę, próbując się jej przyjrzeć ze wszystkich stron i powoli zaczęłam dochodzić do bardzo śmiesznych wniosków. Uświadomiłam sobie bowiem, że jeśli któreś z nas ma być na tej randce komórką, to z pewnością jestem nią ja. To ja jestem komórką.

Od razu poczułam się lepiej. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, ciekawa jestem, czy pewnego typu mężczyźni czują coś podobnego, umawiając się na randkę z kobietą, która żadną miarą nie dorównuje urodą Christy Turlington. Nie mam pojęcia, jak to działa, gdy jedna z osób uczestniczących w randce wygląda jak Christy Turlington - z pewnością działają wówczas zupełnie inne zasady - ale od problemów nieprawdopodobnie pięknych kobiet jeszcze mniej interesują mnie problemy mężczyzn, którzy chcą się umawiać na randki z nieprawdopodobnie pięknymi kobietami. Do końca kolacji z Bobem siedziałam ogarnięta poczuciem mojej komórkowości, którą dzieli niebezpiecznie małeńki krok od wpadnięcia w zachwyty nad samą sobą, choć teraz wiem, że z zachwytem nie miało to poczucie nic a nic wspólnego. Po prostu udało mi się wszystko wywrócić do góry nogami i tyle.

A może aż tyle. Mimo wszystko, siedząc w tej restauracji, czułam się z tym bardzo dobrze i skłamałabym, twierdząc, że tak nie było.

Byłam tak przejęta roztrząsaniem tego wszystkiego, że dopiero przy deserze uświadomiłam sobie, że przez całą randkę byłam totalnie przygaszona, co jest zupełnie do mnie niepodobne. Byłam tak przygaszona, że z trudem siebie poznawałam. Obce mi było nawet podniecenie, które zawsze towarzyszy mi podczas randek w ciemno - byłam tylko na dwóch takich randkach w życiu, ale pamiętam, że to poczucie towarzyszyło mi podczas

każdej z nich - kiedy to starasz się tak totalnie zauroczyć swojego partnera, żeby osoba, która was umówiła, była przekonana o twojej wyjątkowości i o tym, że jesteś osobą godną pożądaną. Pieprzyć to, pomyślałam, kiedy patrzyłam na Boba, który monotonnym tonem opowiadał o apartamencie, który wynajmuje do spółki na Maui, a czubek jego nosa opadał za każdym razem, gdy w wypowiedzianym przez niego słowie pojawiały się litery B, M lub P. Jestem godna pożądaną. To ja jestem krzesłem!

Bob ze swej strony wcale nie zauważył, że prawie w ogóle się nie odzywam.

Zapłacił rachunek, wyszliśmy z restauracji i ruszyliśmy Walnut Street w stronę mojego mieszkania. Kiedy dotarliśmy do Rittenhouse Square, podeszliśmy do oświetlonej fontanny. Wyglądała naprawdę pięknie.

- Wierzysz w miłość? - spytał Bob, kiedy stanęliśmy otoczeni szumem wody.

- Słucham?

- Wierzysz w miłość? - powtórzył.

- Oczywiście.

- Nie. Zastanów się.

- Wszyscy wierzą w miłość - powiedziałam.

- Wszyscy myślą, że wierzą w miłość - odparł Bob. - Ale gdyby rzeczywiście wierzyli, świat wyglądałby zupełnie inaczej.

Zacząłam się martwić, do czego to wszystko zmierza. Kiedyś umówiłam się na okropną pierwszą randkę z facetem, który słysząc, że muszę już iść do domu, sięgnął przez stół, ujął moją dłoń i powiedział: „Jeśli mamy mieć problemy, to miejmy je teraz”. Może mój nowo nabyty subtelny urok okazał się o wiele potężniejszy, niż myślałam.

- Chyba powinienem cię uprzedzić, że do ciebie nie zadzwonię - oświadczył Bob przed drzwiami mojego domu.

- Może jednak nie powinienes.

- Na tym etapie życia pragnę być szczery z kobietami, z którymi się umawiam.

Taki już jestem.

- To bardzo uprzejme z twojej strony.

- Dziękuję - odrzekł. - Dlatego właśnie to robię. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Odwróciłam się i spojrzałam na niego.

- Chyba powinnam ci powiedzieć, że gdybyś do mnie zadzwonił, odczekałabym dwa tygodnie, żeby oddzwonić. I zrobiłabym to tylko w czasie, kiedy byłabym pewna, że nie ma cię w domu. Nagrałabym na sekretarkę jakąś mętną wiadomość, stwierdzając, że jestem bardzo zajęta i zadzwonię jeszcze raz, kiedy trochę odetchnę. Ale nigdy bym tego nie zrobiła

- powiedziała. - Chodzi mi o to, że nigdy bym nie odetchnęła.

Uśmiechnęłam się słodko i zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.

Dziesięć minut później zadzwonił telefon.

- Jak ci się udała randka? Henry.

- Słowa nie są w stanie tego opisać - odparłam.

- Najlepszy i najgorszy moment?

- No cóż - zaczęłam. - Musiałam cisnąć mu w głowę bułką, żeby się zamknął.

Roześmiał się.

- A najlepszy?

- Nie było.

- Daj spokój. Jakiś musiał być. To jest najlepszy moment.

- Łosóś nie był taki zły - powiedziałam.

- No to zjadłś przynajmniej kawałek dobrej ryby. Mogę wpaść?

- Teraz? - Spojrzałam na zegar w kuchni. Było po jedenastej.

- Jestem w okolicy. Dzwonię z automatu. Stoję obok wielkiego kontenera na śmieci zamkniętego na kłódkę. Przywiesili ją chyba dlatego, żeby śmieci nie mogły uciec.

- Nie wiem - odparłam.

- Zróbmy tak. Udam, że połączenie zostało przerwane, a potem zjawię się na twoim progu i będziesz mogła zrobić ze mną, co zechcesz.

Trzasnęła odkładana słuchawka, a ja odtańczyłam mały taniec radości.

Tej nocy, kiedy uprawialiśmy seks, Henry stał mi się tak bliski, że zaczęliśmy prowadzić jedną z tych rozmów, podczas których obie strony czują, że nie ma już sensu niczego ukrywać. Oddajesz się tej drugiej osobie tak całkowicie, że masz ochotę biegać po mieszkaniu, otwierać szafy i szuflady, wyjmować pochowane wstydliwie rzeczy i układając je na łóżku, krzyczeć: „Spójrz tylko na to! I na to! Ale mnie kochaj!”.

- Obiecuj, że nie będziesz się śmiać - powiedziałam.

- Obiecuję.

- Trzech. Wybuchnął śmiechem.

- Przepraszam, ale nie mogę się powstrzymać. Trzech. Oparł głowę na dłoni i spojrzał na mnie z niemal naukowym zainteresowaniem. - Ile masz lat?

- Trzydzieści dwa.

- To jeden na dekadę - obliczył.

- Nie uprawiałam seksu, mając dziesięć lat.

- Najwyraźniej nie.

- Masz z tym jakiś problem?

- Raczej nie. To nawet słodkie - powiedział. - Odczuwam nagłą i dziwną chęć pocałowania cię w czoło.

Pochylił się i pocałował mnie w czoło.

- Opowiedz mi o nich.

- O kim?

- O Wielkiej Trójce. Spojrzałam na niego.

- Czekaj - zreflektował się. - To ja jestem tym trzecim?

- A nie mówiłam ci?

- Myślałem, że jestem numerem czwartym. I że masz na myśli trzech oprócz mnie.

- Ty jesteś numerem trzecim.

- O Boże, to... tragiczne. Tak. Prawdziwa tragedia. Jesteś jednoosobowym kryzysem humanitarnym.

- Niepotrzebnie ci powiedziałam.

- Ależ postąpiłaś słusznie. Czuję tylko, że powinienem był bardziej się postarać. Dać ci pokaz pierwsza klasa.

- A ten nie był pierwsza klasa?

- Nie wiem, co to było - zamyślił się. - To był mój lekko wstawiony, poprzedzony telefonem z automatu pokaz. Zaslugujesz na coś lepszego.

- Następnym razem - powiedziałam. Henry przewrócił się na bok i usiadł.

- Ale ty nie możesz już ze mną więcej sypiać. Ten rodzaj wyłączności nigdzie cię nie zaprowadzi. Kiedy tylko przejdę przez drzwi, powinnaś natychmiast chwycić za telefon. Musisz szybko podnieść swoją średnią do rozsądnej wysokości.

- A jaka będzie rozsądna? Na dzisiejsze czasy, oczywiście. Dla kobiety w moim wieku.

- Dziewięciu.

- Dziewięciu?

- Wygląda na to, że dla każdej kobiety, z którą spałem, byłem numerem dziewiątym.

- Naprawdę?

- Kiedy się nad tym zastanawiam, zawsze byłem numerem dziewiątym. - Te zdziiry chyba mnie okłamywały.

Wstał z łóżka i ruszył w stronę łazienki.

- Nie pytaj mnie, z iloma kobietami spałem, bo będę musiał cię okłamać - zawołał już ze środka. - Działamy na zasadzie wyjątkowej szczerości i chciałbym utrzymać ten stan

rzeczy jak najdłużej.

- Dobra - zgodziłam się.

- Świetnie.

- I po chwili usłyszałam jeszcze: Trzech! Jezu Chryste!

Dziesięć

Wcześniej następnego ranka zadzwonił telefon. Bonnie.

- Słyszę, że jesteś w dobrym nastroju - powiedziała.

- Oj tak - odparłam.

- To znaczy, że wszystko dobrze poszło?

- Było niesamowicie.

- Skarbie - zawołała Bonnie do Larry'ego. - Bob spodobał się Alison.

- Nie. Tak naprawdę było do niczego.

- Co?

- Bob mi się nie spodobał. Albo ja jemu - powiedziałam. - W każdym razie nic z tego nie wyszło.

- To o czym mówisz?

Seks z Henrym nie należy do rzeczy, o jakich zazwyczaj opowiadam Bonnie, a przynajmniej nie tak od razu. Dzieje się tak z powodów, które dalszy ciąg naszej rozmowy wyjaśni aż zbyt dosadnie. Teraz byłam jednak osaczona, nie miałam się jak wykręcić, więc musiałam jej o wszystkim powiedzieć.

- Zadzwonił do drzwi i zaraz wskoczyłaś z nim do łóżka? - wykrzyknęła Bonnie, a kiedy wypowiadała ostatnie cztery słowa, jej głos wzniósł się o dobrą oktawę.

- Nie - odparłam. - Najpierw zatelefonował z automatu. Chciał tylko ze mną porozmawiać. Seks po prostu się wydarzył.

- Alison, nie możesz pozwalać, żeby twój szef dzwonił do ciebie z automatu w środku nocy, a potem przychodził i uprawiał z tobą seks.

- To nie było tak - powiedziałam, choć zdawałam sobie doskonale sprawę, że właśnie tak było.

- To nie jest rozsądne - oświadczyła Bonnie.

- Może mam już dość bycia rozsądną. Bonnie zamilczała.

- Może na tym właśnie polega mój problem - powiedziałam. - Przez cały czas myślę pięć ruchów do przodu.

- Nie mówię wcale, że powinnaś myśleć pięć ruchów do przodu. Ale co powiesz na jeden? Na przykład, kiedy on przestanie z tobą sypiać, ale nadal będzie twoim szefem.

- Może wcale nie chcę o tym myśleć i choć raz w życiu zostawię sprawy własnemu biegowi.

- Alison, wiem, że jesteś zmartwiona z powodu Toma. I masz do tego pełne prawo.
Ale cała reszta jest zupełnie do ciebie niepodobna. Może przez jakiś czas powinnaś pobyć sama.

- Jestem sama, Bonnie.

- Chodzi mi o to, że powinnaś być sama i nie uprawiać z nikim seksu.

Usłyszałam w tle głos Larry'ego:

- Alison uprawiała seks z Bobem? Tak trzymać, Alison.

- Powiedz mu, że to nieprawda.

- Nie uprawiała seksu z Bobem. Spała ze swoim szefem - wyjaśniła Bonnie.

- Obojętne. Tak trzymać, Alison - powtórzył Larry.

- Dlaczego ty nie możesz podchodzić do tego w ten sposób? - spytałam. - Moim zdaniem coś takiego bardzo mi się przyda.

- Nic na to nie poradzę. Martwię się o ciebie.

- A o co tak dokładnie?

- Martwię się, że ten facet wykorzystuje cię tylko do seksu, a kiedy się znudzi, będziesz cierpieć jeszcze bardziej niż teraz - powiedziała Bonnie.

- Czy przyszło ci do głowy, że może to ja wykorzystuję go do seksu?

- Naprawdę? - Bonnie była wyraźnie zaintrygowana.

- Nie jestem pewna - odparłam. - Ale powiem ci jedno. Jeśli miałabym wykorzystywać w tym celu kogokolwiek, to na pewno byłby to Henry.

Później tego samego dnia spotkałam się z Cordelią na lunchu. Opowiedziała mi o swoim nowym chłopaku Naldo, który pracował jako kelner w Bookbinders, a dorastał w Wisconsin.

- Ma wielki penis, co stwarza pewien problem - powiedziała.

- Jego penis jest tak wielki, że macie z tym problem? - spytałam.

- Nie przeszkadza nam w samym akcie - wyjaśniła Cordelią. - Chodzi o to, że jestem bardzo podejrzliwa w stosunku do mężczyzn z dużymi penisami.

- Dlaczego?

- Moim zdaniem, trudno jest im zachować wierność, bo stale chcą się nim chwalić.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- To tak, jakby się miało rewelacyjną brykę, którą można jeździć tylko na zamkniętym torze.

- A mężczyźni lubią, by inni podziwiali ich samochody. Mężczyzna z dużym penisem nie może więc pozostać wierny jednej kobiecie, bo jest to całkowicie sprzeczne z jego naturą.

I to podwójnie.

- Może powinniśmy szukać mężczyzn z małymi penisami, bo wtedy się ich wstydzą - zauważyłam.

- Nawet mężczyźni z małymi penisami się ich nie wstydzą – zaprotestowała Cordelia. - Bóg jeden wie, że powinni, ale tak nie jest.

Uwielbiam Cordelię. Jesteśmy do siebie podobne pod wieloma względami, ale najważniejsze chyba jest to, że ona została wychowana w takiej samej maniacko religijnej rodzinie jak moja, z tą tylko różnicą, że jej krewni są mormonami. Rodzina Cordelii jest tak bardzo mormońska, że jej prapradziadek ścisnął dłoń samemu Brighamowi Youngowi. Jej babcia tak właśnie się przedstawia, gdy wita się z kimś po raz pierwszy: „Ściskasz dłoń osoby, która ścisnęła dłoń osobie, która ścisnęła dłoń Brighamowi Youngowi”. Na pierwszy rzut oka nie wydaje się, że powinniśmy mieć przez to wiele wspólnego, ale prawda wygląda tak, że nasze rodziny przestrzegały chyba tych samych zasad gry. Muszę przyznać, że trochę się przeraziłyśmy, gdy stwierdziłyśmy to po raz pierwszy. Pamiętajcie ten fragment, gdy opowiadałam wam o przedwcześnie zerwanym kwiecie, którego nie zechce żaden mężczyzna?

Posłuchajcie, jak to wyglądało w Kościele Cordelii. Wszystkie nastolatki otrzymywały białą różę na długiej łodydze. Potem musiały wysłuchać krótkiego wykładu o czystości wygłaszanego przez jedną z młodych żonek. (Tymi sprawami zawsze zajmują się kobiety; ludzie są wstrząśnięci, gdy dowiadują się, że ręka dzierżąca skalpel przy wycinaniu lechtaczki należy do kobiety, ale mnie to wcale nie dziwi). Następnie kobieta, która wygłosiła wykład, chodziła po sali i - brudną ręką - niszczyła każdą różę, wrywając płatki i pytając dziewczęta, czy chcą, by tak właśnie to się odbyło, czy tak właśnie chcą skończyć, czy taki prezent pragną wręczyć mężowi w noc poślubną. Nie dziwicie się więc chyba, że bunt Cordelii osiągnął jeszcze większe rozmiary niż mój.

W tym miejscu chciałabym przerwać na chwilę moją opowieść i zastanowić się nad kobietami i Kościołem. Kiedy od czasu do czasu w rozmowie pojawia się temat roli kobiety w Kościele, który nie należy oczywiście do moich ulubionych, próbuję sobie jakoś z nim poradzić. Zawsze w pewnym momencie osoba, z którą rozmawiam (tak się składa, że zawsze mówi to kobieta, ale podejrzewam, że gdybym usłyszała coś takiego z ust mężczyzny, najprawdopodobniej wymierzyłabym mu cios prosto w szczękę), próbuje wytłumaczyć, dlaczego nie przeszkadza jej wcale, że w tradycji, w jakiej została wychowana, kobietom nie wolno wygłaszać kazań, rozdawać komunii, nauczać mężczyzn ani piastować wyższych stanowisk w Kościele.

Dlaczego nie buntuje się, że jej głównym zadaniem jest rodzenie dzieci i poddawanie się woli męża. Dlaczego nie widzi w tym problemu. „Ta pierwsza rola nie jest gorsza od drugiej”, mówi zawsze kobieta. „Te role są po prostu inne”. W takich wypadkach odpowiadam zawsze, że to nieprawda. Jedna jest gorsza od drugiej. Znacznie gorzej jest być osobą podporządkowaną woli partnera, wiecznym numerem drugim. Nie jest wcale inaczej, gdy nie jest się przywódcą, szefem, wyznaczonym przez Boga numerem pierwszym - jest gorzej. I przypuszczam, że najlepszą rzeczą, jaką przyniosła mi przyjaźń z Cordelią, było przekonanie, że w tym konkretnym przypadku mormoni i ewangelicy są dokładnie tacy sami. Język, jakiego używają, jest nie tylko podobny - jest identyczny. I możemy tu pominąć podstawowe różnice teologiczne. Nieważne, że oni uważają, iż to my pójdziemy do piekła, a my, że oni. Kiedy przychodzi do kwestii podporządkowania kobiet, obie strony są zaskakująco zgodne.

- Nie jestem pewna, czy twoja teoria dotycząca rozmiarów penisa jest słuszna - powiedziałam. - Penis Toma był średni. Nie było się czym szczycić i o czym pisać w liście do domu.

- Kochani rodzice, poznałam właśnie faceta z penisem średnich rozmiarów - rzekła Cordelią. - Masz rację. Nikt o zdrowych zmysłach o tym by nie pisał.

- W każdym razie Kate miała okazję oglądać go już w college'u, nie widzę więc powodu, dla którego ich romans miałby się opierać na jego pragnieniu zademonstrowania, czym obdarzyła go natura.

- Chyba że... - Cordelią wyraźnie się ożywiła. Robi to zawsze, gdy wygaduje bzdury. - ... urósł.

Skubnęłam sałatkę widelcem.

- Musiał się więc pochwalić - dodała triumfalnie. Spojrzałam na nią groźnie.

- Zgadzam się, że to mało prawdopodobne - oświadczyła.

- Nie sądzę, by penis rósł jeszcze w dojrzałym wieku.

- A wielka szkoda - powiedziała Cordelia, spoglądając na mnie przez stół. - Chyba nigdy tego nie pojmiesz.

- Chodzi ci o Toma? Skinęła głową.

- Ale muszę. Nie mogę znieść tej niewiedzy.

- Czułam się tak samo, gdy rozpadło się moje małżeństwo. Ale w pewnym momencie musiałam się pogodzić z myślą, że nigdy tego nie zrozumieć, że nigdy nie dopatrzę się w tym sensu, że nie mogę obwiniać ani siebie, ani jego.

- Mimo to na początku go obwinałaś - powiedziałam.

- Wiem. Ale ten facet był tak straszliwie walnięty, że zdałam sobie sprawę, że nie powinnam. Zaczęłam więc obwiniać życie. Teraz pracuję nad nowym podejściem.

- Jakim?

- Uczę się przyjmować życie, jakim jest. Po prostu afirmuję życie.

W tej chwili przypominałam sobie poradniki, które każą ci akceptować swoje ciało.

Dla mnie było to nie do przyjęcia, ponieważ akceptując swoje ciało, utknęłabym z nim na dobre, a to byłoby już nie do zniesienia. Powiedziałam o tym Cordelii.

- Dlatego właśnie nie mogę afirmować życia, jakim jest - wyjaśniłam. - Jeśli zacznę je afirmować, to utknę w nim na dobre.

- Już w nim utknęłaś - usłyszałam w odpowiedzi.

- Wiem. Ale nie chcę się z tym pogodzić.

Jedenaście

Wypracowałam sobie teorię głoszącą, że większość mężczyzn przynajmniej przez pewien czas źle traktuje kobiety, z którymi się umawia. W przypadku porządnym facetów okres złego traktowania stanowi tylko krótką fazę, kiedy próbują dojść do ładu ze sprzecznymi uczuciami dotyczącymi zobowiązań i własnej śmiertelności.

W końcu udaje im się pogodzić z myślą, że będą uprawiać seks z tą samą kobietą do końca życia. A ci źli? No i tutaj właśnie mamy problem. Jeśli porządny facet traktuje cię źle i ten zły również, raczej trudno jest ich odróżnić, prawda?

Moja przyjaciółka Angie poznała faceta z ogłoszenia. Chodzili ze sobą przez siedem miesięcy i byli (to ona tak uważała) szalenie zakochani. Pewnego dnia odkryła, że ukochany od czasu do czasu przejeżdża obok domu swojej byłej dziewczyny i wrzuca do skrzynki czułe liściki. Angie nigdy by się o tym nie dowiedziała, gdyby nie poszła na przyjęcie do swojej ciężarnej kuzynki i nie podsłuchiwała, jak jedna z kobiet opowiada o swoim byłym chłopaku i liścikach.

Wyznała otwarcie, że to żalosne, i nie mogła pojąć, co ona w ogóle w nim widziała. Żalony facet miał na imię Julian, a Angie przeczytała na stojącej na stole wizytówce, że kobieta nosi imię Jennifer, pisane właśnie przez G. Uznała, że to wcale nie jest zabawne, bo jej Julian też chodził z Jennifer. Po powrocie do domu spytała zaraz ukochanego, jak jego Jennifer pisała swoje imię. Kiedy usłyszała, że przez G, kopnęła go dwa razy, raz w każdy goleń. Najbardziej niepokojące jest to, że Julian przyznał się do wszystkiego, przeprosił Angie i przestał podrzucać liściki. Są małżeństwem od dwóch lat i wyglądają na bardzo szczęśliwych. No dobra, względnie szczęśliwych. Są tak szczęśliwi jak większość moich przyjaciół: wychodząc za mąż, kobiety odczuwają wielką ulgę, niczym gigantyczne żółwie morskie, które znalazły odpowiednią plażę do złożenia jaj i udało im się uniknąć wciągnięcia do morza przez fale, a mężczyźni... no cóż, mężczyźni wyglądają na pogodzonych z tym, co i tak było nieuniknione.

Dwa dni po tym, jak po raz drugi przespałam się z Henrym, weszłam do jego gabinetu i zamknęłam drzwi.

- Cześć - powiedziałam.

- Co jest? - spytał i nadal przeglądał stos papierów piętrzących się na biurku.

- Zastanawiałam się właśnie, czy nie moglibyśmy porozmawiać o naszym związku.

(Wiem. Wiem. Nie mam żadnego wytłumaczenia. Prawdę mówiąc, pragnę

rozpaczliwie znaleźć jakąś wymówkę, jakieś rozsądne wytłumaczenie rozmowy, którą zaraz wam przytoczę, ale niestety nic takiego nie istnieje. Nigdy nie zrozumieję tej części mojej osobowości, nigdy nie dopatrzę się w niej sensu i bardzo bym chciała, by pewnej nocy ktoś wyprowadził ją za szpę i zastrzelił).

- Związku? - spytał Henry, nie podnosząc wzroku znad papierów. - Jakim związku?

- No wiesz. Tym. Spojrzał na mnie.

- No co? - spytałam.

- Nie wiedziałem, że łączy nas jakiś związek.

- Więc jak to nazwiesz?

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Nie wiedziałem, że musimy to jakoś nazywać.

- Spaliśmy ze sobą cztery razy - powiedziałam.

Zmarszczył brwi.

- Nie, dwa razy.

- Cztery, ale przy dwóch różnych okazjach.

- Nie jestem w tych sprawach ekspertem, ale jeśli mamy mówić o naszym związku - ostatnie słowo wypowiedział z naciskiem, jakbym wymyśliła je wyłącznie na potrzeby tej rozmowy - to chyba możemy mówić o dwóch.

- O co ci chodzi?

- O to, że ta rozmowa wydaje mi się nieco przedwczesna.

- Dobra. Nie ma sprawy. Usłyszałam odpowiedź. - Ruszyłam w stronę drzwi.

- Jaka?

- Że to tylko seks. I nie mam nic przeciwko temu. Chciałam tylko wiedzieć.

- Tak bym tego nie nazwał.

- A jak?

- Muszę się zastanowić. - Wyciągnął się wygodnie w fotelu i patrzył przed siebie. - Dobra zabawa i przyjemność. To coś pomiędzy „tylko seksem” i „związkiem”.

- W porządku. - Poczulałam się trochę lepiej.

- Świetnie. Wszystko więc wyjaśniliśmy?

- Chyba tak.

- To dobrze - powiedział i znów zajął się papierami. Odwróciłam się. Tak to się kończy, gdy sypiasz z szefem, pomyślałam. Tak się dzieje, gdy pozwalasz nowemu szefowi dzwonić do siebie z automatu o jedenastej w nocy, potem wpadać i uprawiać seks dwa razy, co w sumie daje cztery razy przy dwóch różnych okazjach. Chciałaś się zabawić. Chciałaś

przeżyć coś niezwykłego. Chciałaś być jak dziewczyny z serialu Seks w wielkim mieście i Henry odegrał swoją rolę, dostarczył towar i nie powinnaś oczekiwać, że będzie potem tolerował twoje wybryki. On się na to nie pisał. Na pewno nie.

- Ja... mnie nie interesuje dobra zabawa i przyjemność - powiedziałam.

- Nie?

- Nie.

- Prosisz mnie, żebym się z tobą ożenił? - spytał Henry.

- Nie.

- Prosisz mnie, żebym poprosił cię o rękę?

- Nie.

- Chcesz, żebyśmy razem zamieszkali?

- Nie.

- Nie widzę więc problemu.

- Bo go nie ma.

Zapadła długa chwila milczenia.

- Alison - powiedział ciepło Henry. - Nie musisz się we mnie zakochiwać tylko dlatego, że byłem Numerem Trzecim.

- Nie jestem w tobie zakochana - odparłam.

- Wiem. Ale poczujesz się lepiej, jeśli będziesz sobie często o tym przypominać.

Pytam was, czy to nieuniknione, że dziewczyna taka jak ja musi myśleć, że jest zakochana w każdym facecie, z którym pójdzie do łóżka? Czy to rzeczywiście nieuniknione? Tak naprawdę chcę jednak zadać następujące pytanie: Czy zorientowaliście się, że coś takiego nadciąga? Bo ja nie. Szczerze. Naprawdę byłam święcie przekonana, że mogę uprawiać przypadkowy seks z Henrym, że będzie moim tłustym naleśnikiem i że zajmę się dalej swoim życiem, nie zwracając specjalnie na niego uwagi, i ani razu nie obejrzę się za siebie. Czy w moim przypadku jest to w ogóle możliwe? Nie pytam, czy to optymalne, godne pożądanego lub dobre - tylko czy możliwe. Ciekawe. Zastanawiam się, czy gdybym wskoczyła do łóżka z kimś innym, z facetem, który, powiedzmy, nie mówi ani słowa po angielsku, czy wtedy mój eksperyment z przypadkowym, najzupełniej niezobowiązującym seksem byłby na tyle pozbawiony znaczenia, że uniknęłabym tego typu komplikacji?

(Zważcie, proszę, że nie wypowiadam się tutaj w imieniu wszystkich kobiet. Nigdy nie roszczę sobie takiego prawa, ale w tym wypadku czuję, że moja postawa nabiera głębszego znaczenia. Wiem, że istnieją kobiety, którym udaje się podjąć tego typu działania i nie wplątują się przy tym w całą skomplikowaną pajęczynę uczuć, które nie są przekonane, że

zakochały się w mężczyźnie tylko dlatego, że widział, jak przechodzą nago z łóżka do łazienki i z powrotem. Wiem z całą pewnością, że tego typu kobiety istnieją. Jedną z nich jest Cordelia. Uprawiała seks z osiemnastoma mężczyznami i liczba ta wcale nie jest zaskakująca jak na kobietę w wieku trzydziestu czterech lat, ale mnie nie przestaje zaskakiwać. Osiemnastu mężczyzn. Całkiem nieźle! Chodzi mi jednak o to, że wcale się w nich wszystkich nie zakochała. Tylko w niektórych).

Jeśli zakochanie się jest nieuniknione - zważcie, że wyciągnięty przeze mnie wniosek nie jest ostateczny, gdyż nie udało mi się zebrać stosownej ilości danych (nie jestem nawet pewna, jaka ilość byłaby w tym przypadku stosowna, ale na pewno więcej niż trzy przypadki) - co to oznacza dla obu zaangażowanych stron?

Kiedy powiedziałam, że Henry z pewnością nie pisał się na moje wybryki - czy rzeczywiście tak myślałam? Na co się pisał, uprawiając ze mną seks, jeśli nie na związek i wybryki? Muszę wierzyć, że nawet przed rozmową o Numerze Trzecim Henry musiał wiedzieć, w co się pakuje, i zastanawiam się tylko, co on sobie u licha myślał. Co on sobie myślał? Kilka lat temu mój przyjaciel Erie powiedział mi, że tego lata, kiedy skończył trzynaście lat, miał osiem albo dziewięć orgazmów dziennie, a większość z nich osiągał, stając przy dyszach w basenie sąsiada.

Jakaś częśćka mnie nie uwierzyła w tę historię, niewielka częśćka pomyślała, że on z pewnością ma jakiś problem, a wielka część doszła do wniosku, że już nigdy nie pójde pływać z Erikiem. Wspominam o tym teraz, bo nie może mi to wyjść z głowy - uważajcie, wy też się od tego nie uwolnicie - a także dlatego, że być może to wszystko jest bardzo proste. Może to właśnie myślał sobie Henry - to znaczy, nie myślał nic. Może kiedy próbuję doszukać się sensu i logiki w kwestiach mężczyzn i seksu, powinnam stale przypominać sobie Erica i jego wyczyny w basenie.

I jeszcze jedno. Proces zbierania danych. Możliwe, że kiedy uda mi się zebrać już dość informacji, by dojść do konkretnych wniosków dotyczących zakochiwania się takiej dziewczyny jak ja we wszystkich mężczyznach, z którymi sypia, nie będę już dziewczyną taką jak ja i cała sprawa straci na aktualności. Sam fakt eksperymentowania zmieni fundamentalną naturę próbki poddawanej badaniom. Może więc powinnam zaakceptować to, że będę się zakochiwać w każdym mężczyźnie, z którym pójde do łóżka, a skoro już jestem przy akceptowaniu, to może powinnam również pogodzić się z myślą, że kiedy prześpię się z wystarczającą liczbą mężczyzn i nie będę już w stanie w nikim się zakochać, sama stanę się zupełnie inną osobą.

Dwanaście

Jedną z korzyści płynących z pisania felietonów do gazety w mieście takim jak Filadelfia jest bez wątpienia to, że od czasu do czasu proszą nas o spełnienie pewnego obowiązku, który w większym mieście na pewno przypadłby jakiejś sławnej osobie. Zwykle chodzi o uczestniczenie w pracach jakiegoś jury i na ogół chętnie się na to zgadzam.

Jedna z takich okazji wypadła w czwartkowy wieczór. Poproszono mnie o udział w ocenie pasztecików. Był to jakiś konkurs kulinarny, z różnymi kategoriami, a mnie przypadły akurat paszteciki. I dobrze. Bardzo lubię paszteciki. Na dodatek wszystko ułożyło się doskonale. Tuż po odbyciu z Henrym rozmowy pod hasłem „Nie jestem w tobie zakochana” musiałam wyjść z pracy i ocenić czternaście różnych pasztecików pod względem chrupkości ciasta i smaku nadzienia. Było to usankcjonowane obowiązkiem obżarstwo. Potem wróciłam do domu, żeby się przebrać, i około ósmej ruszyłam z powrotem do Reading Terminal na przyjęcie, na którym miano ogłosić zwycięzców.

Reading Terminal jest jednym z ulubionych miejsc mieszkańców Filadelfii i w pełni na to zasługuje. To targ odbywający się we wnętrzu starego dworca, na którym amiszki sprzedają miód w słoikach z bawełnianymi kapturkami, a ich uśmiechnięci mężowie oferują pastę do butów za trzy dolary. W jednym z kramów można znaleźć wyłącznie stare książki kucharskie, w innym tylko posypane cukrem pudrem pączki, a jeszcze w innym ręcznie robione precle. Na dodatek nic tu nie jest pretensjonalne, co już jest niemałym osiągnięciem. Razem z Tomem chodziliśmy tam w każdy sobotni rano na brunch. Kupowaliśmy w kiosku „Philadelphia Inquirer” i „The New York Times”, siadaliśmy w jednej z knajpek, a wychodząc, zatrzymywałam się w Salumerii, żeby wybrać jakiś ciekawy ser. Kiedy jest się w związku, takie rzeczy są niezbędne.

Potrzebujesz ich, by stale sobie przypominać, że lepiej jest być częścią pary niż singlem, bo sama myśl o samotnym wyjściu do Reading Terminal w sobotni rano, samotnym czytaniu gazety i kupowaniu sera, żeby go potem zjeść samotnie w domu, jest nie do zniesienia. Kiedy tego wieczoru szłam Market Street, zastanawiałam się, czy Tom zabrał tam Kate w minioną sobotę, a jeśli nie, to ile czasu upłynie, zanim to zrobi. Byłoby naiwnością z mojej strony sądzić, że nigdy się tam nie wybiorą - sobotni rano w Reading Terminal jest zbyt idealny i nie widzę powodu, dlaczego Tom nie miałby zachować tego, co w naszym związku było najlepsze, nawet jeśli ze mną zerwał. Ciekawe, co by się stało, gdybym pewnego dnia weszła tam i zobaczyła Toma i Kate siedzących przy stoliku, podających sobie

„The New York Times” nad filiżankami z kawą. Zaczęłam się zastanawiać, czy znalazłabym w sobie dość odwagi, żeby podejść do nich i rzucić jakąś zgryźliwą uwagę, która zabrzmiałaby całkiem naturalnie. Chyba nie. Po chwili przez duże wahadłowe drzwi weszłam do środka Reading Terminal i przestałam myśleć o Tomie. Pod palmą w donicy stał bowiem mój największy wróg w osobie Mary Ellen.

Zdaje sobie doskonale sprawę, że przedstawianie największego wroga na tym etapie historii jest dużym błędem. To pogwałcenie wszelkich zasad konstrukcji dramatycznej - nie chcę przez to wcale powiedzieć, że do tej pory trzymałam się jakichkolwiek zasad, ale gorąco pragnę wierzyć, że jak na razie żadna z nich nie została ciśnięta na podłogę i pogwałcona. No dobra. Mam wielkiego wroga o nazwisku Mary Ellen. Nie wspominałam o niej do tej pory, gdyż stanowi ona przykład wroga, o którym jestem w stanie na długi czas zapomnieć. Po pierwsze rzadko ją widuję. Czytam za to co tydzień jej felieton, żeby sprawdzić, czy w moją stronę nie zacierają jakieś zatrute strzały. Postawiłam sobie za punkt honoru nigdy nie wspominać o niej w druku i nie zrobiłam tego ani razu. Zawsze byłam ponad naszą domniemaną rywalizację i udawałam publicznie, że Mary Ellen nie jest dla mnie niczym więcej, jak tylko czymś paskudnym, w co przez przypadek wdepnęłam. Dlatego pragnęłabym gorąco móc pominąć tę część historii. Pragnęłabym, ale nie mogę, przede wszystkim dlatego, że nie mogę żadną miarą pominąć tego, co się wydarzyło tamtego wieczoru.

Wiem, że do tej pory byliście przekonani, że „The Philadelphia Times” jest najbardziej podrzędną gazetą w mieście, lecz teraz dowiedcie się, że istnieje jeszcze bardziej podrzędna. To rozdawana za darmo, podobnie jak nasza, „Hello, Philly!”. Musicie jednak wiedzieć, że „Times” trafia do czytelników za pomocą metalowych skrzynek umieszczanych na rogach ulic, podczas gdy „Hello, Philly!” wisi na klamkach mieszkań, podobnie jak oferty wyprzedaży w supermarketach. Dla nas od zawsze stanowiło to wielką różnicę. Mam świadomość, że brzmi to bardzo małostkowo, i toczę wewnętrzny bój, w którym jedna strona chce wyznać, że to wcale nie było małostkowe, a druga po prostu odpuścić i dać sobie z tym spokój.

Dobra, odpuszczam. W każdym razie, jak większość małostkowych spraw, dla osób tkwiących w samym jej środku wydawała się wcale niebagatelna.

Kiedy Mary zdobyła pracę w redakcji gazety, którą wieszka się na klamkach, natychmiast wywołała sensację, o jakiej ja zawsze marzyłam, tylko nic z tego nie wyszło. Swój pierwszy felieton poświęciła wyzwaniom, jakie napotykają osoby uprawiające seks oralny w miejscach publicznych, ale nie myślcie sobie, że właśnie to stało się źródłem sensacji. Największe zamieszanie wywołał list, jaki tydzień później wydrukowano w gazecie.

Autorką był nie kto inny jak matka Mary Ellen, która napisała tylko jedno zdanie: „Teraz cały świat wie, że moja córka obciąża druta”. I nagle BUM, Mary Ellen zdobyła to, czego potrzebuje każdy felietonista, czyli osobowość. Nagle stała się istotą ludzką, która ma matkę czytającą co tydzień jej felieton. Na dodatek ta sama matka przysyła do gazety listy zawierające wyrażenia „obciążać druta”. To było naprawdę mistrzowskie posunięcie, które z nawiązką wynagrodziło fakt, że tak naprawdę Mary Ellen nie potrafi pisać.

Pomyślcie teraz na pewno, że jestem złośliwa, ale niestety właśnie tak wygląda prawda. Upraszczając, Mary Ellen należy do dziewcząt, które lubią pisać o tym, że są dobre w łóżku. I dlatego Olivia nienawidzi jej jeszcze bardziej niż ja. Do tej pory była bowiem przekonana, że ma na te sprawy wyłączność, przynajmniej w Filadelfii. Powinnam chyba teraz przerwać na chwilę moją opowieść, żeby dokonać pewnego rozgraniczenia. Olivia jest dziennikarką, która odpowiada na listy dotyczące seksu, podczas gdy Mary Ellen pisze felietony o własnym życiu, które - o dziwo - składa się niemal wyłącznie z seksu. Rozgraniczenie wydaje się sensowne, lecz nie zdradzając, do czego to wszystko zmierza, mogę wam tylko powiedzieć, że w jednej alternatywnej gazecie nadal bardzo rzadko pojawiają się pisane przez dwie różne osoby artykuły w sprawach seksu. Szefowie zawsze znajdą jednak jakiś sposób, by wszystko dokładnie zamieszać, nie wychodząc przy tym na pospolitych drani i zbrojeńców, którzy ulegają kaprysom. Podejrzewam, że nie chcą uchodzić za pospolitych drani i zbrojeńców, którzy ulegają kaprysom, bo mogłoby się okazać, że tak jest w istocie. Sporo czasu upłynęło, zanim uświadomiłam sobie, że ogłoszenia, które pisałam na ostatnią stronę gazety, reklamują usługi prostytutek. Nie jestem pewna, co te panie miały sprzedawać; nie sądziłam po prostu, że wolno im zamieszczać ogłoszenia w prasie. Wolno czy nie wolno, prawdą jest, że to robią. Wiedźcie, że alternatywne gazety w Stanach Zjednoczonych przeżyły prawdziwy boom w okresie pomiędzy zdelegalizowaniem sekstelefonów i pojawieniem się pornografii w Internecie.

Jednym z problemów związanych z pisaniem zabawnych felietonów na wyznaczony termin jest to, że czasami coś nie zaskoczy i cały humor bierze w łeb. Kiedy do głowy nie przychodzi ci żaden ciekawy pomysł i kończy się na tym, że wrzucasz do tekstu jakiś niezwiązany z tematem fragment, nie martwi cię to wcale aż tak bardzo, jak powinno. A dlaczego? Bo gdy następnego dnia otwierasz gazetę, z wielką ulgą dostrzegasz na dobrze znanym miejscu wydrukowane słowa zamiast wielkiej białej plamy, która jeszcze poprzedniego wieczoru straszyla cię jak widmo. Ale udało się. Coś tam wyskrobałaś. A fakt, że twoje skrobanie jest trywialne, żenujące lub idiotyczne - no cóż, tłumaczysz sobie, że przecież nie możesz być obiektywna w ocenie własnego tekstu. Czasami - niestety, zdarza się

to niezwykle rzadko - czujesz, że masz pistolet przystawiony do głowy, i piszesz rzeczy, jakich w normalnych okolicznościach nigdy byś nie napisała, i wtedy możesz spłodzić prawdziwy klejnot. W większości wypadków o żadnej biżuterii nie może być jednak mowy. I podejrzewam, że mój prawdziwy problem z Mary Ellen polegał na tym, że czytając jej felietony, nie mogłam uwolnić się od myśli, że granica pomiędzy świeżością a bezwstydem jest niebezpiecznie cienka. Czytając felietony Mary Ellen, myślałam: Oto głupia dziewczyna, która wypisuje same głupoty.

Mary Ellen nie jest też dobrą osobą. To druga strona medalu. Nie jest ani dobra, ani miła. Ja chyba za bardzo się staram, żeby zawsze okazać się miłą i dobrą. A powinno się w sobie wypracować wiele innych cech poza dobrocią i sympatycznym usposobieniem. Te dwie cechy powinno się wybijać siłą z takich ludzi jak ja.

Chyba lepiej radziłabym sobie w życiu, gdybym była choć trochę zła i opryskliwa, ale już trudno. Tak jak z każdą kobietą, którą guzik obchodzi bycie dobrą i miłą, tak i z Mary Ellen mój problem polegał przede wszystkim na tym, że się jej bałam.

Nie rozumiałam zasad gry, w jaką pogrywa, a na dodatek w głębi ducha byłam przekonana, że w swoich gierkach nie stosuje absolutnie żadnych zasad.

- Co oceniałaś? - spytała, gdy zobaczyła mnie w drzwiach.

- Paszteciki - odparłam. - Czternaście różnych. A ty?

- Babeczki. Dali nam dziewczynskie jedzenie.

- Matt zjadł dwanaście kotletów z sera.

Mary Ellen owinęła wokół palca pasmo długich jasnych włosów.

- Bardzo mi przykro z powodu ciebie i Toma. Skinęłam głową.

- Kate ma straszne wyrzuty sumienia - powiedziała. Minęła dobra chwila, zanim zrozumiałam jej słowa.

- Znasz ją?

- To moja przyjaciółka.

- Jasne - odparłam. - Czemu nie.

- Ale tak naprawdę ona nie wierzy w takie rzeczy - zauważyła Mary Ellen. - Już parę miesięcy temu powiedziałam jej, że to nie jest w porządku. Tak się nie robi.

Poczułam, że kręci mi się w głowie.

- Kate mówiła mi, że Tom wyraża się o tobie jak najlepiej.

- Ach tak. Przepraszam - przerwałam jej. - Muszę iść. Mam tu coś do załatwienia.

Oszołomiona ruszyłam w stronę damskiej toalety. Po minucie udało mi się ułożyć wszystkie kawałki układanki, choć miałam tylko trzy - pasowały do siebie wręcz idealnie.

Mary Ellen wiedziała, że Kate Pearce sypia z Tomem, zanim ja się o tym dowiedziałam. I - pod wieloma względami to było jeszcze gorsze - chciała, żebym wiedziała, że była dobrze poinformowana. Nie wystarczyło jej, że zostałam upokorzona. Ona odczuwała palącą potrzebę, by zwrócić moją uwagę na to upokorzenie. Wyobraziłam ją sobie, jak czyta co tydzień mój felieton, w którym umiejętnie opisywałam kolejne etapy mojego związku z Tomem: jak razem zamieszkaliśmy, kupowaliśmy kanapę, jak bardzo byłam szczęśliwa, i przez cały czas wiedziała, że Tom bzyka Kate Pearce za moimi plecami. Zrobiło mi się niedobrze. Chciałam umrzeć. Jakaś część mnie mogła pogodzić się z faktem, że Kate wiedziała - chodzi mi o to, że miałam mnóstwo powodów, żeby się wściekać na Kate i na fakt, że wiedziała o swoim romansie z Tomem, zanim ja to odkryłam - ale Mary Ellen! Mój największy wróg! Kobieta, która życzyła mi jak najgorzej!

Byłam udręczona. I naprawdę nie mogłam uwierzyć, że Tom postawił mnie w takiej sytuacji. Wiem, że brzmi to szaleńczo, ale jakaś część mnie potrafiła zrozumieć, że Tom wyładował w łóżku Kate Pearce, a nawet to, że przez kilka miesięcy spotykał się z nią ukradkiem. Ale że mógł to robić, wiedząc, że o wszystkim dowie się Mary Ellen; wiedząc, że tak straszliwie mnie upokorzy - wydawało się niepojęte. Jakim cudem więc do tego doszło?

On musiał mnie naprawdę nienawidzić. Siedziałam na sedesie, po twarzy płynęły mi łzy i powoli oswajałam się z myślą: Tom musiał mnie naprawdę nienawidzić. To jedyne sensowne wytłumaczenie, jakie przychodziło mi do głowy. Jedyne sposób, by wszystko jakoś rozsądnie poukładać. Obracanie tego zdania w myślach napawało mnie tak straszliwym smutkiem, że nie mogłam złapać tchu. Co ja takiego zrobiłam, żeby Tom do tego stopnia mnie znienawidził? Jak mogłam niczego nie zauważyć?

Jakaś część mnie była w stanie zrozumieć, że Tom potrafił ukrywać swoją niewierność. Doceniałam sposób, w jaki układał kłamstwo jedno na drugim, aż przypominały zgrabny stos cegieł. Ale jak u licha udało mu się ukryć tę nienawiść?

Drzwi do toalety otworzyły się i usłyszałam głosy. Dwie nieznane mi kobiety rozmawiały o zastępcy szefa kuchni w Treetops, który próbował wpłynąć na werdykt jury. Za wszelką cenę starałam się uspokoić. Nie był to ani czas, ani miejsce na przeżywanie tragedii. Zrobię to później w miejscu bardziej odpowiednim niż przerobiony na targ dworzec kolejowy w Filadelfii, na którym aż roilo się od członków kulinarnej i medialnej elity miasta.

Kobiety wyszły. Otworzyłam kabinę i podeszłam do umywalki. Spryskałam twarz zimną wodą i starannie wytarłam papierowym ręcznikiem. Dlaczego zawsze wielki kryzys emocjonalny dopada mnie w toalecie? Dobry psychoanalityk na pewno znalazłby jakieś rozsądne wytłumaczenie, choć nie jestem pewna, czy chciałabym je poznać. Ciekawe, czy

uznałby to za represję. Podejrzewam, że przeżywanie dramatów w toalecie jest mniejszym przejawem represji niż bycie pozbawionym jakichkolwiek odczuć. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze i żeby choć na chwilę przestać myśleć o Tomie, spróbowałam pomyśleć o Henrym. Henrym, który okazał się taką świetną odmianą; Henrym, w którym byłam zakochana przez sześćdziesiąt sekund, choć okazało się, że wcale tak nie jest, z którym mimo to nadal chciałam iść do łóżka, może nawet tego wieczoru. Wiedziałam jednak, że mój plan napotka dwie wielkie przeszkody. Pierwszą z nich była scena, do której doszło wcześniej w redakcji. Drugą - mój obecny wygląd: przypominałam szopa.

Otworzyłam torebkę i zabrałam się do poprawiania makijażu.

Kiedy wyszłam z toalety, przyjęcie rozkręciło się na dobre. Przygaszono światła, pomyślałam więc, że nikt nie powinien zwrócić uwagi na mój wygląd.

- Jezu, Alison - wykrzyknął na mój widok Matt. - Co się stało?

- Jest aż tak źle?

- Prawie nic nie widać. - Wziął dwa kieliszki wina z tacy podsunętej przez kelnerkę i podał mi jeden z nich. - Proszę. Wypij to.

- Dzięki.

- Chyba nie przeżywasz rozstania z Tomem? Skinęłam głową.

- Mów, co jest grane.

Oparliśmy się o grabą kolumnę na środku sali. Rozmawiając, obserwowaliśmy przechodzących obok uczestników przyjęcia.

- Wygląda to tak, jakbym była w tym związku dwiema osobami - zaczęłam. - Jedna tkwi w samym środku wydarzeń, a druga ocenia wszystko z boku.

- Jak Napoleon obserwujący bitwę ze szczytu wzgórza - zauważył Matt.

- Dokładnie. I ktoś musiał tę bitwę wygrać, a ktoś przegrać.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Gdybyśmy się pobrali, byłoby to zwycięstwem z mojej strony - odparłam. - Ale ponieważ tak się nie stało, całą wygraną zgarnął Tom.

- A co wygrał?

- Zabrał mi najlepsze lata życia, a potem odszedł do innej.

- Jak na osobę mającą o sobie wysokie mniemanie, oceniasz się zbyt surowo.

Wzruszyłam ramionami.

- Wtedy uświadomiłam sobie, że mężczyzna może zawsze odejść do innej i zacząć wszystko od nowa. Nawet jeśli ma osiemdziesiąt lat. Mogę więc wygrać tylko wtedy, jeśli on umrze, jeśli pozostanie ze mną do końca życia. Dopiero wtedy będę mogła powiedzieć, że

wygrałam.

- Wyjdź za mnie - powiedział Matt.

- Wiem, że jestem szurnięta - odparłam. - A to już coś, prawda?

- Mówię poważnie. Wyjdź za mnie. Choć po ślubie może nadal będę chciał się umawiać z dziewczynami takimi jak tamta.

- Która? - spytałam.

Matt skinął głową w stronę młodej kobiety w skąym topie z frędzlami. Obrzuciła go spojrzeniem od stóp do głów, a potem odwróciła się tyłem. Teraz mieliśmy okazję oglądać jej szczupłe, nieskazitelne plecy.

- Przypomina posąg stojący na straży japońskich świątyń - powiedział Matt. - Uniesiona wysoko prawa ręka, wyraźnie zabrania wstępu. Ale lewa, nisko opuszczona, daje nieśmiały znak, żeby wejść do środka.

- To chciała ci powiedzieć?

- Tak. Ale dziś wieczór nie mam na to czasu. Dziś będę zrywał nisko wiszące owoce.

Podeszła do nas Olivia z plastikowym talerzem wypełnionym po brzegi uszkami wonton. Spojrzałam na Matta, unosząc w górę brew.

- Nie aż tak nisko - powiedział.

- Co jest? - spytała Olivia.

- Nic - odparłam.

- Nie chcę was niepokoić - powiedziała do mnie Olivia i skinęła głową w stronę podwyższenia, które ustawiono na tyłach sali. Przy niewielkim stoliku pograżeni w rozmowie siedzieli Sid Hirsch i Mary Ellen.

- Które z nas powinno się zacząć martwić? - spytałam Olivię.

- Tego nie wiem.

Dopiero po pewnym czasie zauważyłam Henry'ego. Stał przy prowizorycznym barze obok kramów z rybami i rozmawiał z kobietą, która śmiejąc się, odrzucała głowę do tyłu. Miała niesamowicie długą szyję. Nie mogłam oderwać od niej wzroku.

Wtedy właśnie gdy wpatrywałam się w szyję tej kobiety, spojrzął na mnie Henry.

Potem patrzyłam, jak on dotyka jej ramienia i podchodzi do mnie.

- Cześć - powiedziałam.

- Witaj.

- Twoja partnerka ma niesamowicie długą szyję - zauważyłam.

- Ona? - Spojrzął na kobietę przez ramię. - Nie jest moją partnerką.

- Jeśli ci się podoba, to nie patrz na jej szyję, bo kiedy już raz spojrzysz, nie będziesz

mógł oderwać wzroku. Jest hipnotyzująca.

Henry spojrzął na kobietę, a ona - jakby na dany znak - odrzuciła głowę do tyłu.

- Fascynująca.

- Zgadza się.

- Ali son - powiedział Henry.

- Tak?

Uśmiechnął się delikatnie i już nic nie powiedział.

- O co chodzi? - spytałam. Odetchnął głęboko.

- Nie potrafię sobie z tobą poradzić. Stałam bez ruchu.

- Dużo o tym myślałem i doszedłem do takiego właśnie wniosku.

- Och - szepnęłam.

- Bardzo by mi się podobało, gdyby wszystko było tak zwyczajnie zwyczajne.

Podobałoby mi się, gdyby wszystko było zwyczajnie zwyczajne.

- Nie ma sprawy - odparłam. Uśmiechnęłam się, aby mu pokazać, że potrafię być zwyczajnie zwyczajna.

- To dobrze.

Objął mnie ramieniem i przytulił. A potem wrócił do baru, swojego drinka i dziewczyny z długą szyją.

Kiedy wróciłam do domu, napisałam felieton o Rynkowej Wartości Romansowej.

Chciałam go napisać już wiele lat temu, ale odkładałam to z dwóch powodów. Po pierwsze, nie był to mój pomysł. Ukradłam go i włączyłam do swoich tematów, nieco go zmieniając. Wszystko wydarzyło się tak dawno temu, że nie pamiętałam już, skąd ukradłam ten pomysł i jak bardzo go zmieniłam. W życiu takie sprawy nie mają zbyt wielkiego znaczenia, ale podchodzę do nich bardzo nerwowo, gdy rzecz dotyczy druku. Po drugie, całe zagadnienie jest trochę obraźliwe. Kiedy oddałam felieton następnego dnia rano, przy moim biurku stanęła nagle Olivia i powiedziała: „Co ci strzeliło do głowy? Pisziesz, że podobałaby się mężczyznom bardziej, gdyby była «szczuplejsza i ładniejsza»?”. Sprawa jest oczywiście o wiele bardziej skomplikowana, ale mniej więcej o to chodzi. To właśnie chciałam powiedzieć. Rynkowa Wartość Romansowa to nic innego jak tylko wartość danej osoby na rynku romansowym. To wspólna cecha, dzięki której uważasz, że dwoje ludzi do siebie pasuje, że jedno z nich nie ucieknie i nie znajdzie innego partnera, bo mają podobną wartość na rynku romansowym. Obiektywnie rzecz ujmując, dziewczyna z długą szyją miała o wiele wyższą wartość ode mnie, bo była piękna. Pogodziłam się już z myślą, że moja uroda nie wszystkim się podoba, i w większości wypadków nie mam z tym problemów (wystarczy, że

podobam się niektórym), ale to znacznie obniża moją wartość, co czasami porządnie mnie wkurza.

To był bardzo prosty felieton i nie miałam z pisaniem żadnych trudności.

Ułożyłam po prostu w zgrabne akapity najróżniejsze spostrzeżenia, którymi przez całe lata drażniłam moich przyjaciół. Jeśli jeszcze się nie zorientowaliście, to powiem wam, że w tym wszystkim najbardziej drażni to, iż wartość kobiet i mężczyzn na rynku romansowym oblicza się na podstawie zupełnie różnych kryteriów: kobiety ceni się za młodość i urodę, mężczyzn zaś za władzę i pieniądze. To bardzo obraźliwe w stosunku do obu płci, ale - jak szybko zauważą kobiety - nie jest to obraźliwe w równym stopniu. I nie zmieniają tego okrzyki oburzenia wydawane przez młodych, przystojnych mężczyzn.

W każdym razie, jak już wspominałam, była to jedna z moich ulubionych teorii i poczułam się znakomicie, gdy mogłam ją w końcu przelać na papier. Jednak kiedy leżąc już w łóżku, czytałam felieton po raz ostatni, uderzyło mnie coś naprawdę bardzo dziwnego. Przekonałam się bowiem, że głęboko w to wszystko wierzę.

Wierzyłam tak, jak powinnam wierzyć w miłość. Chciałabym być jedną z tych osób, które żyją chwilą, które nic nie knują ani niczego nie planują, nie chcą niczego kontrolować ani układać. Nie jestem jednak pewna, czy mój mózg byłby to w stanie ogarnąć. O czym u licha myślałabym przez cały dzień? Mój mózg uwielbia zabawiać się związkami. Widzę jakąś szczęśliwą parę i natychmiast chcę poznać wszystkie fakty. Jak się poznali? Jak im się układa? Kto w tym związku kocha mocniej? Kto ma władzę?

Bo przecież na koniec do tego właśnie wszystko się sprowadza - do władzy. Kto ma władzę? Podejrzewam, że w koncepcji Rynkowej Wartości Romansowej zawsze najbardziej podobało mi się to, że była próbą ilościowego określenia zjawiska, które uznawałam za najbardziej fascynujące. A to nic innego, jak tylko przerażająco prosty fakt: po jakimś czasie w pewnych związkach brak równowagi w kwestii władzy staje się tak dokuczliwy, że trzeba koniecznie wszystko na nowo zbalansować. A przecież władza jest bardzo ulotnym pojęciem. Ale powiem wam, kto ją ma: osoba, która kocha mniej i która ma ochotę odejść. I powiem wam coś jeszcze. Niewierność jest władzą. Bez względu na to, co działo się w związku, osoba, która zdradza, odzyskuje całą władzę.

Przez cały czas myślałam, że moim największym problemem było odejście Toma.

Teraz widzę jednak, że problem był o wiele poważniejszy. Może miłość nie powinna mieć z władzą nic wspólnego. Może fakt, że zaczęłam mylić te dwa pojęcia, stał się początkiem moich kłopotów.

Trzynaście

- Im jestem starszy, tym szybciej zaczynam rozpinąć spodnie w drodze do pisuaru - powiedział Sid Hirsch, wchodząc do swojego gabinetu.

Było późne piątkowe popołudnie. Czekałam na Sida w jego pokoju. Zostałam tam wezwana. Sid wzywał pracowników do siebie, po czym miał zwyczaj znikać, bo chciał mieć potem wielkie wejście. Teraz podszedł do biurka i usiadł po turecku na blacie.

- Joga - wyjaśnił. Odetchnął bardzo głęboko i spojrzał mi prosto w oczy. - Mamy pewien problem.

O cholera, pomyślałam. Dowiedział się o mnie i o Henrym. Ale jakim cudem?

Możliwe, że był wyznawcą teorii Olivii, która głosiła, że jeśli twoim zdaniem dwoje ludzi ze sobą sypia, to na pewno tak jest (idąc dalej tym tropem: jeśli uważasz, że ktoś jest gejem, to na pewno nim jest).

- O co chodzi? - spytałam.

- Słyszałem, że rozstałaś się ze swoim chłopakiem.

- Och.

- I jest mi bardzo przykro z tego powodu.

- Nie ma sprawy - odparłam. - Nic mi nie będzie.

- Oczywiście.

- Na czym polega więc problem?

Sid złożył dłonie i oparł brodę na koniuszkach palców.

- W swoich felietonach pisałaś o sympatycznej dziewczynie, która próbuje doprowadzić do ołtarza jakiegoś biedaczynę. I był w tym niezły haczyk. Wszyscy czekaliśmy na pojawienie się pierścionka. A teraz okazało się, że facet jest do niczego. I dobrze. Nie ma sprawy. Napisz ten ostatni felieton i koniec na tym.

Spojrzałam na niego.

- Oddajesz mój felieton Mary Ellen - powiedziałam.

- Po pierwsze, to nie jest twój felieton. Moja gazeta, mój felieton - odparł. - A po drugie, tak, oddaję.

Już wcześniej zastanawiałam się, co będę robić, kiedy zrezygnuję z pracy w gazecie. Szczerze mówiąc, snułam na ten temat nawet sporo fantazji. Miały kilka wersji i wspólny mianownik: dostanę wielką kasę za coś, co napisałam na boku.

Czasami była to książka. Czasem scenariusz. Czasami książka, którą chcieli

sfilmować, i błagali mnie, żebym napisała scenariusz. Fakt, że niczego na boku nie pisałam, wcale nie wpływał na kształt moich fantazji. Pewnego dnia zacznę pisać, a kiedy skończę, moja fantazja będzie na mnie czekać w pełnej gotowości.

Jednak nigdy nie spodziewałam się takiego scenariusza. Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że wyrzucą mnie z pracy.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziałam.
- Nie bierz tego do siebie, to nic osobistego.
- Wylałeś mnie z pracy, Sid. To bardzo osobiste.
- Nie chodzi wcale o ciebie, ale o trend.
- Jaki dokładnie?

Sid zsunął się z blatu biurka i zaczął chodzić po pokoju.

- No wiesz - zaczął - rozpalone dziewczyny w barach rozprawiające o wibratorach.

Nie wstydzą się swojej seksualności. Są kobietami i są z tego dumne.

- Ja też jestem kobietą - odrzekłam.

- W swoich felietonach pisałeś o sympatycznej dziewczynie. Ludzie cię kochają, ale nie chcą cię pieprzyć. To oczywiście tylko metafora. Jestem pewny, że wiele osób ma na to ochotę. Ja na pewno.

- Odpieprz się, Sid - rzuciłam.

Uniósł prawą rękę, jakby przygotowywał się na przyjęcie ciosu.

- Ta dziewczyna ma dwadzieścia siedem lat - powiedział. - Jest biseksualna, a jej rodzice na pewno nie żyją.

- Rodzice Mary Ellen żyją - wyjaśniłam. - Jej matka przysyła do gazety listy.

- Ale ona pisze tak, jakby nie żyli - wyjaśnił Sid. - Gdyby była moją córką, chyba popełniłbym samobójstwo.

- A jeśli zacznę umawiać się z innymi? - spytałam. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć mu o Henrym, nie mówiąc oczywiście, o kogo chodzi. Mogłabym tylko wspomnieć, że już uprawiałam z kimś seks cztery razy, ale przy dwóch różnych okazjach, i chętnie o tym napiszę. - Zamieszczę sporo szczegółów.

- Już się nad tym zastanawiałem. Nic z tego nie wyjdzie. Nie możesz zrobić z Mary Tyler Moore dziwki i oczekiwać, że ludzie to zaakceptują.

Nie odpowiadałam.

- To żalosne, a w dodatku nie można się w tym doszukać niczego ciekawego.
- Nieprawda. Ludzie na pewno zechcą poszukać mnie.
- Przykro mi, Alison. Masz całą przyszłość przed sobą.

- Każdy ma przed sobą przyszłość, Sid. Dlatego tak się nazywa.

Wstałam.

- Coś ci poradzę - powiedział Sid.

- Co?

Chwycił kępkę włosów, która wystawała na piersi spod wycięcia swetra.

- Przenieś się do Pittsburgha.

- Do Pittsburgha?

- Mają tam bardzo sympatyczny tygodnik. Nieduży. Może będziesz musiała zatrudnić się jako kelnerka, żeby trochę dorobić na boku. Zadzwoń do wydawcy.

Ma na imię Ed... - Zmarszczył brwi. - A może Ted? Sprawdź.

- Odpieprz się, Sid - rzuciłam i wyszłam.

*

Szłam korytarzem, ogarnięta coraz większą paniką. Pisanie felietonów do alternatywnej gazety to nic wielkiego, ale zawsze coś. Miałam tylko to. A teraz mi to zabrano. Czułam się totalnie upokorzona. Kiedy doszłam do gabinetu Henry'ego, spojrzałam na zamknięte drzwi. Nie umknęła mi ukryta w tym wszystkim ironia. Miałam potajemny romans z jednym szefem, po czym zostałam wyrzucona z pracy przez drugiego, bo nikt nie chce się ze mną pieprzyć. (Czy to naprawdę ironia? Zawsze mam z tym problemy. Nawet, jeśli tak, to staje się znacznie mniej ironiczna, kiedy przypomnicie sobie, że Henry najwyraźniej też już nie miał ochoty na seks ze mną. To już nie jest ironia - to staje się po prostu bardzo smutne).

Pozostawał jeszcze problem pieniędzy. Nie lubię o tym wspominać, bo muszę przedstawić siebie w nie najlepszym świetle. Mój plan, który zakładał otrzymanie wielkiej kasy za coś, co napisałam na boku, miał bardzo poważny błąd: udało mi się, bowiem zgromadzić całkiem niezły kredyt na rachunku karty, którego przy najlepszych chęciach nie byłam w stanie spłacić. Nie byłam tego w stanie zrobić, kiedy jeszcze miałam pracę - teraz, kiedy ją straciłam, nie widziałam możliwości spłacenia nawet minimalnej kwoty. Dlaczego dają karty kredytowe ludziom takim jak ja? No, dlaczego? Po co? Kiedy pracowicie gromadziłam ten dług, moja logika - choć oczywiście nie jest to najlepsze słowo w tym kontekście - zakładała, że stanę się podobna do niezależnych twórców filmowych, którzy finansują zdjęcia wyłącznie za pomocą kart kredytowych. Ja pominęłam jednak część związaną z kręceniem filmu. Pojechałam do Maroka. Kupiłam buty.

Doszłam do naszego pokoju i otworzyłam drzwi. Matt siedział przy moim biurku i

czytał felieton.

- Camilla Parker - Bowles - powiedział, nie podnosząc wzroku.

- Co takiego?

- Jeśli twoja teoria Rynkowej Wartości Romansowej jest słuszna, to jak wytłumaczysz przypadek księcia Karola i Camilli Parker - Bowles?

- Nie mam pojęcia, Matt.

Wstał, podszedł do mnie i spojrzał mi prosto w oczy.

- Co się stało?

- Sid właśnie mnie wylał.

- Niemożliwe. Skinęłam głową.

- Nie?

- Och tak.

- Och nie. To szaleństwo. Jeśli może wylać ciebie, to mnie może na przykład ściąć na środku korytarza. Powiedział, z jakiego powodu?

Wróciłam w myślach do rozmowy z Sidem.

- Najwyraźniej za rzadko piszę o wibratorach.

- I tu akurat bym się z nim zgodził. Ma facet absolutną rację - odparł Matt. - Nie wiedziałem tylko, że z tego powodu można wylać kogoś z pracy.

- Ja też nie.

- Możesz wytoczyć mu proces.

- Nikt w to nie uwierzy. Ja sama nie mogę, choć słyszałam to na własne uszy.

- Spadajmy stąd.

Zeszliśmy na dół i stanęliśmy na chodniku przed budynkiem. Po chwili zastanowienia ruszyliśmy w stronę mieszkania Matta. Zrelacjonowałam mu dokładnie wszystko, co wydarzyło się w gabinecie Sida. Najpierw byłam zmartwiona, potem wściekłam się jak diabli, ale kiedy dotarliśmy do Matta, wszystko mniej więcej wróciło do normy. Matt zawsze wywiera na mnie zbawienny wpływ, ale nigdy nie potrafiłam dojść, dlaczego tak się dzieje.

- Coś ci ugotuję - powiedział, kiedy weszliśmy do środka.

- Nie wiedziałam, że potrafisz gotować.

- Jasne. Potrafię przyrządzić tylko jedno danie, ale robię je najlepiej na świecie.

- Jakie?

- Jajka po florentyńsku.

- Nigdy czegoś takiego nie jadłam.

- Wiesz, co to jest?

- Nie mam pojęcia.

- To dobrze.

Matt uprzątnął dla mnie kawałek blatu. Usiadłam na wysokim stołku i zaczęłam skubać stojące w misce orzeszki pistacjowe. Matt otworzył butelkę czerwonego wina i nalał dwa kieliszki. Podał mi jeden i uniósł swój, żeby wygłosić toast.

- Chcesz poznać moją nową teorię?

- Jasne.

- Moim zdaniem toasty przejęły funkcję wspólnej modlitwy - powiedziałam. - Dlatego nikt już nie mówi: „Na zdrowie”.

- Skoro tak twierdzisz, to Jezu, Maryjo, Józefie i wszyscy święci, wspomóżcie nas, a Ty, wielki Boże, miej nas w opiece.

Stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy wino. Matt zaczął kroić bazylię.

- Wiesz, może się okazać, że to najlepsza rzecz, jaka ci się w życiu przydarzyła.

- Nie mów tak - zaprotestowałam.

- Dlaczego?

- Bo ludzie mówią coś takiego, kiedy przytrafia ci się coś naprawdę strasznego, i nie ma to żadnego związku z rzeczywistością. Ludziom przydarza się wiele złych rzeczy, potem już nigdy nie mogą dojść do siebie, ich życie nie jest takie samo, a na tym etapie trudno ocenić, czy jest to ta rzecz, czy inna.

- Jaka inna?

- Zła, która wyjdzie na dobre.

- Ty chyba dojdiesz po tym do siebie - oświadczył Matt.

- Dzięki.

- I po Tomie też.

- Może tak, a może nie. - Wypiłam duży łyk wina. - Nie zrozumiesz tego, bo nie musisz się martwić, że będziesz za stary, żeby urodzić dziecko.

Matt podniósł wzrok znad deski.

- Chciałbym mieć dzieci, zanim będę za stary, żeby je molestować.

Wybuchnęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać.

- Widzisz? To dobry znak. Twoje życie legło w gruzach, ale nadal potrafisz się śmiać z dowcipów o molestowaniu. Jeszcze nie wszystko stracone.

- Ale sporo.

- Nie wszystko.

Poszłam na górę, żeby skorzystać z toalety. Matt mieszka w jednym z tych

szeregowych domków, które wzniesiono w połowie dziewiętnastego wieku, kiedy mieszkańcy Filadelfii byli zdecydowanie niewysocy. Kuchnia znajduje się w piwnicy, sypialnia na samej górze, a na piętrze salon. Przypomina mi to domek dla lalek, mocno zresztą podniszczony.

Kiedy wróciłam na dół, usiedliśmy do stołu. Specjalność Matta, jajka po florenetyńsku, okazała się wariacją na temat omletu z pomidorami i bazylią.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli się upiję? - spytałam.

- A dlaczego miałbym mieć?

- Lubię ostrzegać osoby, z którymi akurat przebywam, że zamierzam się upić. Nie chcę, by uważali, że to dzieło czystego przypadku.

- Świadoma rezygnacja ze świadomości.

- Tak - odparłam. - Co można uznać za zachowanie typowe dla alkoholika, ale nie jestem do końca pewna.

- Spotykałem się kiedyś z kobietą, która chodziła na sesje AA. Według niej zachowywałem się jak typowy alkoholik.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Chyba stale się upijałem. Uśmiechnęłam się.

- Nie ufałem życiu. Stale mi powtarzała, że muszę zaufać życiu. A moje życie jest jednym wielkim dowodem na to, że nie należy mu ufać.

- Co jest nie tak z twoim życiem?

Matt rozparł się wygodnie na krześle i zamknął na chwilę oczy.

- No dobra - powiedział. - W zeszłym tygodniu musiałem pojechać na pogrzeb cioci Mitzie.

- Przykro mi.

- Nie, wszystko w porządku. Nie z nią, oczywiście, bo ona nie żyje. Ze mną jest wszystko w porządku.

- To dobrze.

- W każdym razie mój wujek, który ma siedemdziesiąt sześć lat i nie cieszy się najlepszym zdrowiem, został zupełnie sam. Ciocia zawsze się nim opiekowała, aż nagle zmarła we śnie. Siedzimy więc w synagodze. Wujek na przodzie, na wózku, i podczas całej ceremonii słyhać, jak jęczy: „Chcę umrzeć. Proszę, niech ktoś pomoże mi umrzeć. Nie chcę już dłużej żyć, chcę umrzeć”. To było niesamowicie przygnębiające. On nie ma dzieci, jest bardzo chory, a jego żona, z którą przeżył pięćdziesiąt lat, padła nagle martwa w środku nocy. Leżała wtedy w łóżku, więc chyba nie padła dosłownie...

- Ale zmarła.

- Tak. Potem pojechaliśmy wszyscy na cmentarz. Trumna stoi nad grobem, mają ją zaraz opuścić, wszyscy mówią rzeczy, jakie mówi się w takiej sytuacji, ale robią to z wielkim trudem, bo straszliwie wieje. Mimo to wciąż słychać lament wujka.

„Chcę umrzeć, proszę, niech ktoś pomoże mi umrzeć. Już dłużej nie mogę. Wybawcie mnie z tego nieszczęścia”. Nagle odwraca się do pielęgniarza, który popychał jego wózek, i mówi: „Zimno mi. Chcę wrócić do samochodu”. - Matt wypił duży łyk wina. - To doskonale podsumowuje moje położenie. Pragnę umrzeć, ale jest mi zimno, więc chcę posiedzieć w samochodzie.

- To świetna historia.

- Wiem. Może wykorzystam ją na jakiejś randce - powiedział Matt. - Jak mi poszło?

- Świetnie. Byłeś zabawny. I jednocześnie wzruszający.

Wstałam, żeby nalać sobie szklanek wody. Obejrzałam się przez ramię na Matta, który został przy stole. Jego twarz przybrała bardzo dziwny wyraz.

- Co jest? - spytałam.

- Twoja pupa wygląda ostatnio znakomicie.

- Nie mów tak.

- Dlaczego? To przecież komplement.

- Nie podoba mi się myśl, że ktoś, kogo znam, ocenia moją pupę - powiedziałam.

- Dobrze czy źle. Po prostu mi się to nie podoba.

- Dobra. Wyłączam program oceniania pupy Alison. Usiadłam przy stole.

- Może pooceniałbyś pupę Olivii, co?

- Robię to cały czas.

Później poszliśmy na górę i usiedliśmy na kanapie. Matt otworzył drugą butelkę wina, którą wypiliśmy niemal do dna. Otuliłam nogi pledem.

- Nie ma nic gorszego od żydowskiego pogrzebu - rzekł Matt - bo nie wierzymy w życie po śmierci.

- Musicie mieć coś na pociechę.

- Kiedy byłem mały, zapytałem tatę: „Czy kiedy umrę, pójdę do nieba?”. „Nie, odparł, Żydzi nie wierzą w niebo”. Spytałem więc, w co wierzymy zamiast nieba.

„W nic”, usłyszałem.

- Naprawdę tak powiedział? W nic?

- Tak. Miałem wtedy dziewięć lat. Co oznacza, że kryzys egzystencjalny, wywołany tym krótkim „nic”, trwa już ponad ćwierć wieku. Przez większość czasu udaje im się jakoś

unikając tego tematu, ale na pogrzebach to pytanie zawsze powraca.

- I co wtedy mówią? Zakreślił kieliszkiem.

- Ciocia Mitzie będzie żyła nadal w mojej pamięci. Ale ma pecha, bo rzadko myślę o zmarłych - odparł Matt. - Jesteś katoliczką, prawda?

- Protestantką.

- Na jedno wychodzi. Wy przynajmniej macie niebo. Anioły, malutkie harfy i „idź w stronę światła”.

Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, byśmy mieli iść akurat w tę stronę, ale było to mało istotne, więc nie protestowałam.

- Nawet jeśli to nieprawda - powiedział Matt - czasami miło jest pomyśleć, że ma się taką opcję.

Milczeliśmy przez chwilę. W głowie zaczęło mi się kręcić od wypitego wina.

- Alison - odezwał się nagle Matt z bardzo poważnym wyrazem twarzy. - Masz ochotę na seks?

Roześmiałam się zaskoczona.

- Nie - odparłam. - Ale dzięki za propozycję.

- Zawsze staram się być dżentelmenem. Wypij jeszcze trochę wina. Może zmienisz zdanie.

- Chyba muszę iść już spać - powiedziałam. Przypomniałam sobie opowieść Matta o dziewczynie z czterema kotami. - Mogę leżeć z tobą w jednym łóżku, ale nie będę z tobą spać.

- Wiedziałem to od początku.

Poszliśmy na górę. Matt pożyczył mi podkoszulek i bokserki. Przebrałam się w łazience i położyłam do łóżka. Było zaskakująco wygodne, ogromne i zajmowało tyle miejsca, że z trudem wchodziło się do niego z boku, bo niemal dotykało ścian. Trzeba było wgramolić się od nóg. Matt zgasił światło i wsunął się tuż za mną. Objął mnie ramieniem i po kilku minutach zasnęłam.

- Czy będąc w szkole podstawowej - powiedział jeszcze Matt - należałaś do tych dziewcząt, które pożyczając komuś ołówek, mówią: „Nie zapomnij mi go oddać?”.

- Nie.

- Tylko sprawdzałem.

Czternaście

Toma Hathaway poznałam na kolacji u mojej przyjaciółki Niny Peeble. Nina była kiedyś moją najlepszą przyjaciółką, potem w ogóle nią nie była, a gdy wydała przyjęcie, na którym poznałam Toma, od pewnego czasu znów się przyjaźniłyśmy.

Pamiętam, że kiedy wróciłam tamtego wieczoru do domu, byłam bardzo szczęśliwa, że znów przyjaźnię się z Niną, bo gdybyśmy się nie pogodziły, nie zaprosiłaby mnie na kolację i nie poznałabym mężczyzny, za którego zamierzałam wyjść za mąż.

Gdybym go nie poznała na tym przyjęciu, to może nigdy bym go nie poznała i zmarnowałabym resztę życia, wszędzie go szukając.

- No nie wiem - powiedziała Nina, kiedy zadzwoniłam do niej następnego dnia i spytałam o Toma.

- A co jest z nim nie tak?

- Nic.

- No to o co chodzi? - naciskałam.

- Nie przeszkadza ci jego nos?

- A co jest nie tak z jego nosem?

- Jeśli nie zauważyłaś, to tym lepiej - oświadczyła Nina.

- Czego nie zauważyłam?

- Nic, nic. Zobaczę, co się da zrobić.

Dwa tygodnie później zadzwonił Tom Hathaway i zaprosił mnie na kolację. Wszystko zaaranżowała Nina. Trudno jest znaleźć słowa, które mogłyby wyrazić, jak dobra jest Nina w tego rodzaju sprawach. Udało jej się umówić swojego brata Jacka z lekarką ginekologiem położnikiem, którą zobaczył w telewizji w The Today Show, jak wypowiada się na temat menopauzy. Pół roku później byli już zaręczeni. W każdym razie jestem jej bardzo wdzięczna, bo zrobiła dla mnie o wiele więcej, niż mogłam oczekiwać, zważywszy na złożoną historię naszej przyjaźni.

Wierzę gorąco, że wszystkie przyjaźnie między kobietami funkcjonują na następującej zasadzie: jedna z nich przejmuje rolę dziewczyny, a druga chłopaka.

Już miałam powiedzieć, że nie ma to nic wspólnego z miłością lesbijską, ale teraz, kiedy się nad tym głębiej zastanowiłam, doszłam do wniosku, że nie jest to do końca zgodne z prawdą. Zasada, o której tutaj wspominałam, jest nieseksualną wersją układu, jaki spotyka się wśród par lesbijskich, gdzie dziewczyna jest dziewczyną, a chłopak chłopakiem i obie strony

są z tego w miarę zadowolone. W moim przypadku ciekawe jest to, że w niektórych przyjaźniach występuję w roli dziewczyny, a w innych - chłopca. Z Bonnie, na przykład, jestem dziewczyną - głównie dlatego, że ona jest mężatką, ma troje dzieci i nie interesuje jej już rola dziewczyny; z Angie też jestem dziewczyną, bo Angie jest zbyt wrażliwa, by wcielić się w tę rolę, ale z Niną Peeble jestem chłopakiem. Zawsze nim byłam.

Jeszcze zanim poznałam Ninę, wiedziałam, że jeśli mamy się przyjaźnić, to muszę być chłopakiem. A stało się tak dlatego, że zobaczyłam jej szufladę z bielizną.

Na pierwszym roku w college'u dzieliłam pokój z Niną i kiedy zjawiłam się w akademiku, ona zdążyła się już rozpakować i wyszła do księgarni na kampusie.

Szukając miejsca na moje rzeczy, otworzyłam szufladę, w której Nina ułożyła swoją bieliznę. Leżały tam całe rzędy starannie złożonych pastelowych majtek, poprzekładane satynowymi saszetkami z lawendą i małąkimi pudełkami z Bóg wie czym. Zorientowałam się natychmiast, że zamieszkałam z kobietą, z którą trudno by mi było współzawodniczyć.

Problem z takim układem polega oczywiście na tym, że osoba, której przypadła rola chłopca, po pewnym czasie zaczyna jej nienawidzić. Moja niechęć w stosunku do Niny narastała przez osiem lat, a kiedy wreszcie w pełni rozkwitła, przybrała następującą formę: zostałam na noc w mieszkaniu jej byłego chłopaka i omal się z nim nie przespałam, po czym zadzwoniłam do Niny i do wszystkiego się przyznałam. Oczywiście, nie wiedziałam wtedy, co mną tak naprawdę kierowało; myślałam, że chłopak naprawdę mi się podoba. Nazywał się Andy Bass i miał za sobą czterysta pięćdziesiąt stron książki, którą pisał o dwunastowiecznym pielgrzymie wędrującym do Santiago de Compostela z muszlą świętego Jakuba zawieszoną na szyi. W mieszkaniu Andy'ego pełno było książek o zakonach, średniowiecznej architekturze i czarnej śmierci, a tej nocy, którą u niego spędziłam, musiałam spać w rękawiczkach narciarskich, bo wyłączono mu ogrzewanie. Przegadaliśmy niemal całą noc o Rilke i Foucault, a o szóstej rano Andy wyskoczył z łóżka i poleciał przestawić samochód, żeby zamiatacze ulicy nie wlepili mu mandatu za złe parkowanie. Z jakiegoś nieznanego powodu uznałam go za niezwykle atrakcyjnego. W każdym razie, było to bardzo głupie z mojej strony. Nie powinnam była w ogóle się w to angażować, a kiedy opowiedziałam o wszystkim Ninie, wściekła się okropnie, do czego miała pełne prawo (nawiasem mówiąc, Nina i Andy nie widzieli się od czterech lat i ich związek można było uznać za definitywnie skończony, tym bardziej że w tym czasie Nina umawiała się niemal wyłącznie z bankierami i przyszłymi kongresmanami). W rezultacie całego tego zamieszania nie odzywała się do mnie przez dwa lata. Aż tu nagle wszystko skończyło się równie gwałtownie, jak się zaczęło. Nina zadzwoniła do mnie na urodziny, powiedziała, że wszystko

mi wybaczyła, że się za mną stęskniła i znów chce się ze mną przyjaźnić. Wydawała właśnie kolację i serdecznie mnie na nią zaprosiła. Powiedziałam, że przyjdę. Przyszłam i poznałam Toma.

Na podstawie dwóch historii, które Tom opowiedział przy stole, udało mi się opracować jego hipotetyczny portret psychologiczny. Pierwsza z nich dotyczyła porad prawnych udzielanych przez Toma trójce sierot, nad którymi znęcała się ich przybrana matka, karmiąc je wyłącznie chrupkim pieczywem i zupą z keczupu. Druga historia dotyczyła sześciu tygodni, jakie spędził samotnie, pływając kajakiem po rzekach Alaski. No, proszę. Miałam przed sobą mężczyznę, którego obchodził los sierot.

Mężczyznę, który nie bał się niedźwiedzi. Mężczyznę, który potrafił złapać łososia na żyłkę przyczepioną do kajaka. Nie spodziewałam się co prawda, że bym kiedykolwiek mogła się znaleźć w sytuacji, w której bym potrzebowała mężczyzny łowiącego łososie na żyłkę przyczepioną do kajaka, ale przecież nigdy nic nie wiadomo.

Kiedy Ninie udało się przekonać Toma, żeby umówił się ze mną na kolację, w głowie aż kręciło mi się od fantazji, w których pływaliśmy kajakiem po dzikich rzekach z dwójką naszych własnych dzieci i uroczymi, piegowatymi sierotami, które adoptowaliśmy, i byłam przekonana, że mam to wszystko wypisane na twarzy.

Doszłam więc do wniosku, że moją jedyną szansą jest udawanie, że Tom w ogóle mnie nie interesuje - wyobraziłam sobie, że dwa przeciwległe bieguny skutecznie się wyeliminują i wyjdę na względnie normalną osobę. Kiedy więc Tom pojawił się u mnie, zaczęłam szukać jego wad. Był wysoki, tak jak zapamiętałam, i miał szerokie ramiona, ale Nina miała rację co do nosa - był lekko wykrzywiony w lewą stronę. Nina nigdy nie umówiłaby się na randkę z facetem, który miał tak skrzywiony nos, ale ona mogła sobie na to pozwolić. Ja już przestałam być wybredna. Ktoś mógłby zacząć się spierać, że nigdy wybredna nie byłam - jak inaczej wytłumaczyć moje dziewiętnaście miesięcy z Gilem homoseksualistą? - ale prawda wygląda tak, że Gil był klasycznym przykładem wzorowego chłopaka, a ja, będąc wybredną dwudziestoparolatką, wybrałam go, rezygnując z nieco gorszych, heteroseksualnych kandydatów. Wracam jednak do tematu: nos Toma sprawia, że nie można go uznać za klasycznie przystojnego mężczyznę, i zawsze byłam za to wdzięczna. Patrząc na jego nos, można pomyśleć, że doznał jakiegoś urazu w czasie porodu. (Kilka lat później zwierzyłam się z pewnej teorii mojej terapeutce, Janis Finkle: Tom czuł, że dusi się w naszym związku, być może dlatego, że podczas porodu utknął gdzieś w kanale rodym, na co Janis powiedziała: Może czuje się tak dlatego, że ty go dusisz).

- Co się u licha wydarzyło wczoraj wieczorem? - spytała Nina, gdy zadzwoniła do

mnie rankiem po randce z Tomem.

- O co ci chodzi?
- Tom uważa, że nie zrobił na tobie wrażenia.
- Staralam się nie okazywać zbytniego zainteresowania.
- No to świetnie ci się udało.
- Cholera.
- Powiedział, że nie odrywałaś wzroku od jego nosa.
- Boże święty.
- Mówiłam ci, że coś z nim jest nie tak. Nie wierzyłaś.
- Naprawdę mi to nie przeszkadza - jęknęłam.
- Nos znajduje się na środku twarzy.
- Chyba jestem w nim zakochana.

- O Boże - odparła Nina. - Zobaczę, co da się zrobić. Nina znów przystąpiła do działania, Tom zadzwonił do mnie jeszcze raz i ponownie umówiliśmy się na kolację. Po kolacji zdobyłam się na odwagę i pragnąc udowodnić, że jestem nim zainteresowana, zaprosiłam go do siebie i poszliśmy do łóżka. Nie było to dokładnie w moim stylu, ale przypomnijcie sobie, dokąd zaprowadził mnie mój styl: miałam tylko jednego kochanka geja, noszącego nazwisko swojej byłej chińskiej żony, która porzuciła go dla argentyńskiego nauczyciela salsy. Może najwyższa pora zmienić podejście.

Kiedy więc Tom odprowadził mnie do domu, zaprosiłam go na górę. Gdy otwierałam drzwi, zdecydowanym ruchem położył mi ręce na ramionach, odwrócił do siebie i pocałował.

- Wiesz, że szczury nigdy nie będą się parzyć, jeśli nie polubią swojego smaku?
- powiedział.
- Dlaczego?
- Tym sposobem oceniają, czy ich związek okaże się udany genetycznie - odparł.
- Jeśli polubią swój smak, stworzą dobrą parę.

Znów mnie pocałował.

- Lubię twój smak.
- Ja twój też.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że nie brzmi to wcale romantycznie, ale musicie mi zaufać. Musicie, bo naprawdę bardzo trudno jest wytłumaczyć, dlaczego zakochałeś się właśnie w tej, a nie innej osobie. Nie ma za to żadnych problemów z wytłumaczeniem odkochania się. Zdrada, niewierność, kłamstwa, drobne przykrości - to ewidentne dowody, które łatwo zauważyć. Nie mogłam jednak nie przywiązywać wagi do naszego pierwszego

pocałunku i szcurek badających swój smak, bo było to typowe dla tej strony osobowości Toma, którą szybko pokochałam, a którą ochrzciłam mianem Pana Mądrego. Przez pierwsze miesiące naszego związku, w chwilach gdy nie uprawialiśmy seksu, Tom coś mi tłumaczył: jak hoduje się arbuzy bez pestek, jak działają zegary, które podłącza się do ziemniaków. Dlaczego nasze dzieci będą miały niebieskie oczy, ale niekoniecznie jasne włosy. Pewnego razu, kiedy pojechaliśmy na weekend do Lancaster, wyprowadził mnie na pole lucerny i świecąc latarką, pokazywał gwiazdozbiory na niebie. Potem wróciliśmy do naszego pensjonatu i uprawialiśmy seks na - jak się potem okazało - dziewięćdziesięcioletnim fotelu, który właściciele pensjonatu razem z perskim dywanem usunęli nazajutrz z naszego pokoju, kiedy wyszliśmy na brunch.

- Wiesz, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze? - spytał Tom następnego ranka.

- Co?

- Że jest dokładnie tak, jak powinno być - powiedział. - Z mojego doświadczenia wiem, że niewiele rzeczy spełnia te wymagania.

- Rozumiem doskonale, co masz na myśli.

- Naprawdę?

- Tak.

- To dobrze - ucieszył się. - To znaczy, że też mnie kochasz.

I kochałam. Ja kochałam jego, on kochał mnie i przez długi, długi czas wszystko układało się jak najlepiej. Łączył nas poważny związek. Byliśmy parą.

Jeździliśmy na Święto Dziękczynienia do jego dziadków i na Boże Narodzenie do moich rodziców. Sylwestra spędzaliśmy z naszymi przyjaciółmi, Darrenem i Wendy, a na samym początku naszego związku wycieliśmy nawet razem dynię na Halloween.

Kiedy nasi znajomi pobierali się, dawaliśmy im wspólny prezent, a gdy żonę Sida znaleziono na dnie basenu, posłałam mu od nas piękny bukiet białych lilii.

Dzieci mojej siostry zwracały się do nas „ciociu Alison” i „wujku Tomie”. Byłam szczęśliwa. Byłam odprężona. Ale od czasu do czasu pojawiało się coś, co przypominało mi, że to tylko iluzja - nie, iluzja to złe słowo; że to wszystko jest prawdziwe, ale tymczasowe. Nie mogło trwać.

Stało się tak na przykład wtedy, gdy Tom postanowił kupić nową kanapę.

- A co ci się nie podoba w tej? - spytałam.

- Mam jej po prostu dość.

- Nie jestem pewna - powiedziałam, gdy pokazał mi kanapę na wystawie (była dokładnie taka, jakie pokazują na wystawach).

- Dlaczego?

- Do niczego nie pasuje.

- Jest czarna. Czarny pasuje do wszystkiego.

- To czarne buty pasują do wszystkiego - wyjaśniłam. - Czarna skórzana kanapa pasuje tylko do mebli w stylu Bucka Rogersa.

- Mnie się podoba - oświadczył.

Kupił kanapę. Potem przywiózł do domu stół do kawy ze szklanym blatem wycinanym w ząbki. Potem okropny sprzęt grający. Przez cały czas nie odzywałam się ani słowem. Nie naciskałam. Nie upierałam się. Rozpaczliwie próbowałam być kobietą, przygotowaną na wszystko i niezwracającą uwagi nawet na to, że jej chłopak, z którym jest związana od trzech lat, sam podejmuje poważne decyzje dotyczące nabycia mebli, choć rzeczony meble nie pasują do wymakowanego, urządzonego bynajmniej nie w stylu Bucka Rogersa wnętrza, nad którym pracowała przez całe swoje dorosłe życie. Każdy mężczyzna, niemający problemów z zaangażowaniem się w związek, jest już związany z kimś innym, przypominałam sobie w duchu. Nie ponaglać. Daj facetowi odetchnąć. Kanapę można zawsze postawić u niego w gabinecie.

A jednak zdarzało się, że nie potrafiłam się powstrzymać i wybuchalam.

- Myślisz, że nie masz żadnych problemów, ale się mylisz - powiedziałam do Toma pewnego dnia po powrocie z terapii.

- A jakie mam? - spytał.

- Nie powiem ci.

- Podaj choć jeden - nie dawał za wygraną.

- No dobra. Twoja matka.

- Co z nią? Odetchnęłam głęboko.

- Nadal dusisz w sobie gniew w stosunku do niej.

- Ależ skąd.

- Ależ tak.

- Kocham moją matkę.

- Tylko tak ci się wydaje.

- A to co ma oznaczać? - spytał groźnie.

- To znaczy, że wszyscy są przekonani, że kochają swoje matki i że one kochają ich, aż pewnego dnia przestają o tym w ogóle myśleć - odparłam. - Może je kochają, może nie, ale jakkolwiek by było, wtedy właśnie zaczynają pojawiać się problemy.

- Może nie chcę, żeby moje się pojawiały.

- To właśnie powstrzymuje nasz związek przed wejściem w następną fazę.

- Lubię tę fazę - odparł Tom. - Jest mi w niej dobrze.

- Bo jesteś zły na swoją matkę.

(No dobra, moje panie: strzeżcie się mężczyzn, którzy nienawidzą własnych matek.

Bo mężczyzna, który nienawidzi własnej matki, już niebawem zacznie nienawidzić ciebie. Niestety, bardzo trudno jest wydobyć z mężczyzny wyznanie, że nienawidzi własnej matki. Jeśli zaczniecie to z niego wyciągać, będzie przekonany, że to ty jej nienawidzisz, co wykorzysta potem jako wymówkę, żeby znienawidzić ciebie, kiedy tak naprawdę osobą, której nienawidzi, jest jego matka. Ale istnieje w miarę prosty sposób, by wy badać sytuację. Pewnego dnia mężczyzna rzuci luźną uwagę na temat swojej matki, zupełnie obojętnym tonem, co mimo wszystko skłoni cię do zadania sobie w duchu pytania: „Ciekawe. Czy on jej nienawidzi?”. I uwierzcie mi, tak jest na pewno).

Ale jakie to w końcu ma znaczenie? Mężczyzna albo nienawidzi swojej matki, albo kochają ciut za bardzo. Albo jest zamknięty w sobie, więc tak naprawdę nie wiesz, w czym rzecz, albo jest jednym z tych wygadanych facetów, którzy mówią ci dokładnie, w czym rzecz, a to stanowi dla ciebie źródło nieustającego przerażenia. Na koniec, zawsze stajesz w obliczu gigantycznego zamieszania i wasz związek musi się jakoś wokół niego kręcić. Nie chcę, by brzmiało to aż tak cynicznie, ale niestety nic nie mogę na to poradzić. Zakochujesz się w facecie, bo twojej podświadomości podoba się coś w jego podświadomości i dopiero po pewnym czasie przekonujesz się, że to, co się twojej podświadomości spodobało, było niczym innym jak tylko zdolnością twego wybranka do ranienia cię w sposób, jakiego najbardziej się obawiasz.

A najgorsze jest to - tak, jest jeszcze to najgorsze - że nawet jeśli dochodzisz do wniosku, że wszystko już sobie poukładałaś, wcale tak nie jest. Nawet jeśli sądzisz, że masz wszystko pod kontrolą, to się mylisz. Nawet jeśli dochodzisz do wniosku, że wszystko już ogarnęłaś, jesteś w błędzie. Tylko tak ci się wydaje.

Nawet teraz jesteś prawdopodobnie przekonana, że wszystko już wiesz. Myślisz sobie: tak, kiedyś byłam taka jak ty, ale zrobiłam swoje, wyprasowałam zmarszczki na swojej psychice, znalazłam właściwą osobę, dogadaliśmy się, zwierzyliśmy się sobie ze swoich oczekiwań i jestem teraz szczęśliwa. I nie twierdzą wcale, że nie jesteś.

Chcę ci tylko powiedzieć: strzeż się szczęścia. Bo szczęście ma to do siebie, że jest tymczasowe.

Oczywiście, mówię to wszystko z określonego powodu. Po tej feralnej kolacji Nina Peeble przewidziała, że Tom wróci, ale ja jej nie wierzyłam, choć rozpaczliwie tego

pragnęłam. Żyłam na tym świecie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że faceci zawsze wracają do Niny, ale do mnie niestety nie.

Jednak Tom - ku memu wielkiemu zaskoczeniu - wrócił.

Piętnaście

Jakiś czas potem opowiedziałam oczywiście Ninie o powrocie Toma i kiedy doszłam do momentu, jak zobaczyłam go na progu ze słoikiem musztardy, Nina powiedziała:

„Co za dupek”. Mówiąc szczerze, trochę mnie to zdziwiło. Wiedziałam, że Nina nie może się pogodzić z faktem, że Tom mnie zdradzał i odszedł do Kate i że ja jestem gotowa przyjąć go z powrotem, ale nie miałam pojęcia, że musztarda tak bardzo ją zdenerwuje. Nie byłam wcale na to przygotowana. Szczerze mówiąc, dopiero kiedy Nina zareagowała tak ostro, przyszło mi do głowy, że na całą sprawę można spojrzeć także z innego punktu widzenia. Początkowo uznałam chwyt z tą nieszczęsną musztardą może nie za dowcipny i w pewnym sensie uroczy, ale za bardzo tego bliski. I nawet jej nie zauważyłam do chwili, gdy spjrzałam na twarz Toma. Szkoda, że nie mogliście tego zobaczyć. Próbowałam opisać to Ninie, żeby złagodzić wrażenie, jakie zrobiła na niej musztarda, ale ona nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Wiesz, jak łatwo jest przybrać wyraz smutku i poczucia winy, kiedy zrobiłeś świństwo osobie, którą kochasz? - powiedziała. - To cholernie proste.

Oczywiście, często mamy z Niną bardzo odmienny pogląd na tego typu sprawy.

Jednym z powodów, dla których tak trudno było mi się z nią przyjaźnić przez te wszystkie lata, była jej opinia o każdym mężczyźnie, z którym się umawiałam. „Stać cię na coś lepszego”, słyszałam niezmiennie. Stać mnie na coś lepszego. Inną rzeczą, która zawsze mnie wkurza, jest stwierdzenie Niny: „Nie chcesz chyba być starą matką”. „Stać cię na coś lepszego” i „Chyba nie chcesz być starą matką”. Na co mi przyjaciółka, która coś takiego wygaduje? I po co tego wysłuchuję?

(A skoro już jesteśmy przy tym temacie, to chciałabym oświadczyć, że naprawdę chcę być starą matką. Bardzo. Nie zazdroszczę wcale kobietom, które rodzą dzieci w młodym wieku. I nie mam ochoty wysłuchiwać, że będzie mi znacznie trudniej, że będę grubsza, bardziej ociążała i zmęczona od nich. Nie chcę słuchać, że będą jeszcze młode, kiedy ich dzieci pójdą do college'u, ani że ja będę stara, gdy moje zaczną studia. To najgorszy rodzaj kobiecego współzawodnictwa i mam tego po dziurki w nosie).

Wracam jednak do mojej opowieści. Kiedy obudziłam się tego sobotniego ranka, leżałam w łóżku Matta. Miło było obudzić się obok drugiej osoby, nawet jeśli był nią tylko Matt. Leżałam przez jakąś minutę lub dwie, wpatrując się w tył jego głowy, po czym wstałam, ubrałam się i cicho wyszłam. Po drodze do domu zatrzymałam się w piekarni,

kupiłam bułkę cebulową i kubek kawy, a kiedy wyszłam z za rogu Delancey Street, zauważyłam Toma. Siedział na ostatnim stopniu schodów i coś w jego skulonej postaci powiedziało mi, o co tak naprawdę chodzi. No proszę, pomyślałam. Kiedy szłam w stronę domu, serce waliło mi jak młotem, czułam pulsującą krew w koniuszkach palców, a mój mózg raz po raz powtarzał cicho: No, proszę. I co my tutaj mamy?

- Brak mi cię, Alison - powiedział Tom. Nie odezwałam się ani słowem.

- Kocham cię. Spojrzałam na niego.

- Nie mogę bez ciebie żyć.

- Najwyraźniej możesz - odparłam. Byłam bardzo dumna z siebie i swojej reakcji, więc powtórzyłam raz jeszcze: - Najwyraźniej możesz.

To najtrudniejsza część całej historii. Bo niełatwo wytłumaczyć, dlaczego nie chwyciłam jednej z doniczek mojej gospodyni i nie rozbiłam na jego głowie. Ten facet odszedł przecież ode mnie na chwilę przed przyjściem gości i przez telefon powiedział mi, że kocha inną. Aż tu nagle wrócił i siedział na moich schodach ze słoikiem musztardy w ręce. Wyglądało to tak, jakby minione dwa tygodnie zawieszono w czasie, jakby Tom znalazł się gdzieś w czasoprzestrzeni, po czym nagle znów wrócił do domu z nieszczęsną musztardą w garści. No, panno Alison, słyszę wasz głos. Nie słuchaj, co ten facet ma ci do powiedzenia. Nie podawaj mu ręki.

Musicie jednak zrozumieć, że czekałam na tę chwilę i bardzo chciałam zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Tak mi przykro, Alison.

- Ostrzegałam cię przed nią - powiedziałam.

- Wiem.

- Nie chciałeś mnie słuchać.

- To był błąd. Kolosalny.

- Nadal ją kochasz?

- Alison...

- Kochasz czy nie?

- Kocham cię. I potrzebuję. Tak bardzo mi przykro. Splotłam ręce na piersiach.

- Nie. Nie kocham jej. Nigdy tak naprawdę jej nie kochałem.

Usiadłam na stopniu poniżej Toma. Wyjęłam bułkę z torebki i zaczęłam metodycznie zeszkrobywać plastikowym nożem ser, aż została tylko cieniutka warstwa. Nawet wtedy myślałam, że to świetne posunięcie: zająć się bułką, jakby nie działo się nic ważnego. Teraz myślę, że jakaś częśćka mnie czuła, że skoro Tom nie zerwał ze mną jak należy, tylko zrobił

to przez telefon, to teraz ja powinnam nie dopuścić, by odegrał dramat, który sobie zaplanował. Muszę jednak przyznać, że odczuwałam pewną satysfakcję. W tamtej chwili nie miałam pojęcia, co z tym wszystkim pocznę i jak się zachowam, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie byłam zadowolona.

- Ja też z kimś spałam - odezwałam się w końcu. - Kiedy cię tu nie było.

Ugryzłam spory kawałek bułki.

- Doszłam już do trzech. Spojrzałam na Toma.

- I nie jestem pewna, czy na tym skończę. Skinął głową z powagą.

- Alison?

- Uhm?

- Pragnę znów z tobą zamieszkać. Przełknęłam kęs bułki.

- Wątpię, czy do tego dojdzie.

- Proszę cię, Alison. Bardzo cię proszę.

Przez długi okres trwania naszego związku nie chciałam wprowadzać się do Toma, nie chciałam też, żeby on ze mną zamieszkał, i wszystko było w porządku. Nie zamierzałam wprowadzać się do Toma, bo miałam nadzieję, że najpierw mi się oświadczy, a Tom nie chciał ze mną zamieszkać, bo po prostu nie miał na to ochoty. I tak minęły ponad trzy lata. Potem postanowiłam trochę odpuścić. „Kiedy już ze mną zamieszka, nie będzie mógł beze mnie żyć”, myślałam. Nie twierdzę, że wiedziałam, co o tym myśli Tom, choć razem z Bonnie i Cordelią spekulowałyśmy na ten temat całymi godzinami. Oszczędzę was jednak i zachowam te spekulacje dla siebie. W najlepszym wypadku traktował to jako wielkie ustępstwo ze swojej strony. Powiedział, że wygląda to tak, jakby Żydzi ofiarowali Palestyńczykom cały Izrael. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że to siła jego oporu sprawiła, iż uznałam jego zgodę za swoje wielkie zwycięstwo.

Wreszcie Tom wprowadził się do mnie, ale wcale nie dlatego, że bardzo tego chciał czy pragnął zaoszczędzić na czynszu albo uszczęśliwić mnie. Stało się tak dlatego, że jego przyjaciel Darren postanowił mieć dziecko. Darren i Tom uczęszczali razem do Dartmouth, po ukończeniu studiów prawniczych wyładowali razem w Filadelfii i bardzo się ze sobą zżyli. Przypominali przyjaciółki od serca: jedli razem lunchy, gadali godzinami przez telefon, choć teraz dochodzę do wniosku, że część tych lunchów z Darrenem tak naprawdę była lunchami z Kate - nawet teraz nie mogę znieść myśli, że dałam się tak oszukać. Darren poznał swoją żonę Wendy dwa tygodnie po tym, jak Tom poznał mnie. Pół roku później Darren i Wendy zamieszkali razem, a my z Tomem nadal chodziliśmy na randki. Potem oni się pobrali, a my nadal chodziliśmy na randki. Niebawem Darren i Wendy postanowili mieć dziecko. Zaczęli

uprawiać seks w dziesiątym, dwunastym, czternastym i szesnastym dniu cyklu. Jeśli umawialiśmy się na kolację w jeden z wyznaczonych dni, musieliśmy to robić bardzo późno, bo Wendy nie chciała uprawiać seksu z pełnym żołądkiem. Gdybym chciała zacząć szukać pierwszych oznak nadciągających problemów, powinnam to była zrobić właśnie na tym etapie, ale tak się nie stało.

Myślałam tylko, że to bardzo dobrze dla Toma, że powinien obserwować, jak Darren spokojnie przechodzi z jednego etapu życia w drugi, i że być może on sam wreszcie się uspokoi i podda prądowi rzeki życia. I wyglądało na to, że tak jest w istocie, bo po kilku miesiącach wysiłków Darrena i Wendy, mających na celu poczęcie dziecka, Tom powiedział mi, że chciałby ze mną zamieszkać na próbę. Tak właśnie to ujął; słowa „na próbę” zawisły w powietrzu jak groźba, ale zgodziłam się.

Znaleźliśmy przytulne mieszkanie w tej części Delancey Street, w której były jeszcze wolne mieszkania, i wprowadziliśmy się. W pierwszy wieczór na nowym miejscu Darren i Wendy przynieśli czerwone wino i chińskie jedzenie. Zjedliśmy je z pudełek na podłodze w salonie i zastanawialiśmy się, gdzie postawić kanapę.

Rzeka życia płynęła spokojnie. Trzy miesiące później Darren wrócił do domu wcześniej i zastał Wendy w łazience. Siedziała na toalecie i trzymała w ręce test ciążowy z niebieską kreską. Kiedy zobaczyła męża stojącego w drzwiach, wybuchnęła płaczem. Darren też się rozplakał.

Był przekonany, że przeżywają najszczęśliwszą chwilę w życiu, ale był niestety w błędzie.

Tego samego wieczoru Darren przyszedł do nas i o wszystkim nam powiedział. Wendy nareszcie była w ciąży, ale chciała ją usunąć. Byliśmy wstrząśnięci.

Oniemieliśmy. Starali się o dziecko od ośmiu miesięcy! Osiem miesięcy planowania, uprawiania seksu przed kolacją i nagle Wendy postanawia usunąć ciążę. Usiedliśmy przy stole w kuchni i zaczęliśmy pić. Darren mówił bez końca o tym, że Wendy chce zabić jego dziecko. A przecież nie ma do tego prawa, to jest także jego dziecko i tak dalej. Siedziałam przy stole, kiwając z powagą głową, i co pewien czas donosiłam butelkę z lodówką. Wtedy właśnie przyszła mi do głowy myśl, która powoli stawała się tak oczywista, że nie mogłam już wydusić z siebie ani słowa.

- Najwyraźniej nie jest to dziecko Darrena - powiedziałam do Toma, kiedy kładliśmy się spać.

- Co ty wygadujesz?

- Wendy wyjechała służbowo do Acapulco.

- I co z tego?

- Właśnie minęło sześć tygodni. Pamiętam dokładnie, bo twoje urodziny przypadały akurat w ten weekend.

- I co z tego?

- Spóźniła się na samolot i musiała zostać dłużej. - Spojrzałam na Toma, żeby sprawdzić, czy rozumie, do czego zmierzam. Nie rozumiał. - Pamiętasz, jak długo?

- Tom pokręcił głową. - Całe dwa dni - powiedziałam i uniosłam w górę dłonie, jakby ten gest wystarczył za wszystkie słowa i oczywiste wnioski, jakie się w tej sytuacji nasuwały.

- Wendy spóźniła się na samolot - i wszystko staje się jasne.

- Urodzi śniade dziecko, które będzie mówić po hiszpańsku - oświadczyłam z powagą.

- Oszalałaś.

- To nawet nie jest dziecko, ale bambino - rozpaczliwie próbowałam sobie przypomnieć cokolwiek z lekcji hiszpańskiego ze szkoły średniej, ale dostrzegłam odbicie twarzy Toma w lustrze w łazience i nie odezwałam się ani słowem. Są takie chwile, kiedy koniecznie muszę nad sobą panować, i to była właśnie jedna z nich.

Chciałabym móc teraz powiedzieć, że nie myliłam się co do dziecka, ale nigdy nie dowiedziałam się prawdy. Wendy nie zdradziła się ani słowem. Poznałam za to parę przerażających szczegółów z ich małżeństwa, które bardzo mnie zaskoczyły, bo zawsze uważałam ich za szczęśliwą parę. Oczywiście jedynym sposobem, żeby dowiedzieć się, co się dzieje w małżeństwie, jest rozmowa z obiema stronami w czasie, gdy to małżeństwo się rozpada. Minie tydzień, może dwa, a powiedzą ci wszystko. Moim zdaniem, powodem, dla którego single uważają małżeński seks za okropny, jest fakt, że słyszą o nim ze szczegółami wyłącznie od przyjaciół, których małżeństwa są w stanie rozpadu, a opisywany przez nich seks jest w istocie okropny.

- Osiągnięcie orgazmu nie powinno wymagać aż tyle wysiłku ze strony drugiej osoby - powiedział Darren do Toma dwa dni po tym, jak Wendy ostatecznie go porzuciła. Przyszedł do nas z wizytą i całymi litrami wlewał w siebie alkohol. - To przypominało konstruowanie bomby nuklearnej. Próbowałem połączyć żółty drucik z czerwonym, bawiłem się zapalnikiem, próbowałem sobie przypomnieć, co robiłem ostatnim razem, kiedy wszystko zaskoczyło, i odnosiłem sukces w mniej więcej czterdziestu procentach przypadków.

- Doszło już do tego, że wołałam czytać książkę - powiedziała mi Wendy podczas lunchu pod koniec tego samego tygodnia. - I to wcale nie musiał być bestseller.

- Nawet nie lubię dużych cycków - skarżył się Darren.

- Próbowałam przekonać sama siebie, że seks to nie wszystko - mówiła Wendy.

- Tęsknię za nią - żalił się płaczliwym głosem zalany Darren. - Kocham ją.
- Chyba nigdy go nie kochałam - mówiła Wendy, dziobiąc widelcem sałatkę.
- Co to znaczy: nigdy go nie kochałam? - spytałam. - Wyszłaś za niego za męż.
Musiałaś go kochać.

- Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że nie.

- Może teraz już go nie kochasz - podsunęłam. - Może wtedy go kochałaś, ale teraz już nie.

- Nie. Pamiętam, jak w noc przed ślubem myślałam, że nie kocham tego faceta.

- Naprawdę? Wendy skinęła głową.

- Ale było już za późno. Potem się pobraliśmy i wtedy naprawdę było już za późno.

Pewnego dnia moja sekretarka weszła do mojego gabinetu i powiedziała, że się rozwodzi. W jednej chwili była mężatką, a w następnej już nie. Kiedy tak stała, zanosząc się od płaczu, i prosiła o kilka dni dodatkowego urlopu, poczułam się tak, jakby nagle wiatr rozwiął chmury i wszystko stało się jasne.

Wieczorem wróciłam do domu i opowiedziałam Tomowi o lunchu z Wendy. Siedział przy stole w kuchni, przerzucając „Scientific American”, podczas gdy ja przyrządzałam kurczaka w sosie cytrynowym i zasypywałam go teoriami. Może ciąża Wendy przywołała wspomnienie matki, która porzuciła ją w dzieciństwie, i nie chcąc powtórzyć jej błędu, zdecydowała się na zabieg? A potem, pragnąc uciec przed poczuciem winy, postanowiła opuścić Darrena.

- Nie kapuję - powiedział Tom. - Nadal sądzisz, że to nie było dziecko Darrena?

- Nie jestem już pewna - odparłam. - Ale to nie ma znaczenia. Nawet jeśli ojcem dziecka był Darren, to na pewno w grę wchodził ktoś jeszcze.

- Ciągle myślisz, że był ktoś inny.

- Tak, ale nie dlatego to mówię.

- A dlaczego?

- Bo Wendy wygląda na szczęśliwą, więc musi kogoś mieć.

- Może to jest tak jak z wyrwaniem zęba - powiedział Tom. - Może dlatego jest szczęśliwa.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Może to nie jest romans, ale świadomość, że istnieje ktoś inny.

- Ktoś taki zawsze istnieje.

- Nie.

- Na pewno - nie dawał za wygraną Tom.

- Dla mnie nie. Dlaczego tak się upierasz? Masz świadomość, że istnieje ktoś inny?

Spojrzał na mnie.

- Nawet jeśli tak jest, to nie ma sprawy. Chciałam tylko wiedzieć.

- Czy nie przesadzasz, sądząc, że ty, Alison Hopkins, jesteś uosobieniem kobiecości i dlatego nigdy nawet nie przyszła mi do głowy myśl, że może istnieć ktoś inny?

Nie odezwałam się.

- To nie świadomość jest problemem - powiedział Tom - lecz wprowadzenie jej w czyn.

- Powiedz mi jedno - zaczęłam, rozbijając kurczaka tłuczkiem. - Czy rozmawiamy w tej chwili o Kate Pearce?

Tom westchnął przeciągle.

- Powiedz tak lub nie.

- Alison.

- Bo jeśli to ona jest tą świadomością, to mamy problem.

- Nie mamy żadnego problemu.

- To dobrze.

Kiedy przypominam sobie takie chwile jak ta, jestem niemal z siebie dumna.

Przynajmniej nie wyszłam na totalnego głupola. Przynajmniej nie pozostawałam w całkowitej niewiedzy. Oczywiście później, już po odejściu Toma, mąż Bonnie, Larry, zapytał mnie, czy niczego nie podejrzewałam. Powiedziałam, że nie, ale kłamałam. W całym mieszkaniu aż roiło się od dowodów.

Znalazłam je wszystkie i każdy kolejny wprowadzał mnie w jeszcze większą złość niż poprzedni. Byłam wściekła, że nie zaczęłam węszyć wcześniej, zanim Tom odszedł, tak bym mogła go powitać w drzwiach, trzymając w ręce pogrążające go wydruki z rachunku karty kredytowej, i domagać się wyjaśnień. To byłoby straszne, nie zrozumcie mnie źle, ale przynajmniej czułabym, że jestem mądra i przebiegła. Nie oznacza to wcale, że to poczucie wynagrodziłoby mi ból z powodu zdrady i porzucenia, ale z pewnością byłoby lepsze niż nic.

To najgorsza rzecz związana z niewiernością: czujesz się straszliwie głupio.

Kiedy poszłam z Niną Peeble na lunch, powtarzała raz po raz: „Musiałaś coś wiedzieć. Jakaś część ciebie musiała coś podejrzewać”. A ja mogę szczerze powiedzieć, że nie. Niczego nie podejrzewałam. I nie chodzi tu tylko o patrzeć na sprawy z innej perspektywy. Ja naprawdę niczego nie widziałam. Tkwisz sobie bezpiecznie w związku, rozmawiasz o pracy i życiu, myjąc zęby obok drugiej osoby, i nie przychodzi ci do głowy, że osoba, która tkwi z tobą w związku, prowadzi drugie życie, o którym ty nie masz pojęcia. To po prostu nie

wydaje się możliwe.

Czy to nie może doprowadzić do szaleństwa? Czy nie można przez to stracić zmysłów? Nawet teraz, wiedząc wszystko, co wiem, z trudem mogę w to uwierzyć.

Czasami żałuję, że nikogo nie oszukiwałam ani nie zdradzałam, chociażby tylko po to, żeby poznać psychologię tego zjawiska, ale prawda wygląda tak, że po prostu nie potrafię sobie tego wyobrazić. Nie potrafię sobie wyobrazić życia z poczuciem winy, w dodatku prawdziwym dla mnie problemem byłoby utrzymanie tajemnicy. Nie radzę sobie z sekretami. Sześć lat temu na South Street podszedł do mnie drobny starszy mężczyzną w turbanie. Powiedział mi, ile będę miała lat, gdy umrę (dziewięćdziesiąt pięć), i że umrę we śnie na atak serca, mówił też, że nie powinnam obcinać włosów ani paznokci we wtorki, bo wtorek to mój pechowy dzień, i niebawem napłynie w moją stronę fala wielkiego szczęścia. W trakcie tej przemowy zapisywał wszystko na małych żółtych karteczkach, które związał w kulkę i wciskał mi do ręki, wyciągnął ode mnie osiemdziesiąt dolarów w dwudziestodolarowych banknotach i wręczył mi mały pomarańczowy koralik. „Rozdajesz swoje szczęście, mówiąc za dużo, powiedział na koniec. Nie marnuj go. Nie mów nikomu o tym, co się dziś wydarzyło”. Czułam się tak, jakbym miała za chwilę wybuchnąć. Nikomu nie mówić? Nie było w moim życiu takiej rzeczy, o której bym komuś nie opowiedziała. Z jakiegoś powodu tym razem tego nie zrobiłam i przez sześć lat trzymałam w sekrecie to, o czym powiedział mi ten drobny Hindus. Sekret palił mnie przez cały ten czas, a teraz wszystko zepsułam, bo w końcu go zdradziłam.

Pominąwszy nawet konieczność zachowania tajemnicy, nadal nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym kogoś oszukiwać. Czy w głębi duszy uważam, że jestem przez to dobrą osobą? Obawiam się, że tak. Czy czasami pławię się w ciepłe mojej własnej moralnej wyższości? Jasne. Ale można na to spojrzeć także i z innej strony. Może jedynym powodem, dla którego nie jestem złą osobą, jest to, że boję się nią być. Jeśli strach pomaga ci być dobrym, jeśli to strach pomaga ci trzymać się z dala od kłopotów, to chyba nie powinnaś uważać, że jesteś dobra.

Jesteś po prostu strachliwą, przeciętną osobą, wiodącą skromne, bezpieczne życie, a myśl, że tego typu egzystencja wymaga moralnej odwagi, jest tylko zwykłą bzdurą.

Szesnaście

Choć byłam bardzo zmartwiona tym, co zaszło między Tomem i Kate, zdajecie sobie prawdopodobnie sprawę z tego, że byłam w pełni przygotowana, by przyjąć go z powrotem pod swój dach. Fakt, że ani przez moment się nie zawahałam, jest w istocie dość dziwny, bo zawsze uważałam siebie za kobietę typu: jeden - wyskok - i - już - po - tobie. I wiele razy przedstawiłam Tomowi swój pogląd na te sprawy.

Wiedziałam doskonale, że istnieją kobiety, które potrafią wybaczyć skok w bok, które z radością rozbijają na twarzy niewiernego talerz, a potem gotowe są spróbować raz jeszcze, ale ja do nich nie należałam. I szczerze w to wierzyłam.

Naprawdę. Wyglądało to tak, jakbym zbudowała część swojej osobowości wokół przekonania, że jestem kobietą, która nie zniesie podobnych wyskoków, lecz teraz, kiedy stanęłam w ich obliczu, znosiłam je. Czułam się tak, jakbym musiała wymyślić siebie od nowa. Nie oznacza to wcale, że chciałam mu wszystko ułatwić.

Wręcz przeciwnie. W efekcie pod koniec sceny na schodach odesłałam go z powrotem.

Weszłam do mieszkania, zadzwoniłam do Cordelii i Bonnie i umówiliśmy się na lunch.

- Powiedziałam mu, że potrzebuję czasu, żeby się nad tym spokojnie zastanowić - oznajmiłam, kiedy już usiadłyśmy.

- Co właśnie robisz - zauważyła Cordelia.

- Powiedziałam mu też, że się przespałam z innym, kiedy on ode mnie odszedł.

- Powiedziałaś? - spytała Bonnie.

- Tak.

- I co on na to?

- Nic. Zapytał, czy może się z powrotem do mnie wprowadzić.

- Chyba postradał zmysły, jeśli sądzi, że to możliwe - burknęła Bonnie.

- Wiem. To właśnie mu powiedziałam.

- To dobrze.

- A potem zapytał, czy może coś zrobić, cokolwiek, a ja na to, że może się postarać mnie odzyskać.

Bonnie wygładziła żółty sweter opięty na ogromnym brzuchu i skinęła głową z aprobatą.

- Tego właśnie chcesz? - spytała Cordelia.

- Nie wiem, czego chcę - odparłam. Cordelia spojrzała na mnie z powagą.

- To, czego ja chcę, chyba nie ma żadnego znaczenia - powiedziałam.

- Jasne, że ma.

- Nie chciałam, żeby coś takiego w ogóle się wydarzyło.

- No dobrze - skwitowała Cordelia. - To czego chcesz? Oczywiście, zakładając, że prawa czasu i przestrzeni nie zostaną zakłócone.

- Nie mam pojęcia. - Zamyśliłam się na chwilę. - Wydaje mi się, że wszystko zostało zniszczone, rozbite i żebyśmy się nie wiem jak starali, aby to naprawić, już nigdy nie będzie tak dobrze jak dawniej.

- Będzie lepiej - oświadczyła Bonnie. - On cię przecież oszukiwał i zdradzał.

- Może i będzie lepiej - odparłam - ale nie lepiej, niż mi się wydawało.

To była jedna z rzeczy, które tak mnie wściekały. Powoli zaczynałam godzić się z myślą, że żyłam jak we śnie, że to, co moim zdaniem łączyło mnie i Toma, a to, co łączyło nas naprawdę, to były dwie zupełnie różne rzeczy, i nie mogłam przyjąć do wiadomości faktu, że zawarcie paktu o nieagresji z rzeczywistością jest dobrym rozwiązaniem. Ja chciałam śnić. Snuć dalej swoją fantazję. W najlepszych okolicznościach mam problemy z rzeczywistością, a te z pewnością trudno było uznać za najlepsze.

- Przynajmniej przespałaś się z innym facetem - powiedziała Cordelia.

- Nie żałujesz? - spytała Bonnie.

- Dlaczego miałabym żałować?

- Bo jeśli pogodzisz się z Tomem, do końca życia będziesz widziała w głowie film z tym facetem w roli głównej.

- Bardzo mi się ten film podoba. Kupiłam chętnie bilety, żeby go obejrzeć.

Cordelia przeprosiła nas i wyszła do toalety. Zrobiła kilka kroków, po czym wróciła do stolika i spojrzała na mnie.

- Nie traktuj tylko powrotu Toma jako zwycięstwa - powiedziała.

- Co masz na myśli?

- Popęłniłam ten błąd z Jonathanem. Wrócił do mnie z podkulonym ogonem, a ja poczułam się jak zwycięzca. Pomyślałam, że pokonałam tamtą kobietę w swoich zawodach, a tak naprawdę utknęłam z powrotem z totalnym dupkiem - zakończyła i odeszła.

Bonnie sięgnęła przez stół i ujęła moją dłoń.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszała mnie. - Wiesz o tym, prawda?

Wzruszyłam ramionami.

- Obiecaj mi coś.
- Co takiego?
- Obiecaj, że nie będziesz działać pochopnie.
- Jasne. Powolutku.

Tom zjawił się jeszcze tego samego wieczoru po swoje kije, bo rankiem umówił się na partię golfa, i po ośmiu minutach wylądowaliśmy w łóżku. Wiedziałam, że minęło dokładnie osiem minut, bo spjrzałam na cyfrowe wyświetlacze przy skrzynkach z bezpiecznikami. Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, była 21.13, a kiedy klęczałam na łóżku, zdejmując sweter, spjrzałam na zegar stojący na komodzie. Była 21.21.

Uprawialiśmy więc seks. Myślałam wtedy o wielu rzeczach, które przebiegały mi przez głowę, gdy robiliśmy to po raz pierwszy, ale przede wszystkim zastanawiałam się, czy wszystko jest tak samo jak kiedyś, a jeśli nie, to co się zmieniło. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to paskudnie, ale nic nie mogę na to poradzić. Obarczam za to winą Matta, a dokładniej rzecz ujmując, historię, którą mi kiedyś opowiedział. A brzmi ona następująco: kiedy Matt był pierwszy rok w college'u jego dziewczyna Daisy pojechała z przyjaciółkami do Puerto Rico na przerwę wiosenną. Matt i Daisy zaczynali jak jedna z tych par pierwszoroczników, które w trzecim tygodniu studiów zachowują się już jak młode małżeństwa, a potem ciągną to dalej, gotując razem makaron i wymieniając się dzinsami. Kiedy Daisy wróciła z Puerto Rico, wskoczyła razem z Mattem do łóżka. Nagle, w połowie stosunku przerzuciła go na brzuch - przepraszam, ale nie potrafię tego elegancko opisać, więc będę się trzymać terminów medycznych - i zaczęła stymulować językiem jego odbytu. Zaskoczony Matt usłyszał w głowie dzwonek alarmowy, ale postanowił go zignorować. Nie zapytał Daisy, gdzie nauczyła się tej nowej, odważnej sztuczki. Nie przerwał jej natychmiast i nie zaczął wypytywać, co naprawdę wydarzyło się w Puerto Rico. Leżał tylko spokojnie. (Zastanawiacie się pewnie, skąd o tym wszystkim wiem. No cóż, mężczyźni potrafią być straszliwie niedyskretni, jeśli zacznie się ich naciskać, a ja zawsze to robię).

Kiedy już skończyliśmy, Tom powiedział kilka rzeczy, które mężczyzna zazwyczaj mówi w takiej sytuacji, po czym zasnął. Ja leżałam, wpatrując się w sufit. Nie zauważyłam żadnych nowych sztuczek. No dobra, pomyślałam. To naprawdę koniec.

Może Kate Pearce była Kobietą, Z Którą Tom Musiał Się Przespać, Żeby Uświadomić Sobie, Jak Bardzo Mnie Kocha. Wygląda więc na to, że zatrzymam się na trzech. A potem: ciekawe, czy mogłabym wyjść za mężczyznę, który mnie zdradził. Czy to byłoby rozsądne? Raczej nie. Ciekawe, czy to mnie powstrzyma? Raczej nie.

Wiele już powiedziano o trzydziestoletnich kobietach, które chcą wyjść za mąż, i nie

jestem pewna, czy potrafię dodać coś nowego. Mimo to uważam siebie za eksperta na tym polu, bo niepokój, który kobiety zaczynają odczuwać w okolicy, powiedzmy, dwudziestych dziewiątych urodzin, ogarnął mnie w wieku lat trzynastu.

I zaczął powoli narastać. Przeróżający strach przed pozostaniem w stanie wolnym towarzyszył mi tak długo, że nie powinno się zwracać uwagi na moje zachowanie związane z tym szczególnym zagadnieniem.

Istnieje pewien rodzaj współczucia i pogardy zarezerwowany wyłącznie dla samotnych kobiet w subkulturze ewangelickiej, któremu kultura dominująca - nawet za pomocą artykułów w magazynie „Time” o malejącej płodności, sześciu samotnych kobietach przypadających na jednego samotnego mężczyznę i mizoginicznych bzdurach o czterdziestoletnich pannach i katastrofach samolotowych - nigdy nie dorówna. Jeśli ewangeliczce nie uda się znaleźć męża, traktowane jest to jako gigantycznych rozmiarów tragedia. Dla zwyczajnej samotnej kobiety tragedia ta, przynajmniej w oczach outsiderów, przybiera znacznie mniejsze rozmiary.

Umniesz ją fakt, że ma okazję poznawać nowych mężczyzn, wyrusza na pełne przygód wyprawy, łączy się w ciemnych korytarzach w czasie przyjęć, budzi się z bardzo obiecującymi nieznanymi u boku, zajada się daniami na wynos ze swoimi dawnymi chłopakami, z którymi wskoczyła do łóżka ze słowami: „To nie jest najlepszy pomysł”. Jej życie bywa smutne, samotne i czasami okropne, ale jest przynajmniej interesujące. Niestety, nie dzieje się tak w przypadku porządnej chrześcijanki. Ona staje się posłuszną służącą na usługach patriarchy, z wielkimi blachami do pieczenia ciasta w kuchni, kompozycjami z suszonych kwiatów ustawionymi nad kominkiem, zawsze radosna, pełna energii, zawsze zadbana, uprzejma i urocza. Przez cały czas, niemal wbrew sobie, ma nadzieję poznać mężczyznę, który wierzy w to, co trzeba, i jest jednocześnie inteligentny, miły, zabawny, przystojny i posiada jeszcze dwanaście innych cech, które wyleciały mi z głowy. Trudno jest w ogóle znaleźć kogoś, z kim chciałoby się spędzić resztę życia, a jeśli jesteś zmuszona ograniczyć pole poszukiwań do sześciu kawalerów kręcących się w niedzielę koło kaplicy - z których jeden wygląda zupełnie jak Jezus - to sprawa staje się beznadziejna. Nie jest więc chyba dziełem przypadku, że mając dwadzieścia pięć lat, postanowiłam w końcu iść z facetem do łóżka, bo jakaś częśćka mnie doszła do wniosku, że jeśli Bóg chce, że bym była dziwadłem, to przynajmniej będę uprawiać seks.

Przez cały czas nie opuszcza mnie myśl, że w tej sprawie powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia, że wysączyłam już z tego tematu ostatnią kroplę, ale tak nie jest. Widzę też, że raz jeszcze zbliżyłam się niebezpiecznie do złośliwości - a powiedziano mi, że

w moim przypadku cecha ta prezentuje się wyjątkowo nieatrakcyjnie - ale na to też nie mogę nic poradzić. Trudno. Kilka miesięcy przed całym tym zamieszaniem wpadłam na starą przyjaciółkę rodziny, która ma córkę w moim wieku. Chodziłam z tą córką do kościoła, śpiewałyśmy razem w chórze, jeździłyśmy na obozy i choć nie rozmawiałyśmy od lat, uważałam ją za swoją przyjaciółkę. Kiedy czekałyśmy razem z jej matką na zmianę świateł, rzuciła ot tak sobie, że córka ma nadzieję, iż Jezus nie przyjdzie ponownie na świat, zanim ona wyjdzie za mąż, bo nie chciałyby, żeby ominął ją seks. Po czym wybuchnęła śmiechem. Jej wyznanie rodzi wiele najróżniejszych pytań, a jedno z ważniejszych brzmi: Dlaczego ta kobieta uznała za stosowne poinformować mnie, że jej trzydziestodwuletnia córka nadal jest dziewicą? Wspominam o tym jednak tylko dlatego, że czułam dokładnie to samo przez cały okres dorastania. Musiałam wyjść za mąż jak najszybciej, bo nie chciałam, żeby Jezus powrócił na świat, zanim posmakuję seksu, a ponieważ nie wolno mi było go smakować przed ślubem, musiałam wyjść za mąż przed przyjściem Jezusa, a do tego - jak wszyscy doskonale wiedzą - mogło dojść w każdej chwili. „Jak złodziej nocą”. Podsumowuje to doskonale pewne moje podejrzania co do seksu - jest niezwykle ważny i nie chciałam, by ominął mnie tak istotny element życia - jak również moje głębokie przekonanie, że już niebawem Jezus Chrystus spłynie z nieba z mieczem w dłoni i rozpęta na ziemi Armagedon. (Poszczególne wyznania przekazują różne wersje późniejszych wydarzeń, ale wszystkie zgadzają się co do tego, że o seksie nie może być mowy).

To naprawdę zakrawa na cud, że po tym wszystkim jestem w stanie w miarę normalnie funkcjonować. Jeśli zaczęlibyście tak jak ja - czekając na Jezusa, który przybędzie na ziemię, by obwieścić koniec świata - i dotarlibyście do tego miejsca co ja (leżę w łóżku po seksie z moim chłopakiem, który przez pięć ostatnich miesięcy bzykał się za moimi plecami), znaleźlibyście się w bardzo niewygodnym położeniu i nie moglibyście ufać swoim instynktom. Nie, zapomnijcie o ufaniu, nie moglibyście nawet tych instynktów znaleźć. Nie mielibyście pojęcia, gdzie się znajdują. Nawet teraz nie jestem pewna, co w mojej sytuacji zrobiłaby kobieta obdarzona zdrowymi instynktami. Zawsze fascynowały mnie kobiety, które czuły wszystko w kościach, które były obdarzone intuicją, śmiejącą się w twarz logice, rozumowi i trzeźwemu osądowi. Instynkty, które mogłam kiedyś posiadać, zostały ze mnie wyrwane dawno temu i obawiam się, że na pociechę został mi system, który co chwilę fiksuje i płata najróżniejsze figle.

Siedemnaście

Następnego ranka obudziłam się cała przerażona. Śniło mi się coś straszego.

Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam śpiącego obok mnie Toma. Jego widok wstrząsnął mną tak głęboko, że natychmiast zapomniałam o dręczącym mnie w nocy koszmarze, lecz gdy poleżałam spokojnie przez chwilę, wszystko sobie przypomniałam.

Kiedy Tom się obudził, opowiedziałam mu mój sen. Potem zaczęłam go interpretować, używając zasad Junga, które zapamiętałam z sesji z Janis Finkle, lecz Tom przerwał mi, zanim na dobre się rozgrzałam.

- Jesteś każdą osobą w tym śnie - powiedział.

- Poszczególne części mnie, tak.

- Jesteś młodym Murzynem, starą kobietą i dzieckiem, które tak naprawdę jest tylko wielką głową.

- Jestem też łodzią i wodą - wyjaśniłam. - I uda mi się osiągnąć równowagę psychiczną, kiedy zaakceptuję fakt, że jestem też rekinem.

Tom spojrzał na mnie uważnie.

- Co? - spytałam.

- Nie wiem.

Wstał z łóżka i ruszył w stronę łazienki.

- Co? - powtórzyłam.

- Może nie powinno się być swoim własnym hobby - zawołał z łazienki.

- A co to miało oznaczać? - odkrzyknęłam.

Tom nie odpowiedział. Wstałam z łóżka i poszłam za nim do łazienki. Oparłam się o framugę i patrzyłam, jak myje zęby.

- Jestem moim własnym hobby - powiedziałam w końcu. Tom przekrzywił głowę.

- Nie czytam poradników - zauważyłam.

- Już nie - odparł Tom. Wypluł resztki pasty. - Już nie czytasz poradników. Ale wszystko tam jest - postukał mnie palcem w skroń.

- Nie sądzisz, że nie powinieneś mnie teraz obrażać?

- Nie chciałem, by zabrzmiało to jak przytyk. Tylko jak zwykła uwaga.

Uniosłam brew, ale postanowiłam odpuścić.

- Opowiedz mi jeden ze swoich snów - powiedziałam.

- Już to przerabialiśmy.

- Taki malutki.

- Nic mi się nie śni.

- Wszyscy śnią.

- Ale ja nic nie pamiętam - odparł. - A nawet gdyby tak było, to nie miałyby żadnego znaczenia, bo kiedy się budzę, mówię sobie, że to był tylko sen.

Przypomniało mi to pewną cechę Toma, o której chyba jeszcze nie wspominałam, a jeśli nawet tak, to nie podkreśliłam jej, jak należy: nie ma w nim absolutnie nic z neurotyka. Tego typu ludzie zawsze mnie fascynowali, ale wcale nie dlatego, że chciałam się stać taka jak oni. Nie. Mam tylko jeden cel: chcę sprawić, by stali się tak zwariowani jak ja. Myślę, że dzieje się tak bardzo często. Kiedy normalna osoba wiąże się z neurotyczną, ta jest przekonana, że osoba normalna tłumi wszystkie problemy i ukryte w duszy demony, i postanawia za wszelką cenę je uwolnić. Z Tomem bardzo się starałam. Naprawdę. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że romans Toma z Kate Pearce miał jedną pozytywną stronę. Nadał temu facetowi bardzo potrzebny podtekst. Zyskał dzięki niemu drugie oblicze. Do tej pory przez cały czas uważałam, że Tom żyje sobie spokojnie, chodzi do pracy, czyta naukowe czasopisma, gra w golfa i próbuje się ze mną nie ożenić, aż tu nagle okazało się, że to nieprawda. Nagle zyskałam zupełnie nowy materiał do moich rozważań.

Oczywiście, możliwe, że nie jestem w stosunku do niego sprawiedliwa. Możliwe, że był osobą bardziej skomplikowaną, niż się wydawał, a mnie to jakoś umknęło, jak umknęło mi wiele rzeczy, które wydarzyły się w naszym związku. Nigdy na przykład nie potrafiłam dojść, o czym on myśli. Nigdy też nie wiedziałam, co tak naprawdę czuje, ale myślenie jest ważniejsze, bo to przecież najbardziej podstawowa z czynności. I jeśli chcę być zupełnie szczerą, to muszę przyznać, że Tom był dla mnie zawsze mętny. Nie oznacza to wcale, że stale mnie zaskakiwał, raz po raz pokazywał mi nowe oblicze; chodzi o to, że był jak czysta karta. To brzmi o wiele gorzej, niż zamierzałam to wyrazić, ale nie mam pojęcia, jak to inaczej zrobić. Kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić, opowiedziałam o nim przez telefon mojej siostrze Meredith. Kilka miesięcy później przyleciała do Filadelfii w interesach i poszliśmy we trójkę na kolację. Kiedy Tom przeprosił nas na chwilę i poszedł do toalety, spytałam Meredith, co o nim sądzi. Powiedziała, że wygląda na sympatycznego faceta. Skinieniem głowy zachęciłam ją do dalszych spostrzeżeń.

Nie tak go sobie wyobrażałam, dodała. Kiedy zaczęłam naciskać, powiedziała, że jest zupełnie inny niż facet, którego jej opisałam. Moja siostra potrafi czasem człowieka wkurzyć, ale mimo to byłam zaskoczona. Nie przypomina w niczym faceta, którego opisałam? Jak to

możliwe? Przez całe lata w ogóle się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz wprawilo mnie to w zdumienie.

Jest jeszcze jedna rzecz, o której od dawna nie myślałam, ale w końcu powinnam wam o niej powiedzieć. Dotyczy bowiem Kate Pearce. Można to chyba nazwać historią Kate Pearce powiązaną z historią mojego związku z Tomem. Zaczęło się, jak to zwykle bywa, od zdjęcia.

Kilka tygodni po tym, jak zaczęliśmy ze sobą chodzić, siedziałam w mieszkaniu Toma i oglądałam album ze zdjęciami.

Tom ma typowo męski album. Nie ma w nim zdjęć z wielu okresów jego życia, jest dużo pustych miejsc. Można odnieść wrażenie, że przejdzie przez życie, wklejając do albumu fotografie przesyłane mu w listach przez przyjaciół, a kiedy dotrze do ostatniej strony, umrze.

- Kto to jest? - spytałam, gdy doszłam do zdjęcia Kate.

- Kate.

- Piękna.

I tak było w istocie. Miała duże brązowe oczy, długie brązowe włosy i była delikatna jak mała dziewczynka, co natychmiast przyprawilo mnie o mdłości.

- Długo chodziliście ze sobą? - spytałam.

- Trzy lata.

- To bardzo długo.

- Byliśmy razem w college'u.

- Trzy lata w college'u to bardzo długo. Co ona teraz robi?

- Nie wiem. Nie rozmawiałem z nią od dziesięciu lat.

- Dlaczego? - spytałam.

- Rozstanie było bardzo przykre.

- Dlaczego?

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

Przerzucałam dalej album. Nieco później wróciłam do tematu Kate i odbyliśmy z Tomem następującą rozmowę:

- Nadal coś do niej czujesz? - spytałam.

- Chyba byłoby dość dziwne, gdybym nic do niej nie czuł.

- Jesteś w niej nadal zakochany? - spytałam.

- Nawet nie wiem, co to znaczy.

Powinnam była natychmiast zapytać: „Jak to nie wiesz, co to znaczy?”. Powinnam była starać się wydobyć z niego, czego właściwie nie rozumie. Ale był to dopiero początek

naszego związku, byliśmy razem od czterech tygodni i na tym etapie nie robi się takich rzeczy. Nie jestem zresztą pewna, czy robi sieje później. Może powinno się wypytywać o podobne sprawy dopiero pod koniec, ale osoba taka jak ja chowa takie informacje gdzieś głęboko w mózgu i stara się zapomnieć, że w ogóle tam są. I rzeczywiście udało mi się zapomnieć - Kate Pearce była dla mnie tylko nazwiskiem, na którego dźwięk zauważałam u mojego chłopaka spojrzenie, które postanowiłam interpretować jako tęsknotę za młodością, wolnością, za koleżankami z college'u wymachującymi laskami do lacrosse'a na zielonych boiskach - ogólnie rzecz biorąc, za przeszłością, a nie za Kate.

Dwa lata później. Sobota. Robiliśmy z Tomem zakupy w małym sklepie spożywczym na Pine Street. Tak naprawdę to on robił zakupy, ja mu tylko towarzyszyłam.

Doszliśmy do kasy i Tom przeciągnął kartę kredytową przez maszynkę. Wystukał PIN. 5 - 2 - 3 - 8. „Sam go wybrałeś czy nadali ci go w banku?“, spytałam niewinnym tonem, jakim prowadzi się rozmowy przy kasie w sklepie spożywczym. „Sam go wybrałem“, odparł Tom, a na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Tak, to był tylko dziwny wyraz, ale ja wiedziałam już wszystko. Wszystko.

- O mój Boże - szepnęłam.

Tom zabrał zakupy i wyszedł ze sklepu. Ruszyłam za nim.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Alison, proszę cię, tylko tego nie wyolbrzymiaj.

- Niczego nie wyolbrzymiam - odparłam.

- Mam tę kartę od czasu college'u. To nic nie znaczy - powiedział.

- Te cyfry oznaczają przecież Kate.

- Dla mnie jest to teraz tylko PIN.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

Wiedziałam, o co. Doskonale. Chodziło o to, że Tom wystukiwał imię Kate za każdym razem, kiedy szedł do bankomatu, a było to wyrazem pewnego oddania i miłości.

Przez dwa lata myślałam, że nie jest do czegoś takiego zdolny, aż tu okazało się, że a jakże, jest tyle tylko, że nie w stosunku do mnie. O to właśnie chodziło.

Ale nie zamierzałam mu o tym powiedzieć. Za nic. Bo nie chciałam, żeby się dowiedział, o co mi chodzi. Tom mnie kochał. Wiedziałam, że mnie kocha. Kochał, ale miał swoje sprawy. Swoją bagaż. Każdy z nas dźwiga własny bagaż i ma własne sprawy. Musicie przy tym pamiętać, że kiedy zdarzył się ten niepokojący incydent, Kate Pearce była raczej abstrakcyjnym problemem. Tom nie rozmawiał z nią od dziesięciu lat. A ja już dawno

zrezygnowałam z chęci bycia dla kogoś pierwszą, ostatnią i jedyną. Trzeba z tego zrezygnować, chyba że wychodzi się za mąż za ukochanego ze szkoły średniej, a nie ma na świecie nic nudniejszego niż osoba, która wyszła za mąż za ukochanego ze szkoły średniej.

- Nie wiem, o co mi chodzi - powiedziałam do Toma. Zaczęłam płakać. - Po prostu źle się z tym czuję.

Tom zmienił PIN na datę moich urodzin i nasz związek wrócił na dawne tory.

Zastanawiacie się na pewno, czy romans, który połączył Toma i Kate, był prawdziwą miłością. Ta myśl wielokrotnie nie dawała mi spokoju. Dziesięć lat po rozstaniu Tom nadal wystukiwał jej imię za każdym razem, gdy szedł po gotówkę do bankomatu. To chyba współczesny ekwiwalent wycinania inicjałów w korze starego dębu. Lubię myśleć, że nie jestem osobą, która staje na drodze prawdziwej miłości, nawet jeśli oznacza to, że osoba ze mną związana kocha prawdziwą miłością inną. Po powrocie Toma odbyliśmy tylko jedną zasadniczą rozmowę o Kate; jedyną, która miała jakieś znaczenie i dotyczyła bezpośrednio tego tematu.

Pewnego wieczoru posadziłam go na kanapie i powiedziałam, że powinien wszystko sobie przemyśleć. Bo może będzie tego żałował. Może to ją kochasz, może to jej potrzebujesz, może to jej pragnąłeś przez cały ten czas. Tom zapewnił mnie, że nic z tych rzeczy. Tu nie chodzi o miłość. Ani o Kate. Powiedział nawet, że nie chodzi o seks. To o co? - zastanawiacie się na pewno. Tego nie powiedział.

Pamiętam, że ujął moją dłoń i kilka razy ją pocałował. Powiedział, że mnie kocha.

Ja też go o tym zapewniłam. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Czyli mamy to już za sobą? - spytał.

- Jasne - odparłam.

Puścił moją rękę i włączył telewizor.

Osiemnaście

W następną sobotę poszłam do redakcji po rzeczy. Staralam się unikać spotkania z kimkolwiek i początkowo mi się to nawet udawało, ale nie do końca. Bo do mojego pokoju wszedł Henry. Wszedł i bez słowa opadł na starą kanapę, którą Matt znalazł na ulicy kilka przecznic od redakcji.

- Ta kanapa miała kiedyś pchły - powiedziałam w końcu.

- Ja też - odparł.

Wsunęłam z powrotem rękę do szuflady i wyjęłam starą książeczkę czekową Mellon Bank. Zaczęłam drzeć po kolei czeki i wrzucać je do kosza na śmieci.

- Kiedy? - spytałam.

- Co?

- Kiedy miałeś pchły?

- Nigdy ich nie miałem - odparł. - Chciałem tylko nawiązać rozmowę.

Wyciągnął się na kanapie.

- W college'u mój kolega Judd miał kanapę z krabami. Nie odpowiedziałam.

- A pewnego razu znalazłem na wujku kleszcza. Podarłam ostatni czek i spojrzałam na niego.

- Nie uważasz, że to dziwne? - spytałam.

- Nie.

- A powinieneś.

- Uważam, że ty jesteś trochę dziwna - powiedział z uśmiechem.

- To ja jestem tu normalna, Henry. A rzadko tak się dzieje. Wyjęłam szufladę z biurka i wyrzuciłam całą zawartość do kosza. Na podłogę spadło kilka starych wycinków, więc pochyliłam się, żeby je podnieść.

- Czy zawsze analizujesz rzeczy, kiedy znajdujesz się w ich środku?

- Nie jesteśmy już w środku niczego - odparłam. - Ale to prawda, zawsze analizuję.

- Przykro mi z powodu twojej pracy - powiedział.

- Nie o to mi chodziło.

- O Reading Terminal.

- Tak.

- Rozumiem.

- Bardzo mi się podobało, gdy ścisnąłeś mnie za ramię - powiedziałam.

- Zrobiłem to? Skinęłam głową.

- Jeszcze nikt nigdy ze mną nie zrywał, ściskając mnie przy tym za ramię.

- Wcale z tobą nie zrywałem. Powiedziałem ci tylko, że nie potrafię sobie z tobą poradzić. A to różnica.

- Tak?

- Tak - odparł. - I choć możemy to uznać tylko za detal czysto techniczny, nie bardzo było co zrywać.

- Chciałeś mi jedynie powiedzieć, że przez następne trzydzieści lat nie powinnam czekać z nadzieją, że pojawisz się na moim progu i będziesz chciał znów iść ze mną do łóżka?

- Podskakując na każdy dzwonek telefonu.

- I stale goląc nogi.

- Tak - uśmiechnął się do mnie. - Próbowałem ci tego oszczędzić.

- Bardzo miło z twojej strony.

- Dzięki.

- Cofam wszystko, co powiedziałam.

- Nic nie mówiłaś.

- Cofam wszystko, co powiedziałam o tobie w myślach - wyjaśniłam. - W czasie, kiedy cię nienawidziłam.

Podeszłam do biblioteczki i zaczęłam przeglądać książki. Czułam na sobie wzrok Henry'ego.

- Kiedy byłam w szóstej klasie, w każde sobotnie popołudnie chodziłam na lodowisko

- powiedziałam. - Pewnego dnia zauważyłam, że gapi się na mnie bardzo sympatyczny chłopak. Raz po raz przejeżdżał obok mnie, nie spuszczać ze mnie wzroku, a ja za każdym razem byłam coraz bardziej podniecona. W końcu podjechał do mnie i zapytał - zawiesiłam głos jak zawsze, gdy opowiadam tę historię - „Jesteś chłopcem czy dziewczynką?”.

Henry wybuchnął śmiechem.

- Niemożliwe.

- Właśnie że tak. A kiedy przyszła po mnie mama, zaczęłam płakać. Powiedziałam jej, co się stało. Wiesz, co usłyszałam?

Pokręcił głową.

- „Powiedział tak, bo masz czarne łyżwy”. W domu się nie przelewało, więc dostałam po kuzynie czarne łyżwy.

- Masz bardzo dobrą mamę.

- Tak.

- I to bardzo ciekawa historia.

- Wiem. Ale opowiedziałam ci ją z pewnego konkretnego powodu. Niniejszym trafiasz do tej właśnie kategorii.

- Jakiej?

- Tej samej co chłopak z lodowiska.

Włożyłam ostatnie książki do pudełka i oznajmiłam Henry'emu, że wychodzę. Wstał z kanapy, wziął moje pudło pod pachę i wyniósł je na korytarz.

- Wiesz, co się z tobą stanie, Henry? - powiedziałam.

- Co?

Spojrzałam na niego z powagą.

- Skończysz u boku kobiety, która będzie umiała sobie z tobą poradzić.

Zdjęłam ze ściany stare zdjęcie Woody'ego Allena i zgasiałam światło. Kiedy zeszliśmy na dół, wzięłam od niego pudło i podziękowałam za pomoc. Staliśmy przed budynkiem. W lekkim wietrze powiewał transparent z napisem „Philadelphia Times”.

Henry spojrzał mi prosto w oczy. Nigdy nie potrafiłam sobie radzić z tego typu znaczącymi spojrzeciami i tym razem nie było inaczej. Uśmiechnęłam się, Henry odpowiedział mi uśmiechem, po czym roześmiałam się. Nic nie mogłam na to poradzić. Wbiłam wzrok w chodnik.

- Chciałabym ci zadać ostatnie pytanie - powiedziałam.

- Ostatnie?

- Ja wracam do siebie, ty do siebie, już dla ciebie nie pracuję, więc jest to ostatnie pytanie. I chciałabym, żebyś szczerze na nie odpowiedział, nawet jeśli uważasz, że zranisz moje uczucia.

- Strzelaj.

Zastanowiłam się, jak najlepiej to ująć.

- Jaki twoim zdaniem był seks, który razem uprawialiśmy?

- Jak to? - spytał.

- No: dobry, zły, średni. Jaki?

Henry spojrzał w niebo, jakby szukał w chmurach właściwego określenia.

- Niesamowity - powiedział w końcu.

- Też tak myślę.

Zatrzymałam taksówkę i pojechałam do domu.

Siedziałam w taksówce, a obok mnie leżało pudło z rzeczami. Było mi dobrze.

Henry okazał się przyjemną odmianą. Jak pyszna czekoladka zjedzona w jakimś

egzotycznym miejscu, do którego już nigdy nie wrócisz. Pewni ludzie zjawiają się w twoim życiu i nie możesz ich zatrzymać na dłużej. Bierzesz tylko, co mają do zaoferowania, i dajesz im coś w zamian. Może to oznacza dojrzewanie. Nie czepiać się wszystkiego tak kurczowo. Nawet pracy. Czułam, że i ja powoli odpuszczam, i dobrze się stało, bo przecież mnie wylali. Znajdę sobie inną pracę. Tom czeka na mnie w domu i wszystko zacznie wracać do normy.

Wyjrzałam przez okno. Uśmiechnęłam się przebiegle. „Niesamowity”.

Spojrzałam na stojące obok pudło. Na samym wierzchu leżał kalendarz, którego kartki furkotały unoszone wiatrem wpadającym przez uchylone obok kierowcy okno.

Ile czasu minęło od tej feralnej kolacji? Przerzuciłam kartki kalendarza.

Niewiele ponad trzy tygodnie. Niesamowite. A wydawało się, jakby minęły dwa lata.

Zaczęłam powoli przewracać kartki, przypominając sobie wydarzenia z minionych trzech tygodni. Przed oczami stanęła mi nagle pornograficzna scena z Henrym w roli głównej. Zarumieniłam się i zamknęłam oczy.

Po chwili je otworzyłam. Zamrugałam szybko. Chwyciłam kalendarz i znów zaczęłam gorączkowo przerzucać kartki. Wróciłam do kolacji. Cofnęłam się jeszcze bardziej.

Wreszcie to znalazłam, na dole po prawej stronie.

Mały znak x.

Spojrzałam na datę. Policzyłam tygodnie na palcach. Pięć palców. Pięć tygodni!

Zrobiło mi się niedobrze. Wpadłam w panikę i nie mogłam złapać tchu. Chwyciłam mocno podpórkę pod ramię, żeby się opanować. Oddychaj głęboko, nakazałam sobie w duchu. To nic nie znaczy. To nic. Próbowałam się uspokoić, prowadząc rozsądny wewnętrzny dialog, ale gdzieś głęboko słyszałam inny głos, o wiele bardziej zdecydowany, który dawał mi wyraźnie do zrozumienia, że jestem w ciąży.

- Hej, paniusiu - powiedział kierowca.

Podniosłam wzrok. Staliśmy przed moim domem. Wiedziałam, że Tom jest na górze.

Ogląda w telewizji turniej golfowy i o niczym nie wie. Jakby w moim łonie nie działo się nic podniosłego.

- Pojedziemy gdzie indziej. Nie, wszystko w porządku. Chciałam tylko rzucić okiem. Przejechać właśnie tędy - nie mogłam powstrzymać bezładnego potoku słów.

- Pomyślałam, że ktoś... ale teraz okazuje się, że nie...

- Jak sobie pani życzy - odparł kierowca, a ja podałam mu nowy adres.

Oparłam się wygodnie i przerzucając z furią kartki kalendarza, próbowałam sobie przypomnieć rzeczy, których uczyłam się w ósmej klasie na lekcjach przysposobienia do życia w rodzinie. Na przykład, kiedy występuje owulacja.

Dwanaście dni po ostatniej miesiączce? A może powinno się zacząć liczyć od pierwszego dnia ostatniej miesiączki? A może szesnaście? Nie miałam pojęcia. Jak długo żyje jajeczko? Trzy dni? Pięć? Zaczęłam się okropnie pocić. Wyobraziłam sobie własny brzuch jako wielki dół pełen spermy, która omija wszelkie zabezpieczenia i czai się tam przez całe dni, może nawet tygodnie, tworząc swój własny ekosystem. Moje łono było wielką śniegową kulą pełną obcego materiału genetycznego, a niepodejrzewające niczego jajeczko opadało jak balonik na stadionie zasypanym konfetti. Zastanawiałam się, kiedy dokładnie uprawiałam seks.

Zawijałam rogi kartek kalendarza.

Cztery razy przy dwóch oddzielnych okazjach. Czy drugi raz, do którego doszło po północy, należy zaliczyć do następnego dnia? Bo to zwiększa ilość założonych kartek. Siedziałam, wpatrując się w kalendarz, i powoli zaczęła do mnie dochodzić przerażająca myśl.

Nie wiedziałam, kto jest ojcem dziecka.

Nie wiedziałam, kto jest ojcem dziecka! To mógł być Tom, ale równie dobrze Henry!

Prawdopodobnie Henry, ale Toma nie można całkowicie wykluczyć. A nawet nie byli do siebie podobni! Tom ma jasne włosy, a Henry brązowe! Zaczęłam gwałtownie chwytać powietrze. Chciałam sobie przypomnieć, co Tom mówił o oczach naszych dzieci. Wiedział, jaki będą miały kolor. Tom ma niebieskie oczy, a Henry brązowe!

Już po mnie!

Taksówka skręciła w ulicę, na której mieszkała Cordelia, i zatrzymała się przed jej domem. Rzuciłam zmięty banknot dwudziestodolarowy i czekając na resztę, splotłam ręce na piersiach i delikatnie nacisnęłam. Były obolałe. Obolałe!

- Proszę - powiedział kierowca i wręczył mi resztę. Popędziłam do Cordelii.

Skinęłam głową odźwiernemu Enrique, który przepuścił mnie bez słowa. Wsiadłam do windy i nacisnęłam guzik jedenastego piętra.

Jechałam sama windą. Wstyd otulił mnie jak ciepły szal. Kiedy zostałam dziwką? pytałam sama siebie. Co się stało? Co zrobiłam nie tak? Jakim cudem doszłam do wniosku, że tego typu zachowanie jest do przyjęcia? - Mieszkałam z mężczyzną, który nie był moim mężem, i na pierwszej randce poszłam do łóżka z facetem, którego znałam niecały tydzień. Jeśli się nad tym zastanowić, to nawet nie była randka. Facet zaprosił mnie na schodach na kolację. Zapłaciliśmy rachunek po połowie. Mogłam równie dobrze zamieścić ogłoszenie w naszej gazecie i poprosić go, żeby przed wyjściem zostawił pieniądze na komodzie. Patrzyłam na migające światełka piętér i oczy zaszyły mi łzami. No, Alison, zbierasz, co zasiałaś.

Siałas rozwiązy tryb życia, a teraz zbierzesz żniwo w postaci niechcianego dziecka o nieustalonym ojcostwie.

Drzwi windy rozsunęły się. Przeszłam długi, słabo oświetlony korytarz i nacisnęłam dzwonek Cordelii.

- Co się stało? - spytała, gdy zobaczyła wyraz mojej twarzy.

- Jestem w ciąży - odparłam i wybuchnęłam płaczem. Cordelia pokiwała ze spokojem głową i wpuściła mnie do środka. Powiesiłam płaszcz na krzesło i rzuciłam się na kanapę twarzą w dół.

- Zabiję się - powiedziałam.

- Zrobiłaś test? - spytała Cordelia obojętnym tonem.

- Wiesz, co mówi Bonnie? Że za każdym razem, kiedy jest w ciąży, po prostu to wie - powiedziałam. - Ja wiem.

Cordelia poszła do kuchni i wyjęła z zamrażarki butelkę absoluta. Napełniła dwa kieliszki.

- Wypij - powiedziała. Usiadłam i pokręciłam głową.

- Dziecko - powiedziałam. Cordelia przewróciła oczami.

- Co jest? - spytałam.

- Wiesz, ile razy prowadziłyśmy tę rozmowę?

- Więcej niż raz.

- Mnóstwo razy.

- I nigdy nie byłam w ciąży - powiedziałam.

- I nigdy nie byłaś w ciąży.

- Nigdy.

- Nigdy nie byłaś w ciąży. Wpadasz w histerię, podniecasz się, a jeszcze nigdy nie zaszłaś w ciążę.

Mówiła prawdę.

Nie wdając się w szczegóły dotyczące funkcjonowania mojego organizmu, muszę wyznać, że z zegarkiem i jego regularnością nie ma on nic wspólnego. Działam na zasadzie, która rodzi mnóstwo nieuzasadnionych podejrzeń, fałszywych alarmów i strachu przed ciążą. Myślicie, być może, że normalna osoba z historią podobną do mojej nie wyciągałaby pochopnych wniosków, do których doszłam w taksówce. Może normalna osoba w istocie tak by zrobiła. Ja nie. Ja nie mam nigdy żadnych wątpliwości. Jestem zawsze na sto procent pewna. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, przychodzi mi do głowy, że mój organizm przypomina jedną wielką karę za uprawianie seksu. Choć moja świadomość doszła do

wniosku, że uprawianie seksu z facetem, z którym nie wzięło się ślubu, jest w porządku, dopóki żadna ze stron nie jest w związku z inną osobą, moja podświadomość powtarza: „nie tak szybko”. A to rodzi strach. I staranne stosowanie różnych metod zapobiegawczych wcale tego strachu nie zmniejsza. A wiąże się to wszystko z dziewczyną z mojej grupy modlitewnej, która zaszła w szkole średniej w ciążę i utrzymuje - do dziś - że nigdy tak naprawdę i w pełnym tego słowa znaczeniu nie uprawiała seksu. Tak więc nawet liczne zabezpieczenia nie znaczą dla mojej psychiki.

- Wiem, że już to przerabialiśmy - powiedziałam - ale tym razem jest inaczej.

- Dlaczego?

- Bo nie wiem, kto jest ojcem - odparłam i znów wybuchnęłam płaczem.

Cordelia oparła ręce na biodrach.

- A kim są kandydaci na tatusia?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wrzasnęłam. - Wiesz doskonale! Tom i Henry!

Zapadła długa chwila milczenia.

- A nawet nie są do siebie podobni! - powiedziałam. Cordelia przekrzywiła głowę.

- Mają inny kolor oczu!

- Co ty kombinujesz?

- Nic nie kombinuję!

- A ja tak. Wkładaj płaszcz.

- Dokąd idziemy?

- Do apteki.

Pokręciłam gwałtownie głową.

- Nie mogę. Nie wytrzymam tego.

- Ja tego nie wytrzymam - oświadczyła Cordelia. - Nie będę tego znosić ani minuty dłużej.

Zjechałyśmy windą i poszłyśmy do znajdującej się za rogiem apteki. Zrzunowałam się na dziewiętnaście dolarów za test, ten lepszy - choć nie było mnie na to stać teraz, gdy byłam bezrobotna. Wróciłam do mieszkania Cordelii, ściskając w spoconej dłoni szarą torebkę.

Nie ma sensu wdawać się w szczegóły. Postąpiłam zgodnie z wypisanymi na pudełku instrukcjami, siedziałam na toalecie przez całą wieczność z zaciśniętymi powiekami, po czym otworzyłam oczy. Natychmiast poczułam falę wielkiej ulgi.

Chyba nie ma lepszego uczucia. Nigdy nie mogłam się nadziwić, że największym plusem całej tej ciążyowej hipochondrii jest właśnie to bardzo wysublimowane poczucie - że nie jesteś w ciąży, kiedy nie chcesz w niej być. Przez jakiś czas wszystkie inne problemy

wydają się tak mało ważne i łatwe do rozwiązania w zderzeniu z tym nowym, ogromnym. I dopiero po wykonaniu prostej czynności, jaką jest nasiusianie na niewielki patyczek, ten nowy i ogromny problem nagle znika.

- Wiesz - powiedziała Cordelia - mamy już chyba do czynienia z zachowaniem, którym powinien się zająć specjalista od zdrowia psychicznego.

Skinęłam głową.

- To nie jest normalne - dodała. Raz jeszcze skinęłam głową.

- Kiedy następnym razem dojdiesz do wniosku, że jesteś w ciąży, przypomnij sobie, że jeszcze nigdy w nią nie zaszłaś. Uprawiasz seks od lat, ale nigdy nie zaszłaś w ciążę. Ani razu.

Przytuliła mnie mocno.

- Cordelia? - szepnęłam jej w szyję.

- Tak?

Oswobodziłam się z jej uścisku i spojrzałam prosto w oczy.

- A może ja w ogóle nie mogę mieć dzieci? Szturchnęła mnie.

Wróciłam do domu.

Mam dwie teorie dotyczące przyczyn, dla których przyjął Toma z powrotem. Nie, właśnie przyszła mi do głowy jeszcze jedna, więc w sumie mam trzy. Trzy teorie.

Pierwsza z nich głosi, że odejście Toma do Kate Pearce było bolesnym ciosem wymierzonym mojemu narcyzmowi, a jego powrót sprawił, że odzyskałam poczucie własnej wartości. Pierwszą osobą, która użyła w stosunku do mnie terminu „narcyzm”, była Janis Finkle. Wplotła go zgrabnie w jedną z naszych sesji, jakby było to coś, z czym obie zgodziłyśmy się dawno temu; jakby była to informacja, zapisana w mojej karcie obok imion rodzeństwa, nazwy miasta, w którym dorastałam, i powracającego regularnie snu o tonącej łodzi. Po zakończeniu sesji poszłam prosto do księgarni Barnes & Noble i usiadłam na zielonym dywanie w dziale książek psychologicznych. Rozłożyłam na kolanach wielkie tomisko, w którym odnalazłam rozdział poświęcony narcyzmowi, i przeczytałam kryteria, pozwalające go zdiagnozować. Z pewnością rozpoznałam u siebie trzy, całkiem możliwe, może nawet cztery, a trzeba było mieć pięć, by zostać uznanym za przypadek kliniczny.

Jeśli o mnie chodzi, zbliżyłam się do niego zdecydowanie za bardzo. Kiedy tydzień później znów spotkałam się z Janis, przepytalam ją na ten temat tak skutecznie, że bez wątplenia wyszłam na osobę mającą obsesję na punkcie swego narcyzmu, zupełnie jak żmija, która bardzo polubiła smak swojego ogona. W każdym razie nie wierzę, jakobym była narcyzem w pełnym tego słowa znaczeniu - szanuję uczucia innych i potrafię spoglądać na

sprawy nie tylko ze swojego punktu widzenia - ale przyznaję, że mam tendencje narcystyczne, i kiedy Tom powiedział mi, że nie może żyć beze mnie, ocierająca się o narcyzm cząstka mojej osobowości od razu podniosła łeb. No jasne, że nie może! Biedak. Tak wygląda ta pierwsza teoria.

Druga jest znacznie mniej skomplikowana. Być może, udało się wam wywnioskować, że mój ojciec opuścił nas, gdy miałam pięć lat, i - wspominałam, że mam dwóch ojców - już nigdy nie wrócił. Powrót Toma stał się więc spełnieniem najważniejszej fantazji mojego dzieciństwa i w pewnym sensie nie byłam w stanie się temu oprzeć.

Trzecia teoria, jak się okazuje, była jedyną, która jako pierwsza przysłała mi do głowy. Głosiła, że kocham Toma. A miłość sprawia, że robi się różne szalone rzeczy. Oczywiście szalone rzeczy robi się także i wtedy, gdy jest się szalonym, ale co z tego. Tom wrócił. Nie było tak, jak myślałam, ale jakoś to przeżyję.

Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że potrafię coś takiego znieść, ale wygląda na to, że mi się udało. Nie powinnam spodziewać się idealnych rozwiązań tylko dlatego, że całymi latami zajmowałam się kolorowankami, nie wychodząc poza ograniczające obrazki linie. Ludzie popełniają błędy. W życiu nie ma sprawiedliwości. Ludzie się zmieniają.

Kiedy wróciłam do domu, Tom leżał wyciągnięty na kanapie ze słuchawkami na uszach. Miał zamknięte oczy, leżał nieruchomo i przez chwilę pomyślałam, że umarł. Ale nie, on oczywiście tylko spał. Szybko odpędziłam tę głupią myśl.

Poszłam do kuchni, wyjęłam z szafki pudełko makaronu i zabrałam się do przygotowywania kolacji.

Dziewiętnaście

Film Kiedy Harry poznał Sally wyświadczył prawdziwie niedźwiedzią przysługę singlom na całym świecie, gdyż zmusił ich do przyjrzenia się wszystkim przyjaciółom płci przeciwnej i zadania sobie pytania: Czy skończę u boku właśnie tej osoby? W większości przypadków nie jest to wcale pełne nadziei, radosne pytanie, bo gdyby chcieli skończyć u boku tej właśnie osoby, to dawno by już z nią chodzili. Wyobraźcie sobie, że ktoś mówi Meg Ryan podczas podróży z Chicago do Nowego Jorku, że następne dwanaście lat życia spędzi samotnie, od czasu do czasu nawiązując krótkie i nieudane romanse, a kiedy już będzie miała na dobre porzucić wszelką nadzieję, kogo powita z radością przy ołtarzu? Idiotę, który pluł pestkami z winogron na okno jej samochodu.

Prowadzi to prosto do Matta. Matta, mojego drogiego przyjaciela, który wybrał ten szczególny moment, by powiedzieć mi, że jest we mnie zakochany.

Wszystko to oczywiście mocno mną wstrząsnęło, lecz nie przeżyłam szoku aż tak wielkiego, jak myślicie. Nie miałam pojęcia, że Matt coś do mnie czuje, naprawdę, ale niestety cierpię na dolegliwość, która objawia się przekonaniem, że wszyscy moi przyjaciele są we mnie skrycie zakochani. Sądzę, że niektórzy zdają sobie z tego sprawę, lecz inni nie. Istnieją kobiety, które cierpią na inną odmianę tej dolegliwości - idą przez życie przekonane, że każdy mężczyzna chce iść z nimi do łóżka - ale to nie jest mój problem. Moim zdaniem, przyjaciele, którzy kochają się we mnie, przejawiają niewielkie zainteresowanie pójściem ze mną do łóżka lub nie przejawiają go wcale, dzięki czemu nasza przyjaźń niezmiennie trwa.

Kiedy wreszcie to się wydarzyło, kiedy jeden z przyjaciół w końcu wyznał mi miłość, potwierdzając tym samym moje przecucia, byłam odrobinę zadowolona, lecz płynącą z tej świadomości przyjemność całkowicie przyćmiła cała reszta, która okazała się okropna.

Wszystko stało się w Doobies, gdzie popijaliśmy. No dobra: byliśmy pijani.

Doobies należy do tej kategorii knajp, gdzie idziesz, aby się upić, i to właśnie robiliśmy. Wypiliśmy po kieliszku tequili przy barze, a potem zagraliśmy kilka razy w rzutki. Podczas gry też popijaliśmy tequilę. Moje zdolności do osiągnięcia najwyższej formy w krytycznych momentach w połączeniu z kilkoma błędami w obliczeniu punktów sprawiły, że Matt przegrywał raz za razem. I pił dalej.

Po pewnym czasie zjawili się dwóch kelnerów, którzy właśnie skończyli pracę i też chcieli pograć, więc przenieśliśmy się do boksu. Matt podszedł do baru i wrócił po chwili z dzbankiem Rolling Rock i paczką marlboro.

Wyjął papierosa i zapalił.

- Co robisz? - spytałam.

- A na co to wygląda? - odpowiedział pytaniem.

- Przecież nie palisz.

- Już nie palę. Rzuciłem 1 stycznia 1995 roku. Spojrzałam znacząco na papierosa w jego ręce.

- To jedno z niewielu prawdziwych osiągnięć w moim życiu - powiedział. - Parę dni temu, kiedy się nad tym wszystkim zastanawiałem, postanowiłem nagrodzić samego siebie miesiącem nieograniczonego palenia.

- Odbiło ci.

- A potem znów rzucę - powiedział Matt i zaciągnął się głęboko. - Choć uwielbiam te drańciuchy.

- Daj mi jednego - poprosiłam.

Matt zapalił drugiego papierosa i podał go mnie.

- Wiesz - powiedział - czasami zapominam, jaka byłaś kiedyś słodka. Aż tu nagle widzę, że trzymasz papierosa jak dwunastolatka, i wszystko powraca.

- O czym ty mówisz? - spytałam. - Nadal jestem słodka.

- Nie jesteś.

- Jestem. Pokręcił głową.

Przez chwilę siedziałam w milczeniu, trawiąc jego słowa.

- Nie chcę być słodka - powiedziałam w końcu. - Słodycz w pewnym wieku jest nie do zniesienia.

- Sam nie wiem - odparł Matt. - Julie była słodka.

- Julie?

- Ta pielęgniarka.

- Ach tak. Ta nie do zniesienia. Matt zamyślił się.

- Przepadała za mną. Tyle dla mnie robiła. Przynosiła mi drobne prezenciki.

Piekła mi małe chlebki z cukinią. - Czułym gestem pokazał, jak były małe, i uświadomiłam sobie, że jest nieźle pijany. - A ja myślałam, że coś jest z nią nie tak, bo była zawsze dla mnie taka miła. Ale problem polegał na tym, że szukałem czegoś lepszego.

- Dlaczego do niej nie zadzwonisz?

- Dwa lata temu wyszła za mąż - powiedział. - Za dentystę. Mieszkają w Oregonie.

- Może powinieneś wyciągnąć z tego stosowne wnioski.

- Chyba tak. - Zamknął oczy, a po chwili powiedział: - Kiedy następnym razem znajde

kogoś, kto będzie mógł ze mną wytrzymać, na pewno nie odpuszczę.

Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

- Co jest? - spytałam.

- Nic.

- No co?

- Pobierzmy się - powiedział. Wstał od stolika. Próbował przekrzyczeć szafę grającą. -
Mówię poważnie. Wyjdź za mnie, Alison.

- Matt, usiądź.

- Jeśli nie chcesz za mnie wyjść, to przynajmniej wróć ze mną do domu.

- Dobra.

- Nie chce wyjść na faceta, który próbuje zaciągnąć kobietę do łóżka, mówiąc, że
będzie wspaniale, ale proszę, chodź - powiedział. - Będzie wspaniale.

Obiecuję.

Przy barze siedziało kilka osób i zauważyłam, że zaczynają odwracać się w naszą
stronę.

- Matt, zawstydzasz mnie - powiedziałam cicho.

- Zawstydzam? Nie sądzę. Jeśli ktoś powinien się tu wstydzić, to na pewno ja.

Ale nie dbam o to. I wiesz dlaczego? Bo cię kocham.

Pochyliłam się i uderzyłam go mocno w pierś. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam.
Nie jestem pewna, co chciałam dzięki temu osiągnąć, ale czymkolwiek miało być, nic z tego
nie wyszło. Matt nabrał tylko wiatru w żagle.

- Kocham cię, Alison Hopkins - powiedział bardzo głośno, a ja znów go uderzyłam.

Jeden z facetów grających w rzutki zawołał do barmana:

- Steven, przynieś temu panu jeszcze jeden dzbanek piwa.

- Dzięki, nie - krzyknęłam, machając ręką w stronę baru. - Mamy już dość alkoholu.

Spojrzałam na Matta.

- Usiądź, proszę.

Usiadł. Sięgnął przez stół i chwycił mnie za nadgarstki. Czułam mocne uderzenia
pulsu w naszych żyłach.

- Spójrz na mnie - powiedział.

Spojrzałam. Włosy na skroniach miał zupełnie mokre, lecz patrzył na mnie
przytomnie.

- Kocham cię, Alison. I nie mówię tego tylko dlatego, że jestem pijany.

W tej chwili ogarnęło mnie dziwne poczucie, którego za nic nie potrafię opisać, ale

wiedziała, że mówi prawdę. Zrobiło mi się go żal.

- No tak, mówię to prawdopodobnie dlatego, że jestem pijany - ciągnął dalej - ale to prawda. Kocham cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem.

Oniemiałam. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Przez wszystkie te lata, kiedy wyobrażałam sobie, że moi przyjaciele skrycie się we mnie kochają, nie podejrzewałam, że to może zajść aż tak daleko. Teraz, kiedy usłyszałam wyznanie, kiedy siedział przede mną mężczyzna z sercem na dłoni, zrobiło mi się po prostu smutno.

- Och, Matt - szepnęłam w końcu słabym głosem. - Matt. Spojrzał mi prosto w twarz i puścił moje ręce.

- Nic więcej nie mów.

Czułam się parszywie. To była naprawdę okropna chwila. Zrozumcie, nie byłam w Mattcie zakochana. Ani trochę. I wiedziałam, że to się nie zmieni. To było niesprawiedliwe. Ale w stosunku, do kogo? Matta? No tak, to oczywiste, ale chodziło też o coś znacznie ważniejszego. To było niesprawiedliwe w stosunku do wszystkich ludzi, którzy chodzili i będą chodzić po ziemi. Czy miłość nie powinna być bardziej prosta? Czy to najważniejsze w naszym życiu uczucie nie powinno być prostsze, bardziej przewidywalne, mniej kapryśne i okrutne? A jeśli gdzieś po drodze pomyliłam „zakochanie się” ze „znalezieniem odpowiedniego faceta, który pozwoli mi popracować nad naszym przyszłym związkiem”, to czy można mnie było za to winić? Czy istniało jakieś inne wyjście? No cóż, miałam je przed sobą. A było to wyjście bardzo ryzykowne.

Barman postawił przed nami dzbanek piwa i powiedział:

- Mazel tow.

Matt napełnił swoją szklanę. Wypił piwo duszkiem, po czym z hukiem postawił szklanę na stole. Wstałam, żeby pójść do toalety.

- Mogę cię na chwilę zostawić?

- Nie. Chcę, żebyś jeszcze przez chwilę tkwiła ze mną w tej niezręcznej sytuacji.

Usiadłam. Spojrzałam na swoje dłonie. Wyglądały staro. Za staro na coś takiego.

- Chce mi się siusiu, Matt. I nie jest to tylko wymówka z mojej strony.

- Dobra. Idź. Będę tu tkwił sam. Ty siusiaj, a ja będę tu tkwił.

Kiedy wróciłam z toalety, Matt siedział spokojnie, drąc serwetkę na cieniutkie paski.

- Zastanawiałem się nad tym, co się tu przed chwilą wydarzyło - powiedział.

- I co wymyśliłeś?

- Mój wewnętrzny cenzor, który nawiasem mówiąc, nigdy nie działa zbyt sprawnie, chyba na moment zasnął.

- Rozumiem.

- To wszystko przez alkohol.

- Tak.

- Po papierosach chce mi się pić - wyjaśnił. - I zapomniałem zjeść obiad.

Skinęłam głowę.

- Jeśli chcesz, możemy o wszystkim zapomnieć - zaproponowałam.

- To nieźle wyjście.

- Zrobione.

Ktoś włączył szafę grającą i rozległy się dźwięki Love Hurts.

- Ale mówiłem poważnie - oświadczył z powagą Matt. - Nie możesz skończyć u boku Toma. Nie jest ciebie godny. A nawet jeszcze gorzej. To straszliwy dupek. - Zgasił papierosa.

- No, mój wewnętrzny cenzor pograżył się w głębokim śnie.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Chyba powinniśmy już pójść - powiedziałam w końcu.

- Dobry pomysł.

Matt odprowadził mnie do domu. Przeszliśmy przez Fidler Square, mijając rzeźby żółwi, i skręciliśmy w Delancey. Kiedy dotarliśmy na miejsce, staliśmy chwilę przed domem. Okna mojego mieszkania były ciemne.

- To znów się wydarzy - powiedział Matt.

- O czym ty mówisz?

- O Tomie. On znów to zrobi. Sięgnęłam do torebki po klucze.

- Zachowanie człowieka w tych sprawach to podstawa - powiedział Matt.

- Sama już nie wiem.

- On znów to zrobi, a ty będziesz musiała zdecydować, czy tego właśnie chcesz.

W następny wtorek pojechałam do Nowego Jorku na rozmowę w sprawie pracy w jednym z tygodników. Pojechałam tam pociągiem, odbyłam rozmowę, a kiedy wracałam do domu, pociąg był okropnie zatłoczony. Obok mnie usiadła kobieta mniej więcej w moim wieku i zaczęłyśmy rozmawiać. Okazało się, że kończyła Wheaton College w Illinois z moją siostrą Meredith, a jej ojciec był pastorem w kościele w Atlancie, do którego chodziła moja przyjaciółka Angie. Krótko mówiąc, okazało się, że kobieta jest ewangeliczką i dzięki nagromadzeniu pewnych szczegółów odniosła wrażenie, że ja jestem ewangeliczką w znacznie większym stopniu, niż jest to w istocie. Kiedy znajduję się w podobnych sytuacjach, staram się nie grzeszyć nadmierną hipokryzją, czyli po prostu próbuję nie kłamać więcej, niż należy. A to wcale nie jest takie łatwe. Tym razem kierunek, jaki przybrała nasza rozmowa,

zmusił mnie do rzucenia typowych skarg pod adresem ewangelików.

Że są przekonani o swojej nieomyślności. Ograniczeni i uprzedzeni. Boją się intelektualnych wyzwań, sztuki, kultury i nowych idei. Odcinają od wspólnych korzeni chrześcijaństwa. Mają okropne fryzury, paskudnie się ubierają, a ich kościoły są po prostu brzydkie. I to ich okropne samozadowolenie. Wielki Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz. „Zapomnij o tym, powiedziała kobieta. Zapomnij o chrześcijaństwie”. Położyła mi dłoń na ramieniu, przywołała na twarz boleśnie szczery wyraz i spytała z południowym akcentem:

„Czy jesteś zakochana w Jezusie?”. Trochę mnie to zaskoczyło. Po części dlatego, że ostatnio rzadko słyszę coś takiego. A po części dlatego, że zmusiło mnie to do zastanowienia. Prawda wygląda bowiem tak, że w tej chwili nie jestem zakochana w Jezusie. To nie jest właściwe słowo. Jezus mnie prześladowuje, i wcale nie jestem w nim zakochana.

Nie chcę przez to powiedzieć, że zupełnie straciłam wiarę, ale straciłam pewien jej rodzaj i mam nadzieję, że nie odnieśliście wrażenia, że ta strata była dla mnie bardzo bolesna. Zostały mi tylko resztki, które czasem gromadzę, czasem od nich uciekam, czasami z nimi walczę, ale wiem, że nawet te resztki są bardzo potężne. Osoby pewnej kategorii na pewno oświadczyłyby w tym miejscu, że uciekam od Boga. I wiecie co? Tak właśnie się czuję. Czuję w sercu straszliwy niepokój, a chciałabym się trochę uspokoić i zaczynam podejrzewać, że to duma nie pozwala mi ruszyć z miejsca, w którym utknęłam. Ale nie jestem jeszcze gotowa, żeby wrócić. Jeszcze nie.

Dwadzieścia

Przez kilka następnych tygodni nie wydarzyło się nic ważnego - no, przynajmniej w moim życiu. Bonnie urodziła dziecko, więc w jej życiu nastąpiły wielkie zmiany.

Urodziła pierwszą córkę, której dali z Larrym na imię Grace. Cordelia i Naldo zerwali ze sobą. Matt napisał do mnie słodki liścik, a ja mu odpisałam. Sprawy między mną i Tomem układały się mniej więcej normalnie.

Pewnego piątkowego popołudnia robiłam porządki w sypialni i nagle na podłodze obok komody Toma zauważyłam paragon kasowy. Podniosłam go i już miałam położyć na komodzie, kiedy przypadkiem spojrzałam na drugą stronę. Zamarłam. Widniały tam inicjały, a przy nich numer telefonu. Usiadłam w nogach łóżka i wpatrywałam się w trzymany w ręce kawałek papieru. Kto zapisuje numer telefonu po inicjałach?

Powiem wam. Osoba, która ma coś do ukrycia. Ktoś, kto nie chce, by osoba, z którą mieszka, wiedziała, do kogo dzwoni. Ktoś, kto nie chce, by osoba, z którą mieszka, poznała pleć osoby, do której dzwoni.

Spojrzałam na zegar. Tom wróci do domu za niecałą godzinę. Mieliśmy jechać do Niny Peebles na jedno z jej słynnych przyjęć. Nina często je wydawała, ale to było szczególne. Mieli tam być Bonnie i Larry, Cordelia i mąż Niny, Victor - jednym słowem, wszyscy, którzy byli zaproszeni na moją feralną kolację. Nina poinstruowała gości, by zachowywali się, jakby nic się nie wydarzyło, by nikt nie poczuł się nieswojo.

Oznaczało to, że muszę działać bardzo szybko.

Weszłam do kuchni. Postawiłam na piecu duży garnek z wodą. Potem poszłam do saloniku i spojrzałam na biurko Toma. Jak zawsze leżał na nim stos nieotwartej poczty. Przerzuciłam koperty i wreszcie znalazłam to, czego szukałam. Zrobiłam to odruchowo, jakbym wcześniej uczestniczyła w specjalnych zajęciach albo oglądała instruktażowe wideo. Zabrałam koperty do kuchni i spojrzałam na garnek.

Nic. Przez całą wieczność nic się nie działo. Potem na srebrnym dnie pojawiło się kilka bąbelków. Powoli stawały się coraz większe. Nareszcie woda zaczęła się gotować.

Pochyliłam się i otworzyłam szufladę z rzadko używanymi przyborami kuchennymi.

Poszukałam szczypców. Bez skutku. Jedyłą rzeczą, która choć odrobinę je przypominała, była para drewnianych łyżek do sałaty, ale nie trzymały koperty zbyt mocno i stale wysuwała się na blat. Odetchnęłam głęboko. Może to znak, pomyślałam. Może powinnam dać sobie spokój, zdjąć garnek z pieca, odłożyć kopertę na biurko Toma, bo jeśli

raz ruszę tą drogą, to nie będę już miała odwrotu. Spojrzałam na zegar na kuchence mikrofalowej i zauważyłam rękawice do wyjmowania naczyń z piekarnika. Będą w sam raz.

Trzymałam kopertę nad garnkiem jedną ręką, a drugą sprawdziłam klej. Po chwili puścił. Czyż nasz system pocztowy nie powinien być bardziej skuteczny? Na moment ogarnęło mnie dziwne uczucie, które towarzyszy ci, gdy idziesz przez życie, wiedząc o czymś doskonale: na przykład, że za pomocą masła orzechowego wyjmiesz z włosów gumę do żucia albo że uryna złagodzi pieczenie po spotkaniu z meduzą.

Jednym słowem, chodzi o praktyczną wiedzę, którą trzymasz gdzieś w zanadrzu i z której nigdy nie korzystasz, a kiedy wreszcie to zrobisz, pragniesz podzielić się tym z całym światem.

Otworzyłam kopertę i wyjęłam z niej rachunek za telefon komórkowy Toma.

Wyszczególniono tam wszystkie połączenia i czas ich trwania. Porównałam listę z numerem, który znalazłam na paragonie.

Nie było go tam.

Wpatrywałam się w listę połączeń, próbując znaleźć jakąś wskazówkę, cokolwiek.

Moją uwagę zwrócił nagle nieznany mi numer kierunkowy. A to co takiego?

Przesunęłam palcem po wykazie. Jeden, dwa, trzy, cztery - siedem. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Siedem połączeń z tajemniczym numerem. Wszystkie wczesnym wieczorem. Rozmowy trwały około dwudziestu minut. Pewnie dzwonił, jadąc do domu z biura.

Podniosłam słuchawkę i wystukałam numer. Jeden dzwonek. Drugi. Zaczęłam się denerwować. Trzeci. I wreszcie kobiecy głos.

- Słucham?

- Tak - powiedziałam. Nie przygotowałam sobie nic sensownego, co mogłabym powiedzieć. - Halo.

- Alison? - spytał głos. Cholera.

- Z kim rozmawiam? - spytałam.

- Z Trący. Siostrą Toma.

- Trący. Ach tak. Cześć - powiedziałam. - Czy jest tam może Tom?

- Nie. A miał być?

- Tak mi się zdawało.

- Nawet nie wiedziałam, że wybiera się do Bostonu - powiedziała Trący.

- Chyba coś pokręciłam.

- Powiedz mu, żeby zadzwonił, jeśli przyjedzie.

- Jasne.
- Wszystko w porządku, Alison?
- Tak.
- To dobrze. Do widzenia.
- Pa.

Odłożyłam słuchawkę. Serce waliło mi jak młotem i zaczęłam chodzić niespokojnie po kuchni. Woda w garnku nadal się gotowała. Unoszące się nad nim kłęby pary jakby mnie kusily. Spojrzałam na wyciąg z karty kredytowej Toma. Przesunęłam palcem po kopercie. Może powinnam zajrzeć do środka.

Przestań, Alison, skarciłam się w duchu. Tak nie można. Czym jest związek bez zaufania? Musisz mu wybaczyć. Musisz mu zaufać albo oszalejesz.

Usiadłam przy stole i ukryłam twarz w dłoniach. To nie ma sensu, mówiłam sobie.

Najwyższa głupota. Po czym nagle przyszła mi do głowy jasno sprecyzowana myśl: to ma sens. I wcale nie jest głupie. Przez resztę życia, kiedy tylko zobaczę numer telefonu zapisany na marginesie terminarza albo z drugiej strony wizytówki, będę się czuła w obowiązku przeprowadzić śledztwo. A przynajmniej zapytać. W pozornie niewinny sposób. Usłyszę kobiece imię i zaraz zacznę się zastanawiać. A w mojej głowie aż będzie się roić od podejrzeń.

A co zrobię, jeśli to znów się wydarzy? Jak mam postąpić? Zrozumiałam nagle, że dziwnym zrządzeniem losu pocieszał mnie fakt, że Tom i Kate mieli za sobą wspólną przeszłość, pocieszało mnie przekonanie, że była jego obsesją. Tak już jest, że część mężczyzn cierpi na pewnego rodzaju obsesję, i czasami najlepiej jest po prostu spokojnie to przetrwać. Nie wiedziałam, że wyznaję tę szczególną teorię, ale okazało się, że głęboko w nią wierzę. Byłam pewna, że oni nie będą razem. Nawet Tom o tym wiedział. To jedna z rzeczy, o których mi wyraźnie powiedział. Ona nie jest kobietą, z którą mógłbym się ożenić, wyznał. I co?

Mogła być tylko jedna Kate Pearce, czyż nie? A skoro ona zniknęła z horyzontu?...

Otworzyłam szafkę pod mikrofalówką i wyjęłam z niej książkę telefoniczną.

Znalazłam numer i podniosłam słuchawkę.

- Czy to Janis Finkle? - spytałam.
- Słucham?
- Janis Finkle z poradni rodzinnej?
- Tak. Kto mówi?
- Byłam jedną z twoich pacjentek. Nazywam się Alison Hopkins.

- Alison. Ach tak, pamiętam. Jak się miewasz?

- Świetnie. Nie, wcale nie. Dlatego dzwonię.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Zastanawiałam się właśnie, czy podczas naszych sesji dowiedziałas się o mnie czegoś szczególnego, o czym mogłabyś mi teraz powiedzieć. No wiesz, chodzi mi o jakiś sekret.

- Sekret - powtórzyła typowym dla terapeutki tonem.

- Wiem, że podczas terapii nie wolno ci niczego mi narzucać, ale pomyślałam, że być możesz wysnułaś na mój temat jakieś wnioski, które zatrzymałaś tylko dla siebie, żebym ja mogła do nich sama dojść. Teraz kiedy nie jesteś już moją terapeutką, może mogłabyś złamać zasady.

- Opowiedz mi, co teraz nie daje ci spokoju - zaproponowała Janis.

Zrelacjonowałam jej więc całą historię. Opowiedziałam o romansie Toma i Kate, o tym, co się wydarzyło podczas kolacji, i jak Tom w końcu wrócił do mnie po dwóch tygodniach ze słoikiem musztardy w ręce. Opowiedziałam jej o numerze telefonu znalezionym na paragonie, o otwieraniu koperty z rachunkiem nad parą, o tym, jak znalazłam w wykazie zupełnie inny numer i jak pod niego zadzwoniłam. Teraz zastanawiałam się, czy przypadkiem nie powinnam była zadzwonić pod ten pierwszy numer. Może powinnam to była zrobić od razu? Kiedy skończyłam, szlochałam do słuchawki z nadzieją, że usłyszę słowa współczucia, sympatii lub zrozumienia, a wiecie, co Janis mi powiedziała? „Jak to jest, gdy nie ma się już nad wszystkim kontroli?”.

Pieprz się, pomyślałam. To nie ja oszukiwałam i zdradzałam. To nie ja wyszłam po musztardę i nie wróciłam. Nie kłamałam, nie łamałam obietnic, nie ja skakałam w bok, nie ja wszystko zniszczyłam - ja tylko pomalowałam kuchnię na piękny odcień żółci i kupiłam koszyki na męskie skarpetki. Gdybym miała nad czymkolwiek kontrolę, żadna z tych rzeczy nigdy by się nie wydarzyła!

Był taki okres w moim życiu, kiedy sporo czasu poświęcałam na zastanawianie się, czy można wyrzucić małą z okna. Rzeczony okno znajdowało się na dwudziestym trzecim piętrze jednego z wysokich akademików należących do University of Pennsylvania - nie muszę chyba dodawać, że wszystko wydarzyło się, gdy byłam na studiach - w pokoju na tym samym korytarzu co mój, zajmowanym przez czterech facetów, którzy wsuwali w drzwi but tak, by zawsze pozostawały uchylone. Z rzeczonych okna wyleciało całkiem sporo rzeczy, z których zdecydowanie wyróżniał się dziewiętnastocalowy telewizor. Z nim jednak nie było żadnych problemów, bo nikt nigdy nie miał wątpliwości, czy można go wyrzucić przez okno.

Mogli i wyrzucili, a potem zajęli się małpą i sprawa nigdy nie została rozwiązana. Nawet teraz można w każdej chwili wszcząć dyskusję na ten temat, zbierając razem trzech lub czterech dawnych mieszkańców tamtego pokoju, pod warunkiem, że jednym z nich będzie Lyle Brady. Lyle był w Penn legendą. Studiował weterynarię, wychował się na mlecznej farmie w zachodnim Kentucky i słynął z odzywki, którą podrywał dziewczyny: „Jesteś chłodna i czysta, zupełnie jak duża szklanka mleka”. Lyle ufał głęboko w siłę, odruchy i wolę życia małpy. Stwierdził, że jest absolutną niemożliwością wyrzucić małpę przez okno, a co ważniejsze, nigdy nie miał dość tego tematu. Biorący udział w dyskusjach zgodzili się co do kilku rzeczy.

Rzeczona małpa musiała być takich rozmiarów, by mogła wyciągniętymi ramionami chwycić ramę po obu stronach okna, nie mogła być związana, pozostawać pod wpływem środków odurzających i nie wolno jej było zawiązać oczu. Można było jednak kilka razy zakręcić nią młynka w powietrzu i wyrzucić z okna tyłem. Można też było na przykład zgasić światło, poczekać, aż małpa zaśnie, albo zbudować wymyślną katapultę. Rozumiecie mniej więcej, o co chodzi. Ja skłaniałam się ku wersji, że jeśli będzie się dla małpy „miłym”, jeśli będzie się jej patrzeć prosto w pyszczek i cicho do niej gruchać jak matka do niemowlęcia, a potem powoli przejdzie się przez pokój i ciśnie ją przez okno, będzie tak zaskoczona, że nie zdąży chwycić ramy okiennej. Do dziś jestem święcie przekonana, że tego typu eksperyment zakończyłby się sukcesem, i czasami chciałabym znaleźć żywą małpę, żeby to wypróbować. Oczywiście nie z dwudziestego trzeciego piętra. Może z drugiego.

A teraz krótka dygresja. Jednym z największych rozczarowań, jakie przeżyłam w dorosłym życiu, było odkrycie, że mądrość ma niewiele wspólnego z miłością.

Zawsze liczyłam na mój mózg i jego pomoc w każdej sytuacji, zawsze wierzyłam skrycie, że powie mi się w życiu, ponieważ byłam jeśli nawet nie najmądrzejszą osobą w pokoju, to przynajmniej osobą, z którą ta najmądrzejsza chętnie by porozmawiała. Doszłam więc do wniosku, że zadziała to także w miłości.

Teraz jednak zaczynam zauważać, że inteligencja i powodzenie w miłości nie mają ze sobą absolutnie nic wspólnego, a przekonanie, że jedno sprawi, iż okażesz się dobra w drugim, przypomina oczekiwanie, że światowej klasy zongler przeprowadzi udaną operację na otwartym mózgu. Teraz widzę, że tak bardzo starałam się być mądrzejsza od Toma, że w końcu przestałam go kochać. Tak bardzo starałam się zamienić go ze znajomego, z którym poszłam na kolację, w chłopaka, narzeczonego i męża, że przestałam w ogóle zwracać na niego uwagę. Myślałam, że do tego potrzeba wiedzy. I praktycznych umiejętności. Tak bardzo chciałam zyskać taktyczną przewagę, że przestałam robić cokolwiek innego. W

pewnym sensie próbowałam wyrzucić go przez okno. A wiecie, co się w takim przypadku dzieje?

Wiecie, co wam zostaje? Powiem wam.

Zdechła małpa.

Wreszcie udało mi się dojść, czego tak naprawdę przez cały czas chciałam od Toma.

Chciałam, żeby został. Chciałam, żeby został na zawsze.

Dwadzieścia jeden

Kiedy skończyłam rozmawiać z Janis Finkle, poszłam do łazienki i wskoczyłam pod prysznic. Byłam wściekła. Na Toma, że przy numerze telefonu zapisał tylko inicjały, na Janis, że próbowała mi wmówić chęć kontrolowania wszystkich i wszystkiego, i na siebie za to, że niechęć zadzwoniłam do Trący, siostry Toma.

Byłam też z góry wściekła na Trący, bo wiedziałam, że powie Tomowi o moim telefonie, i na siebie, bo za nic w świecie nie byłam w stanie wytłumaczyć mu, po co do niej dzwoniłam. Byłam nawet trochę zła na Ninę Peeble, że uważała wydaną przez siebie kolację za dobry pomysł.

I byłam wściekła na Toma, bo się spóźnił.

Nina mieszka z mężem Victorem jakieś dwadzieścia pięć minut drogi za miastem w ogromnym domu w Rosemont. Kiedy Tom wrócił do domu, szybko się przebrał i jechaliśmy razem w milczeniu, które on z pewnością uznał za sympatyczne. Kiedy stanęliśmy przed domem Niny, byłam już o wiele spokojniejsza.

Tom zaparkował samochód na podjeździe i podeszliśmy do frontowych drzwi. Na kamiennych schodkach leżały artystycznie poukładane dynie i tykwy, w donicach rosły żółte i fioletowe chryzantemy, a okiennice pomalowane były na lśniący zielony kolor. Kiedy tak stałam w ciepłym świetle zalewającym malowniczą werandę, ogarnęło mnie uczucie, które zawsze kojarzę z Niną, a które mogę określić, jako niejasne niezadowolenie z życia. Nie znaczy to wcale, że pragnę wieść życie takie jak Nina; nic z tych rzeczy. Chodzi o coś więcej. Nina Peeble uosabia dla mnie pewien problem związany z byciem kobietą. Jedną z rzeczy, które lubi stale powtarzać moja mama, jest to, że w obecnych czasach kobiety mają zbyt wiele możliwości. Wy, dziewczęta, macie za dużo możliwości, powtarzała stale mojej siostrze Meredith i mnie. Nie mam pojęcia, co z tym wszystkim zrobicie. I to prawda. Kobiety w moim wieku naprawdę mają z czego wybierać. Ale mój problem polega na tym, że wybór, jakiego dokonały inne kobiety, niespecjalnie mi się podoba. I kiedy tylko spotykam się z Niną, widzę jej dom, dziecko i męża, jej ogród, projekty i kolacje, karierę, z której tak lekko zrezygnowała, i wspaniale zadbane ramiona, widzę przed sobą kobietę, która dokonała wyboru i jest jej z tym bardzo dobrze.

I nie tylko to; Nina jest przekonana, że gdybyś miała, choć trochę oleju w głowie, zrobiłabyś dokładnie to samo, co ona.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Victor z margaritą w ręce. Najwyraźniej czekał

nas wieczór meksykański. Pocałował mnie w oba policzki, uściśnął dłoń Toma i ruszył za nami do kuchni.

Impreza rozkręciła się już na dobre i toczyła głównie w kuchni. Tom miał okazję poznać Grace, nowe dziecko Bonnie i Larry'ego. Zaproponowano nam drinki, które chętnie przyjęliśmy.

- Poznałam faceta - oświadczyła w pewnej chwili Cordelia.

- Opowiedz nam o nim - poprosił Larry.

- Jest Kanadyjczykiem i lubi wsuwać ręce do kieszeni.

- A co to może oznaczać? - spytał Larry. Odwrócił się do Bonnie. - Co ona chce przez to powiedzieć?

Larry nacisnął guzik blendera i w kuchni rozległ się trzask miazdzonego lodu.

- Wiem, o co jej chodzi - odparła Bonnie, gdy Larry wyłączył blender. - Jest szczupły, prawda?

- Ma bardzo giętkie stawy - dodała Cordelia. - I kurze łapki pod oczami.

Wygląda, jakby dużo jeździł na nartach.

- To takie są teraz wymagania? - spytał Larry i zaczął napełniać szklanki. - Kanadyjczyk, który potrafi wsuwać ręce do kieszeni?

- Nie mam żadnych wymagań - odparła Cordelia - bo nie wierzę w coś takiego.

- Daj spokój - zaprotestowała Nina. - Jakieś musisz mieć.

- To znaczy jakie, zdefiniuj je - powiedziała Cordelia. Nina zamyśliła się, przekrzywiając głowę na bok.

- Nie podlegają negocjacom, są bezkompromisowe i mogą wszystko zniszczyć - powiedziała w końcu.

- To nie mamy wymagań - odparła Cordelia.

- Nie wierzę ci - powiedziała Nina. - Tak jak nie wierzę ludziom, którzy twierdzą, że nigdy nie oglądają telewizji. Brzmi nieźle, ale to nieprawda.

Cordelia i Nina raczej nie przepadają za sobą. Nie, to nie tak. Nina nie ma nic przeciwko Cordelii, a Cordelia ma w stosunku do Niny wiele zastrzeżeń, o których Nina nie ma pojęcia. Cordelia twierdzi, że Nina jest protekcyjna, zadowolona z siebie, lubi manipulować i jest przekonana o swojej nieomyślności. Natomiast Nina twierdzi, że Cordelia powinna przedłużyć sobie brwi. Cordelia ma dość szeroką twarz i jej brwi kończą się tuż nad kącikami oczu. Nina jest przekonana, że gdyby przedłużyła je ołówkiem o centymetr, wyglądałaby znacznie lepiej.

- Ja nie oglądam telewizji - powiedział Victor.

- Kochanie - odparła Nina - przecież oglądasz baseball.

- To się liczy?

- I o to mi właśnie chodzi - wtrąciła Nina. - Nie można powiedzieć, że się nie ogląda telewizji, kiedy jest wręcz odwrotnie, i nie można powiedzieć, że nie ma się żadnych wymagań, kiedy tak naprawdę sieje ma.

- Podejrzewam, że miałabym problemy z narkomanem - oświadczyła Cordelia - albo ze zbrodniarzem.

Nina obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

- Kiedy już raz przeszłaś przez to wszystko - powiedziała - nie palisz się, żeby zaczynać od początku.

- A przez co przeszła? - spytał Tom.

- Przez małżeństwo.

- No nie wiem - odparła Cordelia. - Lubię być mężatką. I lubię być wolna. Nie lubię tylko się rozwodzić. Mogłabym się bez tego obejść.

Zanieśliśmy talerze zjedzeniem do jadalni. Wieczór odbywał się pod hasłem „obsłuż się sam”. Tacos, tostady, burrito. Od czasu do czasu Larry wstawał od stołu i przyrządzał świeżą margaritę, a my toczyliśmy sympatyczną rozmowę.

- Zupełnie zapomniałam wam o czymś powiedzieć - wykrzyknęła nagle Bonnie, kiedy dotarliśmy do publicznego karmienia niemowlęcia piersią. Odsunęła krzesło od stołu i próbowała przystawić Grace do piersi. - Alan i Lizzie rozstają się.

- Nie - jęknęła Cordelia.

- Naprawdę? - spytałam.

- Kim są Alan i Lizzie? - dopatrywał się Victor.

- To starzy przyjaciele Bonnie z college'u - wyjaśniła Nina. - Poznałam Lizzie na przyjęciu u Bonnie.

- Co się stało? - spytała Cordelia.

Bonnie wprowadziła Victora w temat. Alan i Lizzie mieszkali razem od ośmiu lat.

Alan nie wierzy w małżeństwo i nigdy nie był pewny, czy chce mieć dzieci. Było tak od początku ich znajomości.

- Poszli na terapię dla par - powiedziała Bonnie. - Lizzie zrezygnowała już z małżeństwa. Teraz chce jedynie mieć dziecko. Co tydzień Alan siada przed terapeutą i mówi tylko: „Nie wygrasz, nie ma mowy”. Lizzie płacze, obiecuje, że będą mieli tylko jedno dziecko, nie dwoje, i na jej głowie będzie wszystko, on nie będzie musiał zmienić ani jednej pieluchy, zupełnie jakby chodziło o psa, którego Lizzie chce wziąć ze schroniska, a Alan

powtarza niewzruszenie, że nie ma mowy, że nie wygra. To jego jedyny argument.

Pieluszką, którą Bonnie nakryła główkę Grace, zsunęła się i przez chwilę mogliśmy oglądać ogromną pierś Bonnie. Larry powiedział: „Kochanie”.

- Przepraszam - rzuciła Bonnie. Poprawiła pieluszkę i mówiła dalej. - To trwa już pół roku. I nic się nie zmienia. Lizzie postanowiła w końcu odejść. Klóć się, ona płacze, stoi w drzwiach mieszkania z walizkami, a ostatnia rzecz, jaką do niego mówi, brzmi: „Mam trzydzieści osiem lat, nie jesteśmy małżeństwem, nie mam dziecka - WYGRAŁEŚ!”.

- Ojej - szepnęła Cordelia.

Spojrzałam na Toma. Był zajęty ostatnią malutką tostą.

- I odeszła - powiedziała Bonnie.

- Dokąd? - spytałam.

- Mieszka teraz u siostry.

- Biedna dziewczyna - westchnęła Cordelia.

- Jakoś nie potrafię jej współczuć - powiedziała Nina.

- Dlaczego? - spytał zdumiony Victor.

- To smutne, przyznaję. Ale już pięć lat temu mówiłam, że to się tak skończy.

- Rzeczywiście - odparła Bonnie. - Ale nie wierzyłam.

- Pamiętam. Powiedziałaś, że ona go kocha, on ją i wszystko się jakoś ułoży.

- A co w tym złego? - spytała Cordelia.

- Nie można się zachowywać tak, jakby nie obowiązywały cię żadne zasady - wyjaśniła Nina. Wstała i zaczęła zbierać talerze ze stołu. - Nie możesz się obudzić pewnego dnia zdziwiona, że mężczyzna, z którym żyjesz od ośmiu lat, który nie chce się z tobą ożenić i powtarza ci przez cały czas, że nie chce mieć dzieci, nagle nie chce cię zapłodnić. Ta kobieta była głupia. Przykro mi, że to mówię, ale to prawda. Mogła się z tego wyplątać wiele lat temu.

Nina zaniósła talerze do kuchni. Victor wstał i uchylił okno. Trzymał na parapecie paczkę papierosów i co wieczór po kolacji przysiadł tam, wysuwając rękę za okno. Co jakiś czas pochylał się, zaciągał i wydmuchiwał dym w chłodne wieczorne powietrze.

- To dziwne - powiedział Larry. - Byłem przekonany, że się bardzo kochają.

- Miłość to nie wszystko - zawołała z kuchni Nina.

- O czym ty mówisz? - odkrzyknął Victor. - Dla mnie wystarczy.

Nina wróciła do jadalni i zaczęła ustawiać na stole filiżanki do kawy.

- I to właśnie w tobie kocham - powiedziała do męża. - Twoje przekonanie, że miłość wystarczy. Ale to, co się stało z Alanem i Lizzie, to dowód, że tak nie jest, i im szybciej

dwoje ludzi pogodzi się z faktem, że związek to ciężka praca, kompromisy, przystosowanie się i poświęcenie, tym lepiej. Muszą to zrobić, bo alternatywa nie jest zbyt przyjemna.

- Nie zgadzam się z tym - powiedział Victor.

- I nie musisz, kochanie. Ja zajmuję się całą resztą, więc ty możesz żyć w swoim szczęśliwym świecie, przekonany, że sama miłość wystarczy. Ale tak nie jest. - Nina postawiła filiżankę na spodeczku. - Miłość jest mocno przereklamowana.

- Wielki Boże, tylko nie zaczniemy mówić o seksie - powiedział Victor. - Nie mam ochoty dowiedzieć się przy kolacji, że zdaniem mojej żony seks też jest mocno przereklamowany.

Nina rzeczywiście tak uważa. Używa dokładnie tego słowa, gdy rozmowa schodzi na temat seksu. Teraz podeszła jednak do Victora, splotła ramiona na jego koszuli od Brook Brothers i pocałowała go czule w szyję.

- Tego nigdy ode mnie nie usłyszysz - powiedziała. Wyszła do kuchni po deser, a rozmowa przy stole zeszła na bardziej banalne tematy. Spojrzałam na Toma. Próbowałam zwrócić jego uwagę, ale on wpatrywał się w papierową serwetkę, którą składał i rozkładał. O czym myślał?

Jak to możliwe, że nigdy nie miałam pojęcia, o czym on myśli?

Zastanowiłam się, czy Nina przypadkiem nie ma racji. Może miłość rzeczywiście nie wystarczy, a jeśli tak, to cały problem polegał na tym, że nam z Tomem brakowało całej reszty. Przystosowania i poświęcenia. Ciężkiej pracy i kompromisów. Porozumienia, negocjacji i terapii. I nagle zaczęło się dziać ze mną coś dziwnego. Serce zaczęło mi walić jak szalone, zakręciło mi się w głowie i przez chwilę byłam pewna, że zaraz zemdleję. Nie przesadzam, bo mam skłonność do omdleń. To jedyna cecha prawdziwej damy, jaką posiadam, i choć zwykle robi mi się słabo u lekarza, to zdarzyło mi się to w codziennym życiu tyle razy, że stanowi poważne zagrożenie. Zamknęłam oczy i poczułam, że ogarnia mnie ciemność.

Próbowałam skoncentrować się na oddychaniu, by uspokoić walące serce, ale słyszałam tylko w głowie słowa Niny. Miłość jest przereklamowana. Miłość nie wystarczy. Nagle uderzyła mnie jedna myśl: a może to nie jest miłość? Może na tym właśnie polega cały problem? Może wszystko zaczęło się jak miłość, lecz gdzieś po drodze coś się z nią stało i stała się czymś zupełnie innym?

Pragnę wielkiej miłości. Otworzyłam oczy i spojrzałam na Toma. Nadal był zajęty serwetką. I na pewno jej tutaj nie znajdę. Uświadomiłam to sobie z porażającą jasnością. I nie miało wcale znaczenia, że nareszcie zrozumiałam, iż w życiu są o wiele gorsze rzeczy niż to,

że twój partner przespał się z inną, podczas gdy powinien spać tylko z tobą; że są gorsze rzeczy niż niewiedza i upokorzenie. Nie miało już znaczenia, że mam prawie trzydzieści trzy lata, że moje jajeczka powoli się starzeją, że w Filadelfii nie zostali już żadni wolni mężczyźni, że nie ma już ich nigdzie, może z wyjątkiem Alaski, co oznacza, że będę musiała pojechać na Alaskę, żeby znaleźć mężczyznę. Będę też musiała pojechać do Chin po dziecko, co wiązało się ze sporą ilością czasu spędzoną w Internecie i długimi lotami, a za obiema tymi rzeczami akurat nie przepadam. Nic już nie miało znaczenia. Tylko to, że to nie jest miłość. Wielka miłość. Uświadomiłam sobie, że mogę spędzić resztę życia, trzymając się kurczowo Toma. Próbować go omotać na dobre i przykuć do siebie. Przekonać, że nie może beze mnie żyć. Nagle zrozumiałam, że mam jeszcze jedno wyjście. Mogę po prostu odpuścić. Poczułam, że coś się we mnie poruszyło; coś, co tkwiło we mnie, odkąd sięgam pamięcią.

Byłam tym wszystkim tak zaskoczona, że poczułam się jak obudzona z głębokiego snu. Wiem, że brzmi to straszliwie banalnie, ale tak właśnie się czułam.

Pokręciłam głową i spojrzałam na Toma, jakbym widziała go pierwszy raz w życiu.

Odchylił się na krześle, by porozmawiać z siedzącym na parapecie Victorem.

Rozmawiali o hipotekach. Blask kinkietu oświetlał jasną głowę Toma. Zawsze kochałam jego włosy. Kiedy zastanawiałam się nad cechami, które nasze dzieci powinny po nas odziedziczyć, stale zmieniałam zdanie, by było ciekawiej, ale zawsze chciałam, by miały włosy Toma. Nos był zawsze mój, a włosy jego.

- Moim zdaniem - rzuciłam w powietrze - miłość powinna wystarczyć.

- Co takiego? - spytał Larry.

- Myślę, że miłość powinna wystarczyć - powtórzyłam już głośniejszym głosem.

- Ucieknij ze mną, Alison - powiedział Victor. Wydmuchał do jadalni chmurę gęstego dymu. - Romantycy jak my powinni trzymać się razem.

- Nigdy przedtem nie byłam romantyczką - wyjaśniłam - ale chyba nią zostanę.

Spojrzałam na Toma.

- Pora wracać do domu - powiedziałam.

Dwadzieścia dwa

Rozstaliśmy się tego samego wieczoru. Wszystko odbyło się bardzo elegancko i tym razem było ostateczne. Pomyślałam, że jestem mu to winna. Wyprowadziłam się następnego ranka i zamieszkałam z Cordelią. Planowałam znaleźć nową pracę i mieszkanie.

- Za twoje nowe życie - powiedziała Cordelią, stukając delikatnie w mój kieliszek.

- Za moje nowe życie.

Kiedy dzień później Cordelią wróciła z siłowni, leżałam na jej łóżku w pozycji płodu.

- Myślałam, że jest ci z tym dobrze - powiedziała.

- Bo jest.

Usiadła na łóżku obok mnie.

- Teoretycznie - powiedziałam. Pokiwała głową.

- Muszę się tylko w tym wszystkim odnaleźć.

W poniedziałek żaluzje w mieszkaniu były zaciągnięte, a ja przeniosłam telewizor do sypialni i postawiłam go na skrzyni w nogach łóżka. Leżałam oparta wysoko o poduszki, przeskakując bezmyślnie z kanału na kanał.

- Nie rozumiem ludzi, którzy twierdzą, że w telewizji nie ma nic do oglądania - powiedziałam do Cordelii, gdy wróciła z pracy.

Przeszła przez pokój i uchyliła okno.

- Moja teoria głosi - ciągnęłam dalej - że ludzie, którzy tak twierdzą, rzadko oglądają telewizję.

Cordelią pochyliła się, podniosła rozrzucone na podłodze pisma i położyła je na szafce przy łóżku.

- Tam przecież jest cały świat - dodałam.

Następne parę dni wylegiwałam się w łóżku Cordelii. Muszę przyznać, że znosiła to nad wyraz dobrze. Jej matka spędziła większość lat siedemdziesiątych w zaciemnionym pokoju na drugim piętrze, więc moje zachowanie nie niepokoiło jej aż tak bardzo. Ucierała mi ziemniaki i robiła jajecznicę. Przynosiła mi też moje ulubione krakersy i dżem jagodowy. Nie mrugnęła nawet okiem, gdy poplamiałam kołdrę. Nie pamiętam, o czym rozmawiałyśmy. Pamiętam za to doskonale, co myślałam, gdy pewnego wieczoru Cordelią nacierała mi stopy miętowym balsamem: że już wiem, dlaczego jej matka całe miesiące przeleżała w łóżku. Ja sama nigdy bym z sobą nie wytrzymała.

Leżałam tak całymi godzinami, całymi dniami, stale wracając do tego, co zaszło

między Tomem i mną. Raz po raz wracałam do tej samej myśli. Kiedy siedziałam w taksówce i przerzucałam kartki kalendarza, próbując dojść, kto jest ojcem mojego dziecka, wyobrażałam sobie uszy Henry'ego. Na główce dziecka. Ale wtedy zdecydowanie wyrzuciłam tę myśl z głowy. Jego uszy były w porządku. Leżąc w łóżku Cordelii, stale jednak do tego wracałam i - o dziwo - czułam się znacznie lepiej. Do końca życia nie będę się już budzić obok tych uszu. Prawda wyglądała tak, że nie chciałam spędzić reszty życia obok tych uszu. I jakaś część mnie doskonale o tym wiedziała, choć cała reszta potrzebowała czasu, by się z tym pogodzić.

- Chyba wpadłam w depresję - powiedziałam w końcu do Cordelii.
- Zrzucasz tylko skórę - pocieszyła mnie łagodnym głosem.
- Chcę umrzeć.
- Tkwisz w kokonie.
- Nie mogę ruszyć ręką ani nogą.
- Tak właśnie jest w kokonie. Kończyny nie mogą się poruszyć.

Pewnego ranka otworzyłam oczy, spojrzałam na drobinki kurzu wirujące w słońcu i wiedziałam, że mam już to za sobą. Zrzucanie skóry. Wstałam z łóżka i wzięłam prysznic. Włożyłam adidasy i poszłam pobiegać. Zadzwoiłam do agencji oferującej tymczasowe zajęcia. Pracująca tam kobieta знаła mnie z moich felietonów i szybko znalazła mi bardzo intratną, jak na tymczasowe warunki, robotę. Miałam zastąpić copywritera w agencji reklamowej; kobietę, która przeszła na długi urlop macierzyński. („Trojaczki. W wieku czterdziestu lat”, powiedziała kobieta, gdy zadzwoniła do mnie z ofertą. „Kto ma ochotę na leki zwiększające płodność?”).

Ścięłam włosy, co okazało się poważnym błędem, ale schudłam też trzy kilo, więc bilans wyszedł mniej więcej na zero.

Pierwsze mieszkanie, jakie oglądałam, znajdowało się na ostatnim piętrze w budynku niedaleko domu Cordelii. Było tanie, małe i przynajmniej dla mnie wręcz idealne. Miało ogromne okna, przez które wpadało popołudniowe światło.

Mogłam stamtąd niczym Mary Poppins oglądać dachy, kominy i wierzchołki naprawdę wysokich drzew. Tego popołudnia towarzyszyła mi Nina Peeble i kiedy ja zachwyciałam się oknami, zmarszczyła nos na widok kafelków w kolorze awokado i dwóch małych szaf i powiedziała: „Nie widok jest najważniejszy, Alison”.

Przemyślałam to dokładnie i doszłam do wniosku, że dla mnie jest. Mieszkam więc teraz z pięknym widokiem.

Od pewnego czasu towarzyszy mi poczucie, to wspaniałe poczucie, że świat zaczyna

otwierać się na nowo. W takich właśnie chwilach dostrzegasz informację o kursach włoskiego przyczepioną do latarni, odrywasz numer telefonu i wsuwasz go do portfela, a kiedy znajdujesz go tydzień później, dzwonicz pod wpływem impulsu, a potem w każdą środę przez dwie godziny siedzisz wieczorem z sześcioma nieznanymi na tyłach kawiarni i słuchasz Alessandro, który nosi skórzane spodnie, a po zajęciach mówi do ciebie principessa. Znać doskonale to poczucie, jestem pewna. Życie, które wcześniej skurczyło się do przyziemnych i łatwych do przewidzenia rozmiarów, nagle eksploduje euforią. Kupiłam koronkowe staniki i sportowe buty. Trzymam w toalecie wiersze Keatsa i doszłam do wniosku, że najwyższy czas zabrać się wreszcie do Prousta. Czytam dział turystyczny niedzielnego wydania „Timesa” z gorliwością osoby, która wierzy, że wszystko jest możliwe. Poszłam do opery, zapisałam się na zajęcia jogi i nauczyłam się robić suflet czekoladowy.

To uczucie nie towarzyszy mi niestety nigdy, gdy jestem z kimś związana. Jeszcze nigdy mi się to nie udało. To znaczy robię różne rzeczy, gdy jestem z kimś związana - chodzę na zakupy, gotuję, jeżdżę na wycieczki i czytam książki - ale nie napędza mnie świadomość, że moje życie w każdej chwili może się zmienić i okazać zupełnie inne, niż przewidywałam. I to jest pewien problem. Chyba jeden z największych w moim życiu. Jestem przekonana, że istnieje jakiś powód, dla którego życie najpierw się otwiera, a potem zamyka - i nawet zaczęłam tworzyć stosowną teorię, ale przestałam. I postanowiłam to w sobie zwalczyć. Nie pozwolić życiu się kurczyć. Stale je otwierać, bez względu na wszystko.

Kilka miesięcy po przeprowadzce do nowego mieszkania wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Pamiętam, że nie byłam pewna, czy to zakończenie starej historii, czy też początek nowej. Było późne niedzielne popołudnie, a ja oglądałam przewodniki w księgarni przy Chestnut Street. Nagle usłyszałam za sobą głos.

- Alison?

Odwrociłam się. To był Henry.

- Cześć - powiedziałam.

Pochylił się i pocałował mnie z wahaniem w policzek.

- Jak się miewasz? - spytał.

- Świetnie - odparłam. - A ty?

- Jakoś się trzymam.

- Słyszałam, że odszedłeś z gazety.

- Odszedłem. Zostałem wylany - powiedział. - Co za różnica. Moim zdaniem to nie ma znaczenia, gdy obie strony wykrzykują pod swoim adresem przekleństwa przez całą długość korytarza.

- Wrzeszczałeś na Sida?

- Tak.

- Żałuję, że ja tego nie zrobiłam.

- Dostaliśmy sporo listów w twojej sprawie - powiedział. - Czytelnicy protestowali przeciwko twojemu odejściu.

Spojrzałam na niego.

- Sprecyzuj „sporo”.

- No dobra. Sześć. Ale masz sześciu niezwykle lojalnych, rozgniewanych fanów.

- Opowiedz mi o tej... No wiesz, dziewczynie, która ukradła mi pracę.

- O Mary Ellen? - spytał Henry. - A co chcesz wiedzieć?

- Nie mam pojęcia. Powiedz coś złego.

- Nie potrafi pisać.

- Tak. Coś w tym stylu.

- I odgryza głowy kociakom.

- Jeszcze.

- W głębi serca jest niepewną siebie, nieszczęśliwą osobą - powiedział. - To bardzo smutne.

- Wiesz, nie znoszę tego.

- Czego?

- Przekonania, że bycie niepewnym siebie i nieszczęśliwym stanowi doskonałą wymówkę na wszystko - wyjaśniłam. - Ja też jestem niepewna siebie i nieszczęśliwa. I wszyscy moi znajomi.

- Masz absolutną rację. Ona jest po prostu pospolitą i złą starą babą.

- I pozbawioną talentu.

- W wysokim stopniu. Uśmiechnął się.

- Co jest? - spytałam.

- Nic.

- To dlaczego się uśmiechasz?

- Nie wiem. Po prostu się uśmiecham.

- Co będziesz teraz robił? - spytałam.

- Jeszcze nie wiem. Zrobię sobie wakacje. I poukładam wszystko na nowo.

Pokazał mi przewodniki, które miał w koszyku: Tajlandia, Kambodża i Tybet.

- Powiedziałem chłopakowi za ladą, że chcę pojechać w jakieś tanie miejsce, gdzie ludzie chodzą w pomarańczowych szatach - wyjaśnił. - Najwyraźniej muszę jeszcze

ograniczyć zakres poszukiwań.

- Marzą ci się górskie wędrówki czy plaże i dziwki? - spytałam.

Westchnął przeciągle.

- Chyba wędrówki.

Wyjęłam z koszyka przewodniki po Tajlandii i Kambodży i odłożyłam na półkę.

- Gotowe - oświadczyłam. - Już ograniczyłeś.

- Wybierasz się gdzieś? - spytał. Skinęłam głową.

- Do Włoch. Za dwa tygodnie.

- Dlaczego do Włoch? Postanowiłam wyznać mu prawdę.

- To nagroda za to, że nie poszłam do łóżka z nauczycielem włoskiego.

Henry wybuchnął śmiechem.

- Był... sama już nie wiem - powiedziałam. - Seksowny i przerażający. Bardzo mnie to zaintrygowało. Potem uświadomiłam sobie, że wszyscy Włosi są seksowni, więc to nie jego zasługa, a on jest tylko przerażający.

Henry zapytał, czy mam ochotę na kawę. Miałam. Zapłaciliśmy za książki i poszliśmy do małej kafejki za rogiem. Siedzieliśmy tam bardzo długo.

Kiedy wyszliśmy, było już ciemno. Gdy przechodziliśmy przez ulicę na czerwonym świetle, Henry wziął mnie za rękę i nie puścił, kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie.

Był piękny wieczór, a na czystym niebie lśnił zawieszony nisko księżyc. Nie wiedziałam, dokąd idziemy, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo wreszcie zakwitły drzewa wiśniowe, a w powietrzu unosił się zapach ostatniego ognia w czyimś kominku. Chciałam tylko wpatrywać się w księżyc. Chciałam unieść ku niemu bezwstydnie twarz, jak słonecznik wznosi się ku słońcu.